tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 2 (1201)
9-15.01.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

GRYPA ZASKOCZYŁA LEKARZY I PACJENTÓW

KOBIETY W WYWIADZIE PRL

PROF. DOMINIKA DUDEK
DEPRESJA NIE JEST SŁABOŚCIĄ

TOMASZ MIŁKOWSKI
NAJLEPSZE SPEKTAKLE 2022

JAK LWÓW PRZENOSZONO DO WROCŁAWIA

Lwowiacy w odbudowie Wrocławia i Ziem Odzyskanych

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115
02>
9 771509 311300

HEBDEN BRIDGE FILM FESTIVAL
NAJLEPSZY FILM
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF W INNSBRUCKU
NAGRODA JURY
NAJLEPSZY FILM

MFF W SAINT-JEAN -DE-LUZ
NAJLEPSZY AKTOR

MOUNTAIN FILM FESTIVAL
NAGRODA NETPAC
NAGRODA JURY MŁODZIEŻOWEGO

WOW FILM FESTIVAL
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

WISCONSIN FILM FESTIVAL
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

CINEMASIA FILM FESTIVAL
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF W PALM SPRINGS
NAGRODA JURY
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

OSCARS® NOMINACJA
NAJLEPSZY FILM MIĘDZYNARODOWY

ZNAJDŹ TO, CZEGO SZUKASZ
W NAJMNIEJ OCZEKIWANYM MIEJSCU

W KINACH OD 13 STYCZNIA

AURORA

Robert Walenciak

Życzenia dla Polski

Różnych pięknych rzeczy życzyliśmy sobie na Nowy Rok, więc teraz pora, by złożyć życzenia Polsce. To pozornie łatwe, bo przecież – powie ktoś – wszystko jest wiadome i nad czym tu się rozwodzić. Otóż uważam, że warto pewne sprawy dopowiedzieć.

Polska cierpi bowiem na odklejenie od rzeczywistości i nie jest to przypadłość ostatnich lat. Można by tę przypadłość uznać wręcz za przypisaną do polskości, bo walczyli z nią i Ignacy Krasicki, i Bolesław Prus, i Roman Dmowski, i Ignacy Daszyński, i wielkie grono publicystów XX w. Daremnie. A wielka to szkoda, bo polityka oparta nie na faktach, ale na fałszywych wyobrażeniach skazana jest na porażkę. Po prostu, przepraszam za banalne porównanie, nikt przytomny, siadając za kierownicą samochodu, nie zgodziłby się prowadzić, mając zamazane szyby i wyłączone światła.

Dlatego głównym moim życzeniem dla Polski jest, by jej polityka była realna, a nie wydumana, by kierowała nią racja stanu, nie puste wyobrażenia i fantazje czy partyjne interesy.

Powie ktoś, że w roku kampanii wyborczej to życzenie nierealne, bo przecież będziemy mieli młyn, zawziętą walkę o władzę. Pewnie tak będzie, ale to nie znaczy, że mamy ustępować oszustom, spin doktorom, tym, którzy próbują nami manipulować. To po pierwsze. Po drugie, niezależnie od wyborczych awantur państwo powinno dysponować instytucjami, które podpowiadają, gdzie jest polska racja stanu, i potrafią polską politykę realizować. Ale czy tak się dzieje? Piszemy, to przykład pierwszy z brzegu, dużo o MSZ, o funkcjonowaniu tego istotnego, a dziś odsuniętego na bok ministerstwa. I cóż możemy do tych opisów dodać? Że zadaniem ambasadorów nie jest wyświetlanie filmu „Smoleńsk", ambasady nie są placówkami, na których skołatane nerwy mają leczyć działacze PiS, a centrala MSZ ma być miejscem pracy intelektualnej, nie zaś przechowalnią dla kolegów? Mało bystrych, mało wiedzących, ale kolegów… Spodziewam się, że w innych instytucjach jest podobnie.

Po prostu Polska odkleiła się od rzeczywistości. Gdy w ministerstwie przestają obowiązywać zasady określające, jakimi kompetencjami powinni się charakteryzować urzędnicy, przepustką są znajomości i układy. Gdy w polityce nie ma filarów, nie jest zarysowana racja stanu – można mówić i robić wszystko. A przykładów takich zachowań nie brakuje – to chociażby rozpętana przez PiS zimna wojna z Unią Europejską. A przypominam – Polska nie jest obok Unii, jest jej częścią. To jest nasz dom. I owszem, trzeba go poprawiać, tak by mieszkało się nam w nim jak najwygodniej, ale nie wolno go podpalać.

BĄKOWSKI

CYTATY ROKU

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ, politolog UW
Wydatki na zbrojenia, dokonywane pod wpływem amoku wojennego i patriotycznego uniesienia, uszczuplą fundusze na edukację, służbę zdrowia i naukę.
„Trybuna"

ANDRZEJ STASIUK, pisarz
Polski katolicyzm ma niewiele wspólnego z duchowością i wiarą. To biznes i władza.
„Dziennik Gazeta Prawna"

KATARZYNA KLIMKIEWICZ, reżyserka
Zbyt długo myśleliśmy o PRL-u jak o czymś wstydliwym.
„Twój Styl"

ANNA DZIEWIT-MELLER, felietonistka
Co czwarty Polak czuje się wypalony zawodowo. Można zrozumieć, że młodzi odmawiają udziału w tej sztafecie zmęczonych pokoleń.
„Polityka"

eprasa.pl 875b2a5ed2

W NUMERZE

HISTORIA
8 **Jak Lwów przenoszono do Wrocławia**
Powojenny rozwój Ziem Odzyskanych
14 **Kobiety w wywiadzie**
Służby w PRL były domeną mężczyzn

KRAJ
16 **Grypo, pozwól żyć**
Patogeny zaskoczyły lekarzy i pacjentów
20 **Bezkarny pirat na Opolszczyźnie**
Nielegalne grodzenie, legalne dopłaty
42 **Nic w życiu nie jest za darmo**
– rozmowa z Jerzym Lachem
49 **Sylwester niefortunnych zdarzeń**
TVP dała się oszukać

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA
23 **Sąd nad sankcjami**
Realne skutki izolacji Rosji

ZAGRANICA
26 **Czeska Čaputová idzie po władzę?**
Ekonomistka zamieszała w sondażach
30 **Organizacja Narodów Zubożałych**
Kryzys w dotacjach
37 **W „bawarskich Wadowicach" wszystko wygląda inaczej**

WOJSKO
34 **Prawdziwy bóg wojny**
Logistyka kluczem do sukcesu

OPINIE
40 **Piotr Kimla**
Heroizm a polityka

KULTURA
46 **Olśnienia teatralne 2022: nasze odloty**
50 **Uratuje nas tylko śmiech**
– rozmowa z Rubenem Östlundem
53 **Qulturalia**
66 **Obywatele kosmosu**

PSYCHOLOGIA
54 **Depresja nie jest słabością**
– rozmowa z prof. Dominiką Dudek

OBSERWACJE
58 **Szachy dla spryciarzy**
Po czym poznać oszustów

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Robert Walenciak**
Życzenia dla Polski
13 **Jan Widacki**
Dziwny to był rok...
19 **Roman Kurkiewicz**
47 296 powodów, żeby rozwiązać Straż Graniczną
29 **Andrzej Szahaj**
Liberałowie, nie lękajcie się!
33 **Tomasz Jastrun**
Głupota i mądrość
45 **Wojciech Kuczok**
Stan gotowości
57 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Lektura na czas grypy, czyli panika nieproduktywności

26
ZAGRANICA

CZESKA ČAPUTOVÁ IDZIE PO WŁADZĘ?
Ekonomistka zamieszała w sondażach

46
KULTURA

OLŚNIENIA TEATRALNE 2022: NASZE ODLOTY

49
KRAJ

SYLWESTER NIEFORTUNNYCH ZDARZEŃ
TVP dała się oszukać

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. PAP

eprasa.pl 875b2a5ed2

1200 i dalej

Byłem czytelnikiem „Przeglądu Tygodniowego”, od pierwszego numeru jestem czytelnikiem „Przeglądu”. Nie umiem sobie wyobrazić poniedziałku bez kupienia mojego tygodnika. To już 1200 numerów! Za co cenię „Przegląd”? Za lewicowe widzenie świata, za rzetelność, za obiektywny i aktywny stosunek do naszej trudnej historii, zwłaszcza okresu Polski Ludowej. We wstępniaku do 1200. numeru redaktor naczelny przywołał nazwiska autorów, felietonistów, komentatorów. Najwyższa półka. Teksty ich i tygodnika cechują umiar, prawda i wielka kultura. Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Tomasz Jastrun, Robert Walenciak, by wymienić najlepszych, a wcześniej Aleksander Małachowski, Stanisław Lem, Krzysztof Teodor Toeplitz, Piotr Kuncewicz, Ludwik Stomma – to intelektualna czołówka o wielkiej społecznej wrażliwości. Wiem, że z trudem utrzymujecie się z uwagi na skromne finanse. Nie możecie liczyć na reklamy rządowe ani na promocje współczesnego polskiego kapitalizmu. Tym bardziej trzeba cenić Waszą determinację, poczucie misji. Ono jest szczególnie cenne wobec powszechnego zakłamania, nieszczerości, udawania. Redaktorowi naczelnemu życzę sił i wytrwałości, a zespołowi i współpracownikom przekonania, że to, o czym i jak piszą, ma ogromne znaczenie poznawcze, edukacyjne i historyczne. Ma po prostu sens. Czekam na kolejne wydania mojego „Przeglądu”!

MÓJ PRZEGLĄD

1200 i dalej

Jerzy Domański

Ryszard Sławiński

15 chorób Watykanu

Wydawać by się mogło, że ludzi niezwiązanych z Kościołem, w tym niewierzących, sprawy te nie dotyczą, a jednak muszą one obchodzić wszystkich żyjących w kulturze grecko-chrześcijańskiej. Papież Franciszek przejął po swoich poprzednikach schedę trudną i brudną, naprawiać ją przyjdzie latami w mało uduchowionej rzeczywistości. A jest sam – i w swoim państwie watykańskim, i wśród wielu funkcjonariuszy Kościoła na świecie. Wyzwania stojące przed papieżem są niewdzięczne, a on sam wygląda na zmęczonego. Zwołanie soboru to wyzwanie i nie sądzę, że Franciszek na to się zdobędzie. W Polsce Kościół katolicki powinien przejść na utrzymanie wiernych. Z chęcią będę dalej łożyć na substancję zabytkową świątyń różnych wyznań, nie chcę za to płacić zastępom katechetów, kapelanów i dokładać się do świętopietrza.

Ewa Wesołowska

Czego lewica zazdrości PiS

37-procentowego poparcia. Bo właśnie prawica zrealizowała to, czego nie zrobiły partie lewicowe: podniosła płacę minimalną, wprowadziła 500+, podniosła emerytury. To są sprawy elementarne, bo nie mówię tu o tym, czego PiS nie zrobiło i nie zrobi, czyli o reformie podatkowej, cofnięciu szkodliwej reformy emerytalnej z 1997 r., rozliczeniu reprywatyzacji czy budowie mieszkań. To są zadania dla lewicy, ale wątpię, by była ona na to gotowa.

Paweł Stawicki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Franciszek nad trumną Benedykta XVI. Po raz pierwszy w historii urzędujący papież uczestniczy w pogrzebie swojego poprzednika. Watykan, 5 stycznia 2023 r.

fot. AFP/East News

eprasa.pl 875b2a5ed2

W Watykanie pożegnano emerytowanego **papieża Benedykta XVI**. Niemiec Joseph Ratzinger był pierwszym papieżem od czasów Grzegorza XII z XV w., który abdykował. Uznawany za najwybitniejszego teologa wśród papieży, zajmował się porządkowaniem Kościoła także w kwestii przestępstw pedofilskich i ich tuszowania przez przełożonych.

•

Miliardy ludzi mniej lub bardziej interesują się piłką nożną i każdy wie, kim jest **Edson Arantes do Nascimento Pelé**. Zmarłego w wieku 82 lat piłkarza wszech czasów pochowano w mieście Santos na Memorial Necrópole Ecumenica, najwyższym cmentarzu na świecie. W Polsce Pelé zagrał raz, w 1960 r. na Stadionie Śląskim. Strzelił dwie bramki w meczu Santos-Kadra PZPN (5:2).

•

30-lecie świętuje Polska Akcja Humanitarna założona przez Janinę Ochojską w 1992 r. Działa w tych miejscach, gdzie wybuchają kryzysy humanitarne spowodowane konfliktami zbrojnymi lub katastrofami naturalnymi. Chroni ludność cywilną bez względu na rasę, pochodzenie i religię.

•

Od 1 stycznia najniższe wynagrodzenie za pracę wynosi 3490 zł brutto, czyli o 15,9% więcej niż w 2022 r. Minimalna stawka godzinowa wzrosła do 22,80 zł. Kolejne podwyżki będą 1 lipca.

•

Nowymi miastami od 1 stycznia są: **Miękinia** na Dolnym Śląsku, **Jeżów**, **Dąbrowice**, **Rozprza** i **Ujazd** w woj. łódzkim, **Książ Wielki** i **Czarny Dunajec** w Małopolsce, **Latowicz**, **Bodzanów**, **Jastrząb** i **Jadów** na Mazowszu, **Włodowice** w woj. śląskim, **Łopuszno** i **Piekoszów** w woj. świętokrzyskim i **Miasteczko Krajeńskie** w Wielkopolsce. Mamy więc 979 miast.

•

6 mln żywych choinek kupili Polacy na ostatnie święta.

•

Polska, po Chinach i Niemczech, jest trzecim największym eksporterem ozdób choinkowych. W 2020 r. wartość wysłanych w świat ozdób osiągnęła ok. 70 mln euro. Niemal połowa trafiła do Niemiec.

•

Według szacunków ONZ **pomocy humanitarnej potrzebuje 339 mln osób** na całym świecie. Liczba uchodźców i uchodźców wewnętrznych wzrosła do 103 mln.

•

Od marca ub.r. Polska przesłała do Europejskiego Funduszu Pokojowego faktury na dozbrojenie Ukrainy w wysokości 2 mld 200 mln euro. Zwrot z unijnego funduszu dostaliśmy w wysokości 27 mln euro.

•

Poseł PiS Marek Suski ma dom w Grójcu, ale co będzie sobie żałował na mieszkanie w Warszawie! Zwłaszcza że płaci za nie Kancelaria Sejmu. 3,5 tys. zł dostaje też poseł PSL Władysław Teofil Bartoszewski, który ma pod Warszawą dworek. Oprócz nich z dotacji korzysta 211 posłanek i posłów. Razem kosztowało to podatników 8 mln zł.

•

Spółka Allegro została ukarana przez Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów gigantyczną karą ponad 210 mln zł. Allegro w niedozwolony sposób wykorzystywało swoją przewagę rynkową, faworyzowało własny sklep internetowy kosztem innych sprzedawców i bezprawnie zmieniało regulaminy.

PRZEBŁYSKI

Dopisek do tablicy

Armia kombatantów, którzy dzielnie walczyli z komuną, rośnie jeszcze szybciej niż inflacja. O przywileje walczą kolejne pokolenia. Filip Frąckowiak, radny PiS w Warszawie, w 1985 r. miał pięć lat, gdy jego ojciec Józef Szaniawski został aresztowany i skazany pod zarzutem współpracy z Radiem Wolna Europa. Prawdziwy kombatant? Ale jak rozumieć list Szaniawskiego do gen. dyw. Edwarda Poradki, szefa WSW? Odręczny list z 4 października 1985 r. wydrukowało „Nie" w styczniu 1991 r. Cóż tam pisze Szaniawski? „Chcę działać, a myślę, że potrafię, przeciwko Radiu Wolna Europa, jeśli to będzie możliwe w Monachium, lub jeśli nie, to w kraju. A jeśli i to jest niemożliwe, to chcę współpracować z WSW przeciwko wrogom Polski Ludowej, w tym zwłaszcza przeciwko wywiadowi amerykańskiemu i opozycji wewnętrznej. Chciałem podkreślić raz jeszcze, że nigdy nie byłem i nie jestem wrogiem Polski Ludowej, ustroju socjalistycznego, sojuszu PRL-ZSRR. Wręcz odwrotnie. Dawałem temu wyraz jako działacz młodzieżowy na studiach na Uniwersytecie Warszawskim, w okresie mojej pracy zawodowej i społecznej w PAP, AP Interpress, Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (…)".

I tak dalej i dalej. Przypominamy o tym, bo w grudniu na ścianie domu, w którym mieszkał Józef Szaniawski, umieszczono tablicę pamiątkową. Może by tam dać kawałek listu do gen. Poradki?

Zarobiony Markiewicz

Marek Markiewicz, kiedyś polityk, a dziś adwokat i aktywny komentator w mediach dojnej zmiany, ma ręce pełne roboty. Broni m.in. abp. Jędraszewskiego, który lubi poniewierać ludzi LGBT. Broni kurii kaliskiej w procesie wytoczonym przez ofiary ks. Arkadiusza Hajdasza. Robi to z takim zapałem, że po ataku na Jakuba Pankowiaka adwokatura wszczęła wobec Markiewicza dochodzenie dyscyplinarne. Na osłodę abp Jędraszewski załatwił Markiewiczowi Złoty Krzyż Archidiecezji Łódzkiej i członkostwo w Radzie Administracyjnej Fundacji św. Jana Pawła II w Rzymie.

Lewandowski na trenera reprezentacji

Po Czesławie Michniewiczu zostanie do bólu szczera ocena naszych piłkarzy: „Nie potrafię zmienić wody w wino". Ano, nikt nie potrafi. Z tej grupy dość drewnianych piłkarzy, a takich teraz mamy, niewiele wyciśnie nawet najlepszy trener z zagranicy. Szkoda kasy. I szkoda dobrych trenerów, którzy trafią na Lewandowskiego z muchami w nosie. Kulisy relacji Lewandowskiego z Nawałką, Fornalikiem, Brzęczkiem i Michniewiczem dopiero poznamy. Na razie obowiązuje zawodowa omerta. Wielu wie. Ale nikt nie powie.

Jest jednak coś, czym możemy zaskoczyć świat. Dlaczego Lewandowski ma rządzić z tylnego siedzenia? Zróbcie go trenerem reprezentacji.

FOT. YOUTUBE (3)

eprasa.pl 875b2a5ed2

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

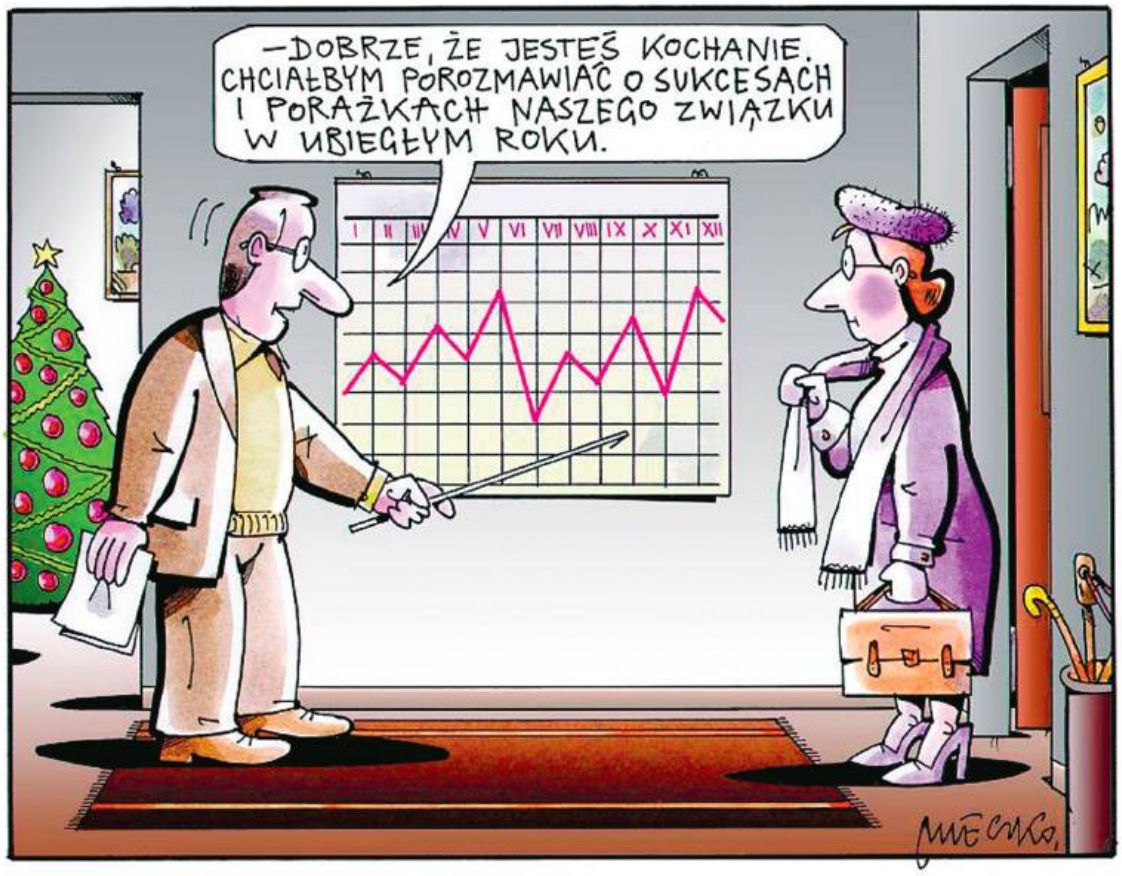

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czym Polacy są już zmęczeni?

KAMIL FEJFER,
analityk rynku pracy

Bez wątpienia niepewnością związaną z inflacją. Tym, że nie wiemy, co w kolejnych miesiącach będzie z naszymi pensjami, opłatami za mieszkanie czy cenami paliw. Jesteśmy też wycieńczeni kolejnymi globalnymi kryzysami. Najpierw musieliśmy się zaadaptować zawodowo i emocjonalnie do skutków pandemii, takich jak lockdowny, a wielu z nas musiało ponadto się pogodzić ze stratą bliskich. Potem wybuchła wojna, wyczerpująca psychicznie zwłaszcza przez pierwsze tygodnie, kiedy żaden analityk nie mógł zagwarantować, że na Polskę nie będą zaraz spadać bomby. Część ludzi wpadła wówczas w tryb nieustannego śledzenia mediów społecznościowych, pełnych apokaliptycznych informacji, i do dzisiaj z niego nie wyszła, co odbija się na ich zdrowiu psychicznym. Na to wszystko nakłada się stałe zmęczenie pracą, gdyż pozostajemy jednym z najbardziej zapracowanych społeczeństw Europy.

KAJA FILACZYŃSKA,
lekarka specjalistka endokrynologii, działaczka Razem

Zmęczenie jest jednym z najczęstszych objawów, z jakimi przychodzą do mnie pacjenci. W wielu przypadkach badania nie wykazują żadnych nieprawidłowości, zmęczenie wynika po prostu z nadmiernego obciążenia obowiązkami. Pacjenci często zgłaszają, że dużo pracują, a jednocześnie coraz więcej wysiłku kosztuje ich opieka nad starszymi rodzicami czy nad dziećmi. Wynika to z kiepskiego dostępu do ochrony zdrowia, żłobków i przedszkoli, różnorodnych problemów z systemem edukacji. Można więc powiedzieć, że Polacy są zmęczeni bardzo niską jakością usług publicznych, czyli brakiem wsparcia państwa w codziennych obowiązkach, co negatywnie odbija się na stanie ich zdrowia.

MONIKA HELAK,
socjolożka, UW, Polityka Insight

Codziennością, która nie spełnia dawanych obietnic. Choć Polska należy już do najbogatszych krajów świata i ma, wbrew pozorom, stabilną sytuację polityczno-gospodarczą, nie widać efektów tego w życiu obywateli i obywatelek. Wciąż jesteśmy przepracowani, zarabiamy nieadekwatnie mało do możliwości gospodarczych, a państwo zawodzi jako dostarczyciel niezbędnych usług i bezpieczeństwa. To, że kolejną dekadę żyjemy na dorobku, w ciągłej deprywacji potrzeb, dotyka zwłaszcza kobiety, które w większym stopniu niż mężczyźni odpowiadają za organizację sfery prywatnej, a właśnie tam odbywa się praca nad utrzymywaniem domu i więzi międzyludzkich czy zachowaniem bezpieczeństwa finansowego. Zmęczeni jesteśmy osamotnieniem w próżnych wysiłkach i tym, że wciąż nie widać ich końca, a elity rządzące państwem i gospodarką odmawiają wzięcia odpowiedzialności za ograniczenie tych wysiłków.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 875b2a5ed2

Jak Lwów przenoszono do Wrocławia

Bez uczonych z Kresów powojenny rozwój naukowy Ziem Odzyskanych byłby niemożliwy

Bohdan Piętka

„Przyjechałem z matką i babką, matką ojca, w wagonie towarowym w 1946 r. Podróż ze Lwowa trwała tydzień. Mieliśmy szczęście, bo wielu członków naszej rodziny dotarło tu z kilkuletnim opóźnieniem – przez Syberię i Kazachstan. Mój ojciec na przykład nigdy do nas nie dołączył. Z Niemcami z Wrocławia było trochę inaczej. Przenieśli się z niemieckiego Wrocławia do innego miasta w Niemczech. Było im łatwiej. Dlatego te przesiedlenia są nieporównywalne", wspominał Jan Gwalbert Ziembicki[1].

„Pan z Wrocławia? Bo ja też ze Lwowa". Takie powiedzenie można było usłyszeć w powojennym Wrocławiu. Lwowiacy i Kresowiacy wnieśli znaczący wkład w odbudowę i przywrócenie Polsce tego miasta. Przede wszystkim stanowili oni ogromną większość jego elity intelektualnej i kulturalnej. Gdyby nie inteligencja, która przyniosła ze sobą etos lwowskiego ośrodka akademicko-kulturalnego, Wrocław nie wyglądałby tak jak dziś. Chociaż „na początku był tylko Breslau – obce miasto – napisała z kolei Ewa Malec[2]. – Obce mury, obce napisy, obca mowa domami. Moja mama płakała, chodząc jego ulicami. I choć słowa Adama Zagajewskiego »...miasto Gorsze. Mniejsze. Niepozorne« dotyczą konkretnie odczuć lwowiaków w Gliwicach, odnoszą się one również do Wrocławia i chyba każdego innego miasta na ziemiach zachodnich, gdzie przyszło żyć lwowiakom. Był więc Wrocław miastem obcym, przecież jednak nie pustym znaczeniowo".

„Pan z Wrocławia? Bo ja też ze Lwowa". Takie powiedzenie można było usłyszeć w powojennym Wrocławiu.

Polski Wrocław

Powojenny los Lwowa nie zdecydował się od razu. Za pozostawieniem tego miasta przy Polsce opowiadali się początkowo Brytyjczycy, postulowali to w rozmowach ze Stalinem w październiku 1944 r. Stanisław Mikołajczyk, Stanisław Grabski i Tadeusz Romer, a także niektórzy sprzymierzeni z PPR socjaliści, tacy jak Oskar Lange i Bolesław Drobner. Pozorując rozmowy z Polakami na ten temat, Stalin przystąpił jednak do tworzenia faktów dokonanych, czyli wielkiej akcji zmiany stosunków narodowościowych we Lwowie, który 27 lipca 1944 r. ponownie znalazł się pod administracją ZSRR. Ostateczne fiasko prób ratowania Lwowa jako miasta polskiego nastąpiło na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r. Stanisławowi Grabskiemu, który w imieniu rządu w Warszawie ustalał warunki ewakuacji ludności polskiej, udało się jedynie wynegocjować zgodę na przeniesienie polskich instytucji oświatowych oraz niewielkiej części polskiej spuścizny kulturalnej w postaci niepełnych zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Umowa między Polską a ZSRR przewidywała, że uczeni polscy mogli zabrać swój warsztat pracy, czyli prywatne książki i aparaturę, lecz z powodu trudności transportowych i niechęci urzędników radzieckich było to bardzo trudne. Natomiast wywóz zbiorów uniwersyteckich i zasobów materialnych lwowskich uczelni był w ogóle niemożliwy.

Pierwsza grupa naukowców lwowskich, pod przewodnictwem prof. Edwarda Geislera, ewakuowała się ze Lwowa na przełomie maja i czerwca 1945 r. Skierowano ich do Krakowa, Gliwic i Gdańska. Następną grupę także do Wrocławia, Poznania i Łodzi. Naukowcy objęci tą ewakuacją nie byli jednak pierwszymi przedstawicielami lwowskiego środowiska akademickiego, którzy pojawili się na nowych Ziemiach Zachodnich.

9 i 10 maja 1945 r. – trzy dni po kapitulacji Festung Breslau – przybyła do Wrocławia 26-osobowa Grupa Naukowo-Kulturalna pod kierownictwem prof. Stanisława Kulczyńskiego i jako Delegatura Ministerstwa Oświaty Rządu Tymczasowego podjęła w zrujnowanym mieście trud zbudowania polskich szkół akademickich na gruzach niemieckich uczelni. Zespół ten funkcjonował w ramach grupy operacyjnej działacza PPS Bolesława Drobnera, który 14 marca 1945 r. został mianowany pełnomocnikiem rządu na miasto Wrocław. Działo się to w okresie, gdy kwestia przynależności państwowej Wrocławia nie była jeszcze przesądzona.

eprasa.pl 875b2a5ed2

Podróżni na Dworcu Świebodzkim we Wrocławiu, 1946 r.

Świadkiem przyjazdu Grupy Naukowo-Kulturalnej był Edward Zubik – wywieziony po upadku powstania warszawskiego do obozu pracy przymusowej w Breslau. Tak wspominał to wydarzenie: „Kapitulacja twierdzy Wrocław (…) dla nas Polaków była oczekiwaną godziną triumfu sprawiedliwości dziejowej (…). Byłem jednym z tych, którzy po poniewierce i nieopisanej niedoli doczekali się wolności (…). 10 maja nagle gruchnęła wieczorem w naszej grupie wiadomość, że już są – oficjalna władza polska (…)! Rankiem skoro świt ogoliłem się i w swoich łachmanach obozowych, ale z biało-czerwoną wstążeczką na piersi, pobiegłem co sił w nogach przez pustawe miasto, aby na własne oczy stwierdzić, czy to prawda (…). Prawda! Wzruszenie odbiera mi głos (…). Własnym oczom nie wierzę. Staję oto przed swoim profesorem z okresu moich studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie – Stanisławem Kulczyńskim. Profesor z miejsca mnie poznaje. Serdeczne powitanie (…). Referuję swoje losy wojenne i w kilkanaście minut już z opaską na ramieniu, uzbrojony w dokumenty stwierdzające, że jestem członkiem ekipy Delegatury Ministerstwa Oświaty, w pozwolenie na posiadanie roweru służbowego i broni osobistej, dostaję polecenie zapoznania się z innymi członkami grupy”.

Rektor rektorem

Tak rozpoczęło się powojenne przenoszenie Lwowa do Wrocławia. Wybitny botanik Stanisław Kulczyński był w latach 1936-1938 rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Ze stanowiska tego zrezygnował w proteście przeciw próbie wymuszenia na władzach uczelni wprowadzenia tzw. getta ławkowego, czyli formy dyskryminacji studentów żydowskich polegającej na wydzieleniu dla nich części sali wykładowej. Kulczyński był jedynym rektorem w Polsce, który przeciwstawił się gettu ławkowemu. W okresie tym współtworzył też Stronnictwo Demokratyczne – partię opozycyjną wobec rządów sanacyjnych, sprzeciwiającą się tendencjom totalitarnym i nacjonalistycznym. Podczas okupacji niemieckiej pełnił w konspiracji przez cztery miesiące funkcję delegata rządu RP na wychodźstwie na Obszar Lwowski. Jednakże Lwów opuścił już w połowie 1942 r. i przeniósł się do Krakowa, gdzie prowadził tajne nauczanie na konspiracyjnym Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1946 r. otrzymał propozycję pracy na jednej z uczelni włoskich. Wybrał jednak leżący w ruinach Wrocław.

Dlaczego akurat to miasto? Początkowo ocalali z wojennej pożogi naukowcy lwowscy chcieli wybrać Kraków. Profesorowie Kulczyński i Stanisław Loria zwrócili się do władz UJ z propozycją utworzenia w strukturach krakowskiej uczelni sekcji Uniwersytetu Lwowskiego. Dopiero wobec braku zainteresowania tą propozycją ze strony krakowskiego środowiska akademickiego, najwyraźniej obawiającego się konkurencji uczonych lwowskich, zdecydowali się „zrobić sobie własny uniwersytet”.

Prof. Kulczyński i jego współpracownicy przeszczepili ze Lwowa do Wrocławia najlepsze tradycje akademickie i etos pracy naukowej. Właśnie Kulczyński zabiegał o to, by na odnowionym Uniwersytecie Wrocławskim znalazły się m.in. dwa wydziały teologiczne: teologii katolickiej

eprasa.pl 875b2a5ed2

i ewangelickiej, na co jednak nie dało zgody Ministerstwo Oświaty. Tak jak w okresie międzywojennym profesor niejednokrotnie nie zgadzał się z oficjalną polityką i narracją władz. Dał temu wyraz m.in. podczas uroczystości odsłonięcia 3 października 1964 r. we Wrocławiu pomnika, który dzisiaj nazywany jest pomnikiem Martyrologii Profesorów Lwowskich, a wtedy nosił nazwę pomnika Uczonych Polskich – Ofiar Hitleryzmu. Ówczesne władze nie życzyły sobie, by monument identyfikowano wyłącznie z polskimi profesorami, których 4 lipca 1941 r. Niemcy zamordowali na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Prof. Kulczyński w swoim wystąpieniu ujawnił prawdziwą intencję wzniesienia pomnika i wymienił z nazwiska wszystkie ofiary tej niemieckiej zbrodni.

Kulczyński ściągnął do Wrocławia najwybitniejszych uczonych lwowskich, którzy przeżyli okupację niemiecką – Kazimierza Idaszewskiego, Hugona Steinhausa, Edwarda Suchardę i innych. Sam został pierwszym rektorem (w latach 1945-1951) połączonych uczelni wrocławskich – uniwersytetu i politechniki. Jako tymczasowy opiekun przeniesionych do Wrocławia zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich podjął decyzję o oddaniu na rzecz Ossolineum użytkowanego przez uniwersytet budynku dawnego gimnazjum św. Macieja, zorganizował przyjęcie zbiorów lwowskich i odpowiednio je zabezpieczył.

Dzięki wysiłkom prof. Kulczyńskiego i jego współpracowników wrocławskie uczelnie były gotowe do podjęcia normalnej działalności, choć jeszcze w bardzo trudnych warunkach, już po upływie pół roku. Zaszczyt wygłoszenia pierwszego, historycznego wykładu inaugurującego działalność Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu przypadł w udziale prof. Kazimierzowi Idaszewskiemu, jako seniorowi wrocławskich pionierów nauki. Wykład ten miał miejsce 15 listopada 1945 r. Uroczysta inauguracja Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu odbyła się 9 czerwca 1946 r. w ramach obchodzonych wówczas Dni Kultury Polskiej na Ziemiach Zachodnich. Podczas tej inauguracji w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego Kulczyński powiedział m.in.: „Jesteśmy materialnymi spadkobiercami ruin niemieckiego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, a duchowymi spadkobiercami kresowej kultury lwowskiej". Czyli nie zacieramy niemieckiego dziedzictwa materialnego Wrocławia, budując w tym mieście od podstaw polski ośrodek naukowo-kulturalny nawiązujący do ośrodka lwowskiego. Tak rozumiał swoją misję człowiek, który przez całe życie kierował się wartościami demokratycznymi.

Nadrektor Wrocławia

Nazywano go „nadrektorem całego naukowego Wrocławia". Był rektorem, „od którego wszystko się zaczęło". Tym, który wraz ze współpracownikami tchnął we wrocławskie uczelnie i w całe miasto lwowskiego ducha. Tylko dzięki jego wysiłkom Ossolineum i Panorama Racławicka znalazły się we Wrocławiu na stałe.

Gdyby nie inteligencja, która przyniosła ze sobą etos lwowskiego ośrodka akademicko-kulturalnego, Wrocław nie wyglądałby tak jak dziś.

Aleksander Małachowski, który po wojnie studiował na Uniwersytecie Wrocławskim prawo i socjologię, tak wspominał po latach „nadrektora": „Za zorganizowanie potężnego warsztatu naukowego we Wrocławiu prof. Kulczyński zapłacił najwyższą cenę, jaką może zapłacić wybitny uczony. Musiał ograniczyć własne badania, co poważnie umniejszyło jego życiowy dorobek. (…) Na każdym kroku dawało się odczuć to, że kierują nami ludzie dużego formatu,

Nie tylko uniwersytet i politechnika

Szybkie powstanie we Wrocławiu silnego ośrodka medycznego było możliwe dzięki przybyłym w maju 1945 r. lwowskim lekarzom, wśród których znaleźli się: Roman Dzioba, Tadeusz Nowakowski, Tadeusz Owiński i Stanisław Szpilczyński. Samodzielna Akademia Lekarska powstała w 1949 r., a jej pierwszym rektorem został lwowski profesor Zygmunt Albert.

W listopadzie 1951 r. rozpoczęła działalność wrocławska Wyższa Szkoła Rolnicza. Jej trzon stanowili uczeni związani przed wojną ze Lwowem i Dublanami. Pierwszym dziekanem Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, w kadrze którego znaleźli się niemal wyłącznie lwowiacy, został prof. Zygmunt Markowski – dawny rektor lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej, a dziekanem Wydziału Rolniczego prof. Tadeusz Konopiński, przed wojną również związany ze Lwowem. W 1949 r. zorganizowano we Wrocławiu Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych (od 1996 r. Akademię Sztuk Pięknych). Podjął się tego pochodzący ze Lwowa, ale wykształcony w Krakowie prof. Eugeniusz Geppert.

Lwowscy naukowcy, m.in. profesorowie Andrzej Klisiecki, Kazimierz Czyżewski, Tadeusz Nowakowski, Zbigniew Nowakowski i Zbigniew Skrocki, tworzyli też po wojnie od podstaw wrocławską Wyższą Szkołę Wychowania Fizycznego, przekształconą w 1972 r. w Akademię Wychowania Fizycznego. Tak samo było z otwartą w grudniu 1948 r. Wyższą Szkołą Muzyczną (obecnie Akademia Muzyczna im. Karola Lipińskiego), którą budował od podstaw ks. dr Hieronim Feicht, związany przed wojną z uczelniami we Lwowie i w Warszawie.

Dzisiejszy Uniwersytet Ekonomiczny wyrósł na bazie Wyższej Szkoły Handlowej utworzonej we Wrocławiu z inicjatywy dwóch lwowskich profesorów: Wincentego Stysia i Kamila Stefki. Inauguracja odbyła się 3 lutego 1947 r., a kadrę tej uczelni stanowili głównie dawni pracownicy Uniwersytetu Jana Kazimierza i Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie oraz Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

eprasa.pl 875b2a5ed2

Pierwszy wykład prof. Kazimierza Idaszewskiego na Politechnice Wrocławskiej, 15 listopada 1945 r.

a wśród nich nawet uczeni o światowej sławie. (…) W pierwszych latach my, studenci, mieliśmy codziennie przed oczyma imponujące widowisko. Wybitni uczeni wykładali w salach bez szyb, chodzili nędznie ubrani, jedli podle i pracowali ponad siły. Sami nieraz dźwigali meble dla swoich zakładów, kompletowali laboratoria i księgozbiory – dawali studentom własne książki, troszczyli się uważnie o każdego zdolniejszego adepta nauki i to nie tylko o jego rozwój intelektualny, ale i o to, czy ma co jeść i gdzie mieszkać".

Szkoda, że w listopadzie 2017 r. Instytut Pamięci Narodowej przystąpił do „dekomunizacji" pamięci (czyli jej wymazywania) o prof. Stanisławie Kulczyńskim, który w okresie PRL był m.in. wicemarszałkiem Sejmu, wiceprzewodniczącym Rady Państwa i przewodniczącym Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich. Specjaliści z IPN wynaleźli w jego życiorysie również tak „obciążający" fakt jak kierowanie w latach 1939-1941 związkiem zawodowym na Uniwersytecie Lwowskim (do którego przynależność pod okupacją radziecką była obowiązkowa). „Dekomunizację" Kulczyńskiego (jako m.in. patrona bulwaru we Wrocławiu) wstrzymano po protestach środowiska akademickiego, ale samo jej podjęcie było jednym z bardziej kompromitujących posunięć IPN.

Spośród ok. 100 tys. lwowiaków zmuszonych do opuszczenia miasta po 1944 r. ok. 17 tys. osiedliło się we Wrocławiu w pierwszych dwóch powojennych latach; stanowili niespełna 8% mieszkańców miasta. Nie zmienia to jednak faktu, że wśród osiedleńców dużą, zwartą i bardzo wyrazistą grupą byli pracownicy akademiccy związani przed wojną ze Lwowem. Na samym Uniwersytecie Wrocławskim w pierwszych powojennych latach stanowili oni 60-70% kadry, podobnie było na Politechnice Wrocławskiej.

O lwowskich korzeniach wrocławskich uczelni świadczy skład ich władz w roku akademickim 1946/1947. Prorektorem ds. uniwersytetu został prof. Jerzy Kowalski – były kierownik Zakładu Filologii Klasycznej II Wydziału Humanistycznego UJK we Lwowie, natomiast prorektorem ds. politechniki prof. Edward Sucharda – wcześniej kierownik Katedry Chemii Organicznej Wydziału Chemicznego oraz rektor Politechniki Lwowskiej. W 14-osobowej komisji senackiej uniwersytetu tylko dwie osoby nie pochodziły z uczelni lwowskich, a w składzie komisji senackiej politechniki na siedem osób tylko jedna była spoza Lwowa.

Największy transfer

Prof. Waldemar Kozuschek, znawca historii nauki, mówiąc o osiedleniu się we Wrocławiu związanych wcześniej ze Lwowem uczonych, stwierdził, że był to „prawdopodobnie największy transfer społeczności akademickiej w historii uniwersyteckiej Europy. Używając przenośni, bez tej »transplantacji«, kiedy jeden organizm został w całości zastąpiony drugim, rozwój naukowy w tym mieście po 1945 r. nie byłby możliwy".

Akademicy lwowscy budowali od podstaw polską naukę nie tylko we Wrocławiu, ale także na Górnym Śląsku, stanowiąc część kadry powstałego w 1968 r. Uniwersytetu Śląskiego, Akademii Ekonomicznej w Katowicach i Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Lwowiaków nie zabrakło też w ośrodkach akademickich w Gdańsku, Toruniu i innych miastach Ziem Zachodnich i Północnych.

eprasa.pl 875b2a5ed2

Ich duchowym ośrodkiem, ucieleśnieniem lwowskiego genius loci, stał się jednak Uniwersytet Wrocławski. Na pytanie: „Czy wybrałeś Wrocław jako ostateczne miejsce zamieszkania świadomie?" starsi lwowiacy w większości odpowiadali: „Bo tu byli lwowiacy", „Bo tu był uniwersytet de facto lwowski". Drugą kluczową dla lwowiaków „instytucją narodową" przeniesioną ze Lwowa do Wrocławia było Ossolineum.

Pierwszym dyrektorem Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu został dr Franciszek Pajączkowski, który po 1939 r. nadal pracował w bibliotece przejętej przez okupantów i położył wielkie zasługi dla zabezpieczenia zbiorów Ossolińskich, a następnie dla sprowadzenia ich do powojennej Polski. W dziele odbudowy Ossolineum wspierali go lwowscy ossolińczycy, którzy przetrwali wojnę, m.in. Roman Aftanazy, Piotr Bogucki, siostry Stanisława Brückmann i Ewelina Wojakowska, Janina Kelles-Krauz i inni. Początki pracy we Wrocławiu Franciszek Pajączkowski wspominał następująco: „Przed małą garstką dawnych Ossolińczyków i doangażowanego personelu stanęły ważkie zadania (…) – remont oddanego przez rektora Kulczyńskiego budynku i rozpoczęcie prac nad uprzystępnieniem zbiorów. Pierwszy rok pracy w powojennych warunkach był dziwnie podobny do ostatniego roku wojennej pracy we Lwowie. Budynek zniszczony w czasie oblężenia Wrocławia w znacznie większym stopniu niż lwowski, ciepłota sal wykazująca uporczywie niewiele ponad 0 st. C, stosy książek i utrudzeni bibliotekarze, przenoszący je łańcuchem przez sale bez dachu. Lodowate klatki schodowe i korytarze…".

Stanisław Kulczyński

Edward Sucharda

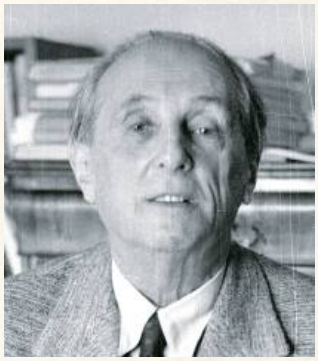
Hugo Steinhaus

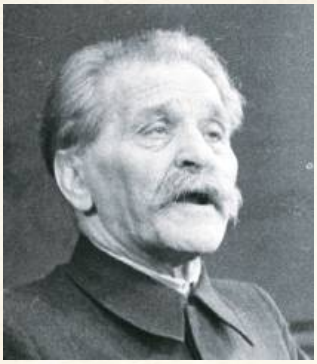
Bolesław Drobner

Nie tylko lwowiacy

„5 maja 1946 r., późną nocą, pociąg ruszył. W ciemnościach nie widziałem pozostawionej za nami ziemi zbaraskiej. Nad ranem zatrzymaliśmy się na stacji w Tarnopolu. Na pobliskim targu kobiety wołały: »goraczije mołoko«. Tutaj poczułem, że nie jesteśmy już u siebie. Dalej jechaliśmy przez Lwów i wreszcie w Rawie Ruskiej usłyszeliśmy na stacji mowę polską, a obok na peronie stały wagony oznaczone godłem polskim. Byliśmy w Polsce", napisał Mieczysław Szustakowski we wspomnieniach „Od Zbaraża do Wrocławia". Ludzi takich jak ich autor były dziesiątki tysięcy.

Lwowiacy i mieszkańcy Kresów Południowo-Wschodnich, których w latach 1945-1946 przymusowo wysiedlono 652 tys. (w tym 618,2 tys. Polaków, 24,5 tys. Żydów i 9,2 tys. Ukraińców), osiedlali się w różnych miastach i miasteczkach Ziem Odzyskanych. Samo przybycie do zburzonego Wrocławia było dla nich przeżyciem traumatycznym, o czym wspominała lwowianka Danuta Nespiak: „Przyjechaliśmy w czerwcu 1946 r., pociąg zatrzymał się na Dworcu Nadodrze, wysiedliśmy... i ja zaczęłam płakać na widok tych straszliwych gruzów, ogromu zniszczenia. To było dla mnie straszne, przerażające – przyjechaliśmy do miasta ruin (…). To nie była taka Polska, jaką byśmy chcieli, nie była do końca wolna, ale miałam wokół siebie Polaków. W liceum pracował bardzo dobry zespół profesorów, część z nich ze Lwowa i to była ogromna pociecha".

Innych Kresowiaków/lwowiaków los zaniósł do Bytomia, Gliwic, Opola, Kłodzka, Szczecina oraz mniejszych miejscowości. Wszędzie – wzorem swoich elit przenoszących naukowy Lwów do Wrocławia – włączali się w budowę od podstaw polskiego życia na tych ziemiach, także administracyjnego. Wśród nich był urzędnik z Tarnopola Jan Krukowski, który organizował władze gminne w Świętej Katarzynie w powiecie wrocławskim. Wielkim przeżyciem było dla niego zawieszenie szyldu z napisem „Urząd Gminny". Tak to wspominał: „Zaprosiłem łącznika politycznego i przedstawiciela wojskowej grupy gospodarczej (z Armii Czerwonej – przyp. aut.) oraz oficera z NKWD i w ich obecności poleciłem przybić tę tablicę na budynku zajętym na siedzibę urzędu. Uroczystość ta, choć taka prosta, wywarła na nas, zwłaszcza na mnie i na sekretarzu, wielkie wrażenie i serdeczne wzruszenie. Gdy jeszcze w dodatku wywiesiłem własnoręcznie naszą flagę ojczystą, obydwaj mieliśmy łzy w oczach i przysięgałem w duszy, że kraju tego, który z powrotem staje się polskim po długowiekowej niewoli, nigdy już nie opuścimy i zagospodarujemy go lepiej od Niemców"[3].

Bohdan Piętka

[1] Jan Gwalbert Ziembicki, www.wyborcza.pl.wroclaw.

[2] Ewa Malec, *Genius loci Lwowa – we Wrocławiu?*, www.lwow.com.pl.

[3] Beata Halicka (red.), *Mój dom nad Odrą. Pamiętniki osadników Ziem Zachodnich po 1945 roku*, Universitas, Kraków 2016.

FOT. PAP (3),NAC (2), MUZEUM POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

eprasa.pl 875b2a5ed2

Z Galicji

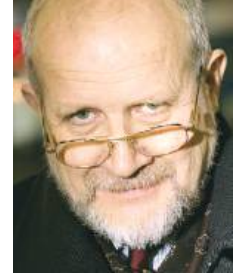

Jan Widacki

Dziwny to był rok…

Rok 2022 za nami. „Był to dziwny rok”, chciałoby się powtórzyć za Sienkiewiczem (oczywiście Henrykiem, nie Bartłomiejem). Obfitował w „rozmaite znaki na niebie i ziemi”, które „zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia”. Było ich bez liku i nawet gdyby ktoś chciał je spisać, brakłoby mu wołowej skóry. A to Rosja napadła na Ukrainę, a to w Polsce Zjednoczona Prawica okazała się mniej zjednoczona, niż się zdawało, ale żrąc się wewnętrznie, trwa i niszczy Polskę, a to Glapiński ponowił kadencję w Narodowym Banku Polskim, a to nowelizując i barbaryzując Kodeks karny, cofnęliśmy się do czasów przed oświeceniem, a to inflacja zaczęła się rozpędzać, a to Jacek Kurski przestał być szefem TVP i został wysłany do Banku Światowego. Gdyby tylko było to w zasięgu Kaczyńskiego, pewnie uczyniliby z ministrem Glińskim Zenka Martyniuka dyrektorem Metropolitan Opera. Na wsadzeniu Kurskiego do Banku Światowego możliwości obsadzania przez PiS stanowisk w Ameryce jednak się wyczerpały. A szkoda, bo Zenek Martyniuk tak pasuje do Metropolitan Opera jak Kurski do Banku Światowego. Ziobro dalej dewastuje wymiar sprawiedliwości, Przyłębska dalej gotuje pyszne zupki i trwa w Trybunale Konstytucyjnym. I jeszcze falstart komendanta głównego policji, który, nie mogąc się doczekać nocy sylwestrowej, wypalił na wiwat z granatnika w swoim gabinecie.

Czy mało to owych znaków na niebie i ziemi, co zwiastują klęski i nadzwyczajne wydarzenia? Mało. Bo czyż nie podobnie jak w Sienkiewiczowskim opisie „nareszcie zima nastała tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. (…) Lody nie popętały wcale wód (…). Padały częste deszcze. Step rozmókł i zmienił się w wielką kałużę, (…) zielona ruń okryła stepy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach zaczęły się burzyć i huczeć, bydło ryczało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy (…), oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niespokojny umysł szczególniej ku Dzikim polom, od których łatwiej niźli skądinąd mogło ukazać się niebezpieczeństwo”. Zaiste, czy i dziś nie od ukrainnych Dzikich Pól łatwiej niż skądinąd może ukazać się niebezpieczeństwo?

Tymczasem, zgodnie ze wskazaniem polityki historycznej, „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna”, a że jest karnawał, to hulaj dusza bez kontusza. PiS za pomocą TVP osieroconej przez bankiera Kurskiego zorganizowało narodowi po raz kolejny igrzyska w postaci „Sylwestra Marzeń” w Zakopanem. Na Równi Krupowej, która na skutek zimy lekkiej rozmiękła i zamieniła się w wielką kałużę jak step u Sienkiewicza, odbyło się kolejne hałaśliwe widowisko. Zenek Martyniuk, nie objąwszy stanowiska w Metropolitan Opera (jak PiS będzie jeszcze rządzić, to na stare lata Zenek zostanie dyrektorem Filharmonii Narodowej, w której minister Gliński dotował będzie koncerty prawdziwie polskiego disco polo, by ostatecznie wyprzeć wynaturzoną muzykę zagraniczną), póki co koncertował pod Giewontem. Czego tam nie było!

Złote rydwany ciągnięte przez misie z Krupówek (w baranich futrach), Zenki i Sławomiry, kicz i tandeta. Jarmarczne widowisko za miliony, podniesione do rangi „Sylwestra Marzeń”. Igrzyska zamiast drożejącego chleba. Brakowało tylko prezydenta, który raz jeszcze mógłby publicznie powalczyć z ostrym cieniem mgły, a przy okazji usłyszałby ze sceny, że LGBT to ludzie, nie ideologia, jak mu się wydawało. Tłum (podobno 65 tys. ludzi) taplający się w błocie rozmiękłej Równi Krupowej dopełniał obrazu, nabierającego wymiaru symbolicznego.

Zenek Martyniuk tak pasuje do Metropolitan Opera jak Kurski do Banku Światowego.

Organizatorzy i ich polityczni nadzorcy nie wykazali się jednak rewolucyjną czujnością i nie odczytali w porę znaków ani przestróg. A przecież najpierw Mel C ze Spice Girls odmówiła udziału w show TVP, wyraźnie uzasadniając odmowę. Stwierdziła, że nie chce uczestniczyć w imprezie organizowanej przez tubę propagandową, szczującą na środowiska LGBT. Zaprosili więc Black Eyed Peas, którzy nie dość, że wystąpili z tęczowymi opaskami, to jeszcze ze sceny upomnieli się o wolność i równe traktowanie wszystkich, w tym mniejszości seksualnych, a nawet prześmiewczo odcięli się od rządzącej w Polsce partii, tłumacząc, że Peas to nie PiS. Jeśli „Sylwester Marzeń” miał być sukcesem pisowskiej propagandy, to chyba nie wyszło. No i wbrew egzorcyzmom abp. Jędraszewskiego „tęczowa zaraza” chyba nadal się szerzy.

Tak to dziwnie się zakończył rok 2022. Rzeczywiście dziwny to był rok! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

Kobiety w wywiadzie

Wywiad w PRL był domeną mężczyzn, kobiety mogły być sekretarkami lub lektorkami języków obcych

Robert Walenciak

To jedna z najdziwniejszych rzeczy. W czasach PRL starano się w wywiadzie nie zatrudniać kobiet, dominowało przekonanie, że do tej służby się nie nadają. Mówił o tym zresztą w PRZEGLĄDZIE (nr 52/2022) gen. Gromosław Czempiński, gdy wspominałem 50 lat ośrodka w Kiejkutach. „Jak przyjmowaliśmy do służby ich pierwsze roczniki – byłem przeciw. Byłem uprzedzony co do tego, jak mogą sobie radzić – przyznawał, a był wtedy wicedyrektorem wywiadu ds. operacyjnych, chwilę później szefem UOP. – Wiedziałem, jak my, mężczyźni, potrafimy nimi manipulować. Ale potem zorientowałem się, że one jeszcze lepiej potrafią manipulować mężczyznami! Więc kobiety w wywiadzie – to jest OK. Dzisiaj to standard".

Co warte zauważenia, wywiad cywilny Polski Ludowej pod względem feminizacji przechodził ewolucję. Do lat 50. kobiety były ważną jego częścią, sprawowały funkcje kierownicze, pracowały w jednostkach operacyjnych. Przyjmowano je do służby. Dlaczego tak się działo? Gdy tworzono wywiad, szukano do niego ludzi lojalnych wobec nowego państwa, znających świat i języki obce. Siłą rzeczy sięgano do wąskiego kręgu osób, głównie działaczy ruchu komunistycznego, bardzo często narodowości żydowskiej.

Witold Bagieński z IPN, który opisał kobiety działające w wywiadzie, niestety tylko na podstawie teczek osobowych, przytacza historie dwóch funkcjonariuszek, które do służby przyszły grubo po czterdziestce.

Kpt. Irena Bielska (Birencwajg) w 1946 r. miała 48 lat. Jej staż partyjny sięgał 1916 r. i członkostwa w SDKPiL. W 1923 r. wyjechała do ZSRR, tam wstąpiła do WKP(b), później pracowała na placówkach zagranicznych ZSRR. Potem była m.in. pomocnikiem prokuratora w Prokuraturze Miejskiej w Moskwie. W 1938 r. aresztowano jej męża, a ją wyrzucono z partii i zesłano do obozu. W 1939 r. została zrehabilitowana i zaczęła pracować w NKWD. Po wojnie wróciła do Polski i na polecenie KC PPR skierowana została do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Uznano, że nadaje się do pracy w wywiadzie, bo zna niemiecki, włoski i francuski.

Jeszcze ciekawszy życiorys miała urodzona w roku 1900 Justyna Sierp (Ides Szöke, z d. Rappaport). Do SDKPiL wstąpiła w 1918 r., a później do KPRP. Za działalność komunistyczną została zatrzymana i umieszczona w obozie dla internowanych w krakowskim Dąbiu. Tam w latach 1919-1921 przetrzymywano komunistów, bundowców, żołnierzy rozbitego korpusu Denikina, Ukraińców, w zasadzie wszystkich podejrzanych. Justyna Sierp z obozu uciekła do Niemiec. Tam rozpoczęła pracę dla wywiadu Armii Czerwonej. W latach 30. była łączniczką ścisłego kierownictwa KPP, jak mówiła, „znała wszystkich ludzi, którzy jeździli do Moskwy, trzymała całą kasę i sieć kurierską w swych rękach. Przez jej ręce przechodziła cała korespondencja Politbiura. Załatwiała lokale i paszporty". Po rozwiązaniu KPP zatrudniła się jako gospodyni u pisarki Anny Seghers, która emigrowała z Niemiec do Paryża. W czasie wojny z kolei była kelnerką w restauracji hotelu w Wersalu. I pracowała dla wywiadu radzieckiego. Do Polski przyjechała w 1947 r., rozpoczęła pracę w wywiadzie i kierowała Referatem Jenieckim Wydziału I (Szkoleniowego). Komórka ta zajmowała się jeńcami niemieckimi w Polsce, poszukiwała wśród nich kandydatów na agentów.

Tyle suchy opis wyciągnięty z teczki personalnej. W Archiwum Kobiet znaleźć można wspomnienie o Justynie Sierp, napisane przez jej znajomą, Helenę Marek, i krótką charakterystykę: „Była skromna i akuratna, w mieszkaniu jej zawsze panował porządek. Znała się świetnie na ludziach, potrafiła błyskawicznie ocenić ich zdolności, a także przywary. Miała charakterystyczny sposób prowadzenia rozmowy, dzięki któremu bardzo szybko orientowała się w poglądach rozmówcy, nie zdradzając swoich. Sama była w stosunku do ludzi nieufna. Miała mnóstwo znajomych, ale przyjaźniła się z niewieloma osobami. Miała talent organizatorski, błyskawiczną orientację i niezawodną pamięć i spostrzegawczość".

Gen. Gromosław Czempiński: Wiedziałem, jak my, mężczyźni, potrafimy manipulować. Ale zorientowałem się, że kobiety jeszcze lepiej potrafią manipulować mężczyznami!

Z kolei w Wydziale III (kontrwywiadzie) Sekcją Krajów Demokracji Ludowej, a potem Amerykańską kierowała ppor. Wanda Ołdakowska (z d. Edelszejn, nast. Zadrużna i Zadrużna-Wilkoszewska). Jej życie również było materiałem na serial. W 1940 r., miała wtedy niespełna 16 lat, trafiła z rodziną do getta warszawskiego. W 1942 r. uciekła stamtąd z matką i, posługując się sfałszowanymi dokumentami, zalegalizowała pobyt w aryjskiej części Warszawy. W czasie powstania w getcie mieszkanie, które wynajmowały, było kryjówką członków Żydowskiej

eprasa.pl 875b2a5ed2

Dyrektor Departamentu Kadr
Ministerstwa Spraw Wewnętrznych
w miejscu

Podanie

Proszę o uregulowanie me
isterstwem Spraw Wewnętrzny ie
pracowników tego resortu.
Ze Służbą Bezpieczeńst lat.
kresie tym starałam się w ie obo-
zki i zadania w miarę mo i z roz
ą. W tym stanie rzeczy przyjęcie adrowych
cowników MSW będzie logiczna konsekwencja

Alice Kraffczyk była jedną z najcenniejszych agentek wywiadu.

Organizacji Bojowej (m.in. Icchaka Cukiermana). Po wybuchu powstania warszawskiego wywieziono ją na roboty przymusowe do Niemiec. Po zakończeniu wojny znalazła się w Paryżu, w przedstawicielstwie PKWN. Po powrocie do Polski pracowała w ministerstwach cywilnych, potem trafiła do MBP.

•

Od lat 50. liczba kobiet pracujących w wywiadzie systematycznie malała. A po Październiku ‘56 zadecydowano, że funkcjonariuszki nie będą już zatrudniane na stanowiskach oficerów operacyjnych. Mogły one pracować jedynie w komórkach pomocniczych. W rezydenturach zagranicznych została ich garstka.

Kpt. Elżbieta Michalska wyróżniła się w tej grupie. Jako Estera Jeleń studiowała w czasie wojny na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Moskiewskiego. Tam nauczyła się angielskiego, francuskiego, niemieckiego i hiszpańskiego. W latach 1943-1946 służyła w Armii Czerwonej. W 1948 r. rozpoczęła pracę w wywiadzie MBP jako Elżbieta Jasińska. Po zawarciu małżeństwa z mjr. Władysławem Michalskim pracowała z nim w rezydenturach w Londynie i w Berlinie. A w jej aktach osobowych możemy wyczytać, że „nabyła dość dużą praktykę i umiejętność pracy z agenturą”. W Berlinie prowadziła sporą grupę agentów, w tym agenta o pseudonimie „Student”, agentkę „Ingrid” i przede wszystkim Alice Kraffczyk, która pracowała w Sztabie Wojsk Lotniczych Ministerstwa Obrony RFN.

Alice Kraffczyk była jedną z najcenniejszych agentek wywiadu. Pochodziła z Górnego Śląska, była Niemką, informatorką UB, a pod koniec lat 50. przejął ją wywiad. Wyjechała z Polski do RFN i dość szczęśliwie znalazła pracę jako sekretarka w Sztabie Wojsk Lotniczych. Następnie przeniosła się do sekretariatu pełnomocnika parlamentarnego Bundeswehry.

W roku 1973 została przeniesiona do pracy w ambasadzie RFN w Warszawie. Wtedy wywiad PRL ją ukadrowił, została przyjęta do służby na etacie niejawnym, jako nielegał, pod nazwiskiem Halina Szymańska. W 1978 r. przeszła w Niemczech na rentę. W polskim wywiadzie była funkcjonariuszką do roku 1990.

•

Lata 60. utrwaliły dwa trendy. Na przełomie roku 1960 i 1961 wprowadzono zasadę, że w wywiadzie nie mogą pracować osoby, które mają krewnych w państwach kapitalistycznych. Ten z pozoru niewinny przepis uderzył w część kadry pochodzenia żydowskiego, pokolenia KPP. Doprowadził do zwolnienia tych ludzi ze służby. Drugi trend dotyczył maskulinizacji wywiadu. Przede wszystkim zamknięto przed kobietami szkoły wywiadu, na Długiej, w Ksawerowie, a potem w słynnych Starych Kiejkutach. Zresztą jak najbardziej świadomie. Minister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic otwarcie głosił, że należy zahamować „feminizację aparatu”.

Jaki był tego powód? Mówiono o tym otwarcie – funkcjonariuszki były postrzegane jako gorsze, m.in. ze względu na gorszy stan zdrowia, większą absencję chorobową, konieczność opieki nad dziećmi, urlopy macierzyńskie, wychowawcze, mniejszą dyspozycyjność, specyfikę służby. Uważano, że są za „miękkie”. Obawiano się również romansów i ich konsekwencji.

To były pragmatyczne argumenty. Na to powinniśmy nałożyć kalkę uprzedzeń kulturowych. Tłumaczył to jeden z oficerów – matka nie zostawi dziecka samego, gdy będzie musiała iść w nocy na akcję. Dziecko będzie dla niej ważniejsze. Ale chyba nie tłumaczył do końca. Wiele do myślenia daje wypowiedź Zofii Jegorow, która służyła m.in. w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie. W jej opinii w ramach MKNiK „praca operacyjna kobiety może istnieć w niewielu aspektach, np. administracyjnym, gospodarczym, przy dobrej znajomości języka – jednorazowych informacji, względnie flirtu. Innych możliwości nie stwierdziłam i chyba nie tylko ja. (...) Poza tym niezbyt łatwe życie mają kobiety w Delegacji Polskiej. Są często traktowane bezczelnie i w ordynarny sposób przez współpracowników”. Natomiast podczas zebrania POP PZPR Jegorow mówiła, że „trudno wymagać od kobiet pracujących, mających poza tym obowiązki domowe, tyle, ile od mężczyzn”. Czyli gotowanie zupy, sprzątanie i zajmowanie się dziećmi – innymi słowy wpychano kobiety w role, które wyznaczały im Kościół i tradycyjny robotniczo-chłopski model rodziny. Taka była Polska Ludowa. Trudno w tych warunkach być Jamesem Bondem na sto procent.

Dopiero w latach 90. zaczęto patrzeć na te sprawy inaczej. Pytanie, czy wpływ na to miały dobre rady nowych sojuszników, czy przemiany obyczajowe. ■

FOT. IPN

eprasa.pl 875b2a5ed2

Grypo, pozwól żyć

Brakuje wolnych łóżek na oddziałach pediatrycznych. Kolejki na SOR-ach, w przychodniach i aptekach. Groźne patogeny zaskoczyły lekarzy i pacjentów

Marek Czarkowski

Grypa szaleje w Kaliszu. Zapełniony oddział pediatryczny w miejscowym szpitalu i długie kolejki do lekarzy w przychodniach. W grudniu zachorowały tam 2454 osoby. Podobnie w Sochaczewie. Pod koniec roku wszystkie przychodnie przeżywały oblężenie. Zdarzało się, że o godz. 8 rano w kolejce czekało ponad 60 osób. W aptekach zaczęło brakować leków przeciwgorączkowych i antybiotyków.

Już na początku grudnia 2022 r. media lokalne, a następnie centralne, donosiły o lawinowym wzroście liczby wymagających hospitalizacji dzieci z infekcją dróg oddechowych. W niektórych szpitalach na oddziałach pediatrycznych trzeba było dostawiać łóżka. Przyczyną gwałtownej kumulacji zachorowań są wirusy głównie grypy, RSV (syncytialnego wirusa oddechowego, z ang. Respiratory Syncytial Virus) i SARS-CoV-2.

Problemem dla lekarzy stało się ustalenie, na co cierpią pacjenci, ponieważ wszystkie trzy wirusy wywołują bardzo podobne objawy chorobowe. Potrzebne były tzw. testy combo, które wykrywały rodzaj wirusa. Jednak pod koniec roku w hurtowniach i aptekach testów zaczęło brakować. Nie miały ich nawet specjalistyczne szpitale, np. Instytut Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi, gdzie 30 grudnia zmarł na infekcję 10-letni chłopiec.

Niepokojąco duża liczba chorych dzieci, które najpierw trafiały do lekarzy rodzinnych, po kilku dniach pojawiała się w szpitalnych oddziałach ratunkowych. Najtrudniejsze przypadki trzeba było hospitalizować.

10 grudnia 2022 r. Polska Agencja Prasowa cytowała Jarosława Cejrowskiego, rzecznika prasowego Szpitala Dziecięcego Polanki w Gdańsku, który informował, że od początku miesiąca do placówki zgłosiło się ponad 450 pacjentów. Z porad lekarskich w ramach nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej skorzystało 330 dzieci. Ponad 20% było zainfekowanych wirusem RSV. Na oddziale pediatrycznym szpitala wolnych pozostało jedynie 10 łóżek.

Gorsza sytuacja była w Szpitalu Specjalistycznym w Radomiu, gdzie żadne z 14 łóżek na oddziale dziecięcym nie zostało wolne. Dziesięcioro niemowląt okazało się zainfekowanych wirusem RSV. Z podobnymi wyzwaniami borykały się szpitale w Krakowie, Katowicach, Poznaniu, Warszawie…

Minister zdrowia Adam Niedzielski przyznał na konferencji prasowej, że w całym kraju oddziały pediatryczne są w dużym stopniu obłożone, ale resort monitoruje sytuację. Z meldunków epidemiologicznych Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny wynika, że od 1 września do 31 grudnia 2022 r. odnotowano w Polsce łącznie 2,4 mln zgłoszeń przypadków zachorowań lub podejrzeń zachorowań na grypę. Tylko w ostatnim tygodniu minionego roku z powodu grypy zmarły w Polsce 23 osoby. Rok temu w tym samym czasie odnotowano zaledwie 882 tys. zachorowań. I nikt nie umarł. Tłumaczono to falą pandemii COVID-19, która wymusiła izolację społeczną, masowe stosowanie maseczek, zawieszenie zajęć szkolnych oraz czasowe zamykanie żłobków i przedszkoli. Częściej myliśmy ręce, rzadziej odwiedzaliśmy kina, restauracje, kluby nocne, galerie handlowe i inne podobne miejsca. Dzięki temu wirus grypy nie rozprzestrzeniał się tak szybko i tak szeroko jak obecnie, gdy wszelkie ograniczenia zostały uchylone, a Polacy wrócili do dawnych zachowań. Przed epidemią nie uchroniły nas też szczepienia, bo w ubiegłym roku przeciw grypie zaszczepiło się zaledwie 4% Polaków.

BEZPŁATNE I REFUNDOWANE SZCZEPIONKI PRZECIW GRYPIE W SEZONIE 2022/2023

Szczepionka VaxigripTetra

Bezpłatna – dla kobiet w ciąży i osób powyżej 75. roku życia.

50% odpłatności (pacjent płaci 25,95 zł) – dla dzieci od ukończenia 6. miesiąca życia do 18. roku życia, osób w wieku 16-65 lat z grup ryzyka ciężkiego przebiegu grypy i osób w wieku 66-75 lat.

Szczepionka Influvac Tetra

Bezpłatna – dla kobiet w ciąży.

50% odpłatności (pacjent płaci 25,78 zł) – dla osób w wieku 16-65 lat.

Szczepionka Fluenz Tetra, podawana do nosa

50% odpłatności (pacjent płaci 47,12 zł) – dla dzieci po ukończeniu 24. miesiąca życia, a przed ukończeniem 18 lat.

Grypa to tylko „cięższe przeziębienie"

Dziś zadajemy sobie pytanie, czy w sezonie zachorowań na grypę i inne infekcje grozi nam kryzys służby zdrowia. Zapewne nie. Liczba przypadków zbliżona jest do tej,

eprasa.pl 875b2a5ed2

Poranna kolejka po numerek do pediatry w jednej z warszawskich przychodni.

z którą mieliśmy do czynienia w latach przed COVID-19. Poza tym nie traktujemy grypy zbyt poważnie, chyba że straszono nas jej świńską lub ptasią odmianą, które miały nas zdziesiątkować, do czego rzecz jasna nie doszło.

Pokolenia, które pamiętało grypę hiszpankę z lat 1918-1919 (od 50 mln do 100 mln zgonów na świecie) dawno już nie ma, a w czasie epidemii grypy Hongkong z lat 1968-1979 czy grypy meksykańskiej z roku 2009 liczba zmarłych w skali globu nie była większa niż 1,6 mln.

Lekceważeniu choroby sprzyja fakt, że w Polsce nie szczepi się nawet personel medyczny. Odsetek pracowników służby zdrowia zaszczepionych przeciw grypie to średnio 22,6% (badania przeprowadzone w sezonie 2016/2017). Wśród lekarzy najczęściej szczepili się pediatrzy (53,7%) oraz lekarze rodzinni (51,1%). Najrzadziej – ortopedzi i psychiatrzy (17%). Tymczasem np. w Stanach Zjednoczonych przeciw grypie szczepi się 80% personelu medycznego.

Nie ma cienia przesady w twierdzeniu, że gdy rośnie liczba zachorowań,

W ostatnim tygodniu minionego roku z powodu grypy zmarły w Polsce 23 osoby.

Współczynnik śmiertelności dla grypy wynosi 0,002%, natomiast dla COVID-19 – 3,4%. Jeśli w całym roku 2019 z jej powodu zmarły 153 osoby, to tylko 14 października 2020 r. Ministerstwo Zdrowia informowało o 116 zmarłych z powodu COVID-19, a następnego dnia o 91 osobach. Nawet jeśli w sezonie notuje się w Polsce ponad 2,5 mln zachorowań, to niska śmiertelność sprawia, że grypę traktujemy jak cięższe przeziębienie.

przychodnie, SOR-y i oddziały szpitalne stają się rozsadnikami grypy i chorób zakaźnych szerzących się drogą kropelkową. To samo możemy powiedzieć o szkołach, przedszkolach i żłobkach. Nie budzi to przerażenia u większości z nas, gdyż jesteśmy z takimi sytuacjami oswojeni. Podobnie jak przywykliśmy do kolejek w przychodniach i szpitalach. Jaki jest stan polskiej służby zdrowia, każdy widzi i niczego dobrego nie oczekuje.

Pediatria? A kogo ona obchodzi?

Od miesięcy część szpitali ma problem z utrzymaniem oddziałów pediatrycznych – brakuje pieniędzy i specjalistów. A to na nie spadł teraz obowiązek zatroszczenia się o małych pacjentów cierpiących z powodu grypy i innych chorób. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że co najmniej od zeszłej wiosny pod kierownictwem prezesa NFZ Filipa Nowaka działa zespół, którego zadaniem jest przygotowanie reformy mającej wzmocnić finansowo pediatrię. Minister Niedzielski wspominał, że w ramach konkursów jego resort przeznaczył na pediatrię ok. 2 mld zł. Dobre i to, choć szpitale szacowały swoje potrzeby na 4 mld.

Problem ze szpitalnymi oddziałami dziecięcymi jest taki, że część z nich ma kłopoty z realizacją limitów zapisanych w umowach z Narodowym Funduszem Zdrowia. Zwyczajnie brakuje im pacjentów. Dotyczy to głównie szpitali powiatowych, bo rodzice zamiast do nich jadą od razu do placówek wysokospecjalistycznych, które nie mają nic przeciwko temu, gdyż NFZ płaci im za nadwykonania. Oddział pediatryczny w szpitalu powiatowym świeci więc pustkami, ale personel medyczny musi być utrzymywany w pełnej gotowości. A ponieważ to kosztuje, część dyrektorów podejmuje decyzje o likwidacji oddziałów.

Wydaje się to tym łatwiejsze, że podobnym decyzjom sprzyja sam minister zdrowia. 4 grudnia w Polsat News Adam Niedzielski powiedział: „Struktura szpitali musi odpowiadać na zapotrzebowanie (…). Teraz większe zapotrzebowanie mamy na opiekę nad osobami starszymi". Innymi słowy, minister stawia na geriatrię, a nie pediatrię. I pewnie zdania nie zmieni, zwłaszcza gdy minie fala grypy, COVID-19 i RSV. Dlatego chorzy, głównie dzieci wraz z rodzicami, nadal będą się tłoczyli w przychodniach, na SOR-ach i w innych miejscach, w których mogą liczyć na pomoc.

Kolejki to efekt nie tylko oszczędności, ale coraz częściej również braku specjalistów. W Polsce na 10 tys. mieszkańców przypada 24 lekarzy,

FOT. ANNA GOLASZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 875b2a5ed2

co wśród państw OECD daje nam ósme miejsce od końca, ex aequo z Meksykiem. W naszym kraju pracuje ponad 60 tys. lekarzy, z czego 42% stanowią osoby, które ukończyły 55. rok życia. Już wkrótce wielu z nich odejdzie na zasłużoną emeryturę. Nie wszystkich da się zastąpić. Dotyczy to także pediatrii.

Zbędna profilaktyka

Jeśli w Polsce jedynie kilka procent populacji szczepi się przeciw grypie, to nie dziwmy się, że każdego roku zapadają na nią miliony. Dwa lata pandemii dowiodły, że nawet proste środki zaradcze, takie jak maseczki, regularne mycie rąk i utrzymywanie dystansu społecznego, są w stanie ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa. Ile moglibyśmy osiągnąć, gdyby te zachowania zostały utrwalone i znacznie więcej osób skorzystałoby ze szczepień? Lecz nikt nie jest w stanie przekonać Polaków do profilaktyki.

Autorytety medyczne nas nie interesują. Więcej uwagi poświęcamy osobnikom twierdzącym, że szczepionki to wymysł międzynarodowych koncernów farmaceutycznych, które chcą nas wydoić. Albo miliardera Billa Gatesa, którego ludzie chcą nam wszczepić chipy, by móc nas kontrolować. I rzecz jasna szczepionki, zwłaszcza te najpopularniejsze, przeciw grypie, nie działają.

Coś w tym musi być, gdyż dane publikowane w poważnych naukowych periodykach nie napawają optymizmem. Na stronie internetowej Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego znalazłem wzmiankę, że szczepienia przeciw grypie zapobiegają zachorowaniom u ok. 40-70% osób, w zależności od sezonu i grupy szczepionych. Monika Wasilonek z serwisu Medonet pisała natomiast: „W 2019 r. skuteczność rzeczywista szczepionki na grypę wyniosła 47%". Przy czym szczepionki nie chronią nas całkowicie przed zachorowaniem, lecz zwiększają szanse na to, że unikniemy groźnych powikłań. Nie ma mowy o 100-procentowej skuteczności.

A skoro tak, to po co się szczepić – powie wielu. Tym bardziej że szczepionka przeciw grypie, z 50-procentową refundacją, kosztuje dziś 25,78 zł. Wcześniej trzeba dostać się do lekarza, co nie jest łatwe, by po zbadaniu otrzymać receptę.

Politycy o tym wiedzą i nie mają zamiaru tracić czasu, energii ani środków na zajmowanie się kwestiami, w których większość narodu ma wyrobione zdanie. Bez względu na to, co będą mówili minister zdrowia Adam Niedzielski i rzecznik resortu Wojciech Andrusiewicz, w sprawie szczepień i profilaktyki nic nie będzie się działo.

W ubiegłym roku przeciw grypie zaszczepiło się zaledwie 4% Polaków.

Za to media będą miały czym się zajmować. Sezonowy temat grypy, kolejek w przychodniach i aptekach oraz przepełnionych oddziałów szpitalnych zawsze zainteresuje telewidzów i czytelników. Jak niegdyś brak sznurka do snopowiązałek.

Do sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, świetnie pasuje – który to już raz? – słynna myśl Stefana Kisielewskiego: „To, że jesteśmy w dupie, to jasne. Problem w tym, że zaczynamy się w niej urządzać".

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Oświadczenie prezeski fundacji Grand Press w sprawie postępowania KRRiTV dotyczącego reportażu „Siła kłamstwa" autorstwa Piotra Świerczka

Stojąc na straży wolności słowa w Polsce, a także jakości i rzetelności polskiego dziennikarstwa, fundacja Grand Press wyraża głębokie zaniepokojenie wszczęciem z urzędu przez przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Macieja Świrskiego postępowania w sprawie wyemitowanego w „Czarno na białym" TVN 24 reportażu „Siła kłamstwa" autorstwa Piotra Świerczka.

Wyróżniony nagrodą Grand Press materiał jest wynikiem wielomiesięcznej pracy dziennikarza, który swoją determinacją i nieustępliwością w dochodzeniu do prawdy świadczy o tym, czym powinno być rzetelne dziennikarstwo.

Niedopuszczalna jest kolejna już próba zamykania ust dziennikarzom wolnych mediów przez polskie instytucje państwowe oraz zastraszanie redakcji, by te nie poruszały tematów niewygodnych dla władzy.

Powinnością dziennikarzy i mediów jest rzetelne informowanie opinii publicznej, badanie nadużyć władz i ujawnianie zatajanych przed społeczeństwem informacji. Żadna władza nie ma prawa wpływać na treść materiałów dziennikarskich ani oczekiwać publikacji materiałów jej przychylnych.

Przeciwstawiając się partyjnej propagandzie, jaką od siedmiu lat realizują polskie władze, stanowczo wzywam KRRiTV do wypełniania swojego zadania, jakim jest m.in. „sprzyjanie swobodnemu kształtowaniu się poglądów obywateli oraz formowaniu się opinii publicznej", niezależnie od osobistych preferencji politycznych jej przewodniczącego i większości członków rady.

Wzywam polskie wolne media oraz międzynarodowe organizacje dziennikarskie do solidarnej obrony niezależności dziennikarzy, a od KRRiTV żądam natychmiastowego zaprzestania represjonowania redakcji TVN i TVN 24.

Weronika Mirowska
Prezeska fundacji Grand Press

eprasa.pl 875b2a5ed2

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

47 296 powodów, żeby rozwiązać Straż Graniczną

Na ogólnie zadane pytanie, czy w Polsce może funkcjonować instytucja, organizacja, służba państwowa (!), która masowo dopuszcza się działań przestępczych, systematycznie, regularnie łamie prawo, nie zwraca uwagi na kolejne wyroki sądowe, które to potwierdzają, odpowiedź wydaje się oczywista – nie, nie może. A jednak funkcjonuje w najlepsze. To Straż Graniczna, w szczególności jej funkcjonariusze stacjonujący wzdłuż granicy z Białorusią. W trybie dostępu do informacji publicznej (prawa obowiązującego od 20 lat), regulacji bardzo nielubianej przez rządzących, opublikowana została w ostatnich dniach odpowiedź komendanta Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej im. gen. dyw. Henryka Minkiewicza w Białymstoku. W imieniu komendanta gen. bryg. SG Andrzeja Jakubaszka pismo podpisał ppłk SG Tomasz Kołnierowicz, naczelnik Wydziału Ochrony Informacji.

Pytania w trybie dostępu do informacji publicznej zadał Grzegorz Gołębiowski – wolontariusz Stowarzyszenia Egala, organizacji, której nazwa w języku esperanto oznacza równi. Misją Egali jest „budowanie przyjaznej, włączającej społeczności dla wszystkich osób – bez względu na ich narodowość, kulturę, religię, przekonania, orientację seksualną czy pochodzenie, wspieranie migrantów i uchodźców w procesie adaptacji i integracji do życia w Polsce, rozwijanie wrażliwości społeczności przyjmującej na sytuację osób z doświadczeniem migracyjnym i uchodźczym, rozwijanie wiedzy społeczeństwa przyjmującego na temat migracji i uchodźstwa, aktywne przeciwdziałanie kryzysom humanitarnym, upowszechnianie i ochrona wolności i praw człowieka oraz swobód obywatelskich, a także działań wspomagających rozwój demokracji, przeciwdziałanie wszelkim formom dyskryminacji". Straż Graniczna odpowiedziała na zadane pytania często niejasno, wymijająco, niekonkretnie. Jej odpowiedzi należy czytać jak pismo dawnej, nieznanej kultury: z przypisami, komentarzami, wyjaśnieniami oraz uzupełnieniami, co się kryje między wierszami i w tym, co niedopowiedziane.

Jedno nie ulega wątpliwości: od sierpnia 2021 r. do grudnia 2022 r. Straż Graniczna wykonała 47 296 wywózek (pushbacków), zwanych w formalnej nomenklaturze „czynnościami zawrócenia do linii granicy państwowej". Oprócz tego, ile było udokumentowanych przez SG „wypchnięć" z Polski, dowiadujemy się, że procedurze poddawane są też dzieci, chociaż w swojej skrupulatności sprawozdawczej SG nie rejestruje ich wieku (!), co oznacza, że nie wiemy, ile miało najmłodsze „wypchnięte" dziecko czy niemowlę. Dane osób odstawianych do linii granicy oraz dokumentacja takich czynności sporządzane są „w zależności od okoliczności i podstawy realizacji zadania" (czyli nie zawsze, a może nawet z rzadka – komentuje Egala); do działań używane są psy służbowe. Poza tym „Straż Graniczna nie ma danych na temat osób, które zostały odstawione do linii granicy i które później zostały znalezione martwe w Polsce; nie wiadomo, ile takich osób było".

Polskie sądy już kilkukrotnie wydały wyroki stwierdzające, że pushbacki, czyli „czynności zawracania do linii granicy", są nielegalne i sprzeczne z przepisami prawa krajowego, w tym Konstytucji RP, oraz międzynarodowego. Mimo takich wyroków Straż Graniczna w dalszym ciągu pushbacki wykonuje – piszą działacze Egali.

Polskie „służby" (wrócę do tego nieadekwatnego w przypadku SG terminu) na polecenie rządu, prowadzącego partyjną politykę wrogości wobec migrantów na granicy polsko-białoruskiej, łamią polskie prawo i zobowiązania międzynarodowe. List Straży Granicznej z powyższymi odpowiedziami jest właściwie zarówno aktem oskarżenia, jak i przyznaniem się do winy. Wniosek może być tylko jeden: ta formacja w takiej formule nie ma prawa funkcjonować w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Powinna zostać rozwiązana, winni zdegradowani, usunięci ze służby, objęci zakazem zajmowania jakichkolwiek stanowisk publicznych oraz pozbawieni wszelkich osłon socjalnych, takich jak emerytury czy odprawy.

Zapewne również z powodów prawnych Polska powinna dysponować formacją odpowiedzialną za służbę (podkreślam: służbę, a nie działalność przestępczą) na granicach. Proponuję zatem, żeby została powołana Służba Graniczna w miejsce skompromitowanej formacji o nazwie Straż Graniczna.

Formalne rozwiązanie Straży Granicznej domaga się też przeprowadzenia koniecznych procesów karnych i ukarania winnych wydawania przestępczych rozkazów. Dotyczy to także czegoś, co w prawie nazywa się sprawstwem kierowniczym. I tu jest miejsce na ławie oskarżonych dla premiera, wicepremierów (w tym Jarosława Kaczyńskiego), ministrów spraw wewnętrznych, szefów służb i innych odpowiedzialnych za sterowanie procederem, nadzorowanie go, podżeganie do przestępstw, tuszowanie ich.

Tę hańbę musi zmyć i rozliczyć polskie państwo. Nasze państwo. Inaczej nie bardzo rozumiem, jak ma dalej funkcjonować. A poza wszystkim to precz z granicami i pamiętajmy, zanim sami tego doświadczymy ponownie: „żaden człowiek nie jest nielegalny". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

Bezkarny pirat na Opolszczyźnie

Metalowa siatka wygradza ponad 60 ha ziemi. Właściciel ogrodzenia odciął dostęp do ok. 100 działek i prywatnych pól

Beata Dżon-Ozimek

„My niżej podpisani mieszkańcy Gminy Chrząstowice, działając w interesie publicznym, w trosce o poszanowanie środowiska naturalnego, prawa własności oraz prawa miejscowego, zwracamy się z prośbą o wydanie nakazu rozbiórki ogrodzenia w lokalizacji »Trzy Mosty« oraz wydanie nakazu przywrócenia terenu do stanu zgodnego z ustaleniami Miejscowego Planu Zagospodarowania Przestrzennego" – tak zaczyna się petycja do wójta Chrząstowic, podpisana przez mieszkańców i właścicieli działek.

Owo długie na w sumie ponad 4 km ogrodzenie widać na mapach Google – nie ma podobnego w Polsce. Obszar położony w Dębskiej Kuźni w gminie Chrząstowice otacza mocna, metalowa siatka, na odcinku 2 km ponaddwumetrowa. Grodzi i zamyka przeszło 60 ha ziemi, a nie jest to ziemia niczyja, choć właściciel ogrodzenia tak ją potraktował: zaorał, obsiał, ogrodził, używając najtańszych materiałów, np. nasączonych chemią, trujących grunt podkładów. Odciął dostęp do ok. 100 działek, prywatnych pól i łąk o wartości szacowanej na ok. 3 mln zł. Właściciele o tym nie wiedzieli, wielu nie wie do dziś.

Takie zagarnianie ziemi nazywa się piractwem gruntowym i jest opłacalnym procederem. Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa do wypłacania unijnych dopłat do upraw wystarcza oświadczenie rolnika o uprawianiu ziemi, bez potwierdzenia praw do użytkowania. Na nazwisko pirata z Opolszczyzny tylko za 2021 r. wypłacono według listy beneficjentów ARiMR ok. 300 tys. zł. A to jedynie część jego korzyści. Właściciel ogrodzenia oraz upraw został ustalony przez policję w Ozimku na wniosek Urzędu Gminy Chrząstowice. Miejscowi zdradzają, że pirat jest znanym działaczem samorządu rolniczego, ale na dźwięk jego nazwiska częściej usta się zamykają, niż otwierają.

Ambony przy niebezpiecznym płocie

Ogrodzenie robi wrażenie przygnębiające. Jest obstawione ambonami myśliwskimi niemal jak obóz wieżyczkami, tu można być panem życia i śmierci uwięzionych na wygrodzonym terenie zwierząt. Bardzo mocna siatka bywa przecinana, potem ktoś łączy ją na nowo metalowymi pomostami. Płot staje na drodze dawniej wolnych szlaków, a żyją tu m.in. jelenie i wilki. Zablokował dostęp do rzeki Chrząstawy/Jemielnicy i Cienkiej. Tylko pirat wie, w którym miejscu ta siatka się otwiera, jak dostać się na pola, by obsiać i potem oczyścić ziemię z upraw, ostatnio w dużej części kukurydzy, albo by sprzątnąć padłe zwierzęta.

„Poprzez budowę ogrodzenia dokonano całkowitej blokady szlaków migracyjnych dzikich zwierząt, w tym objętych ochroną gatunkową, blokady dostępu do rzek, zdewastowano istniejące tam od dekad dzikie łąki i krzewy, pełniące rolę naturalnych użytków ekologicznych. Ponadto dokonano całkowitej eliminacji śródpolnych miedz mających ogromne znaczenie dla roślin i zwierząt", piszą mieszkańcy w petycji i wskazują naruszenia ustaleń planu zagospodarowania przestrzennego, samowolę budowlaną, zawłaszczenie gruntów oraz dewastację środowiska naturalnego.

Ubiegłej zimy widziano przy ogrodzeniu zwierzęce szczątki, prawdopodobnie jelenia, który nie mógł przeskoczyć przez płot. Dla osłabionego, przerażonego zwierzęcia, które biega wzdłuż niekończącej się siatki, traci siły na nieudane skoki przez zbyt wysoką przeszkodę, była to śmiertelna pułapka. Wewnątrz ogrodzenia, na użytkowanym polu znajduje się ambona, a wzdłuż siatki, jak mówią miejscowi, pojawiły się co najmniej dwie. Mieszkańcy Dębskiej Kuźni i Dańca, turyści, rowerzyści korzystający ze szlaku rowerowego wzdłuż ogrodzenia, ci udający się do leśnego rezerwatu Srebrne Źródła przecierają oczy z przerażenia – ogrodzenie naruszyło spójność kompleksu leśnego w dolinie rzeki Jemielnicy, części Obszaru Chronionego Krajobrazu „Lasy Stobrawsko-Turawskie", znanego jako Trzy Mosty. A występują tu zbiorowiska leśne, głównie łęgowe i grądowe, z rzadkimi lasami liściastymi. W rezerwacie znajduje się roślinność górska, chronione, rzadkie rośliny i jedyne na terenie województwa opolskiego stanowisko cisa pospolitego w naturalnym siedlisku.

Ale kogo to obchodzi poza Kubą Morawskim, który mieszka tu od kilku lat, zna ten teren bardzo dobrze, wcześniej każde lato spędzał u dziadków. – Mnie interesuje ochrona środowiska i przywrócenie tego miejsca do stanu pierwotnego, szczególnie rozbiórka tego koszmarnego ogrodzenia. Uznałem, że po dwóch latach ignorowania problemu przez urzędników poruszę każdą strunę, aby sprawa znów znalazła się na wokandzie – opowiada. – Dużych nadziei nie mam, ale bierny być nie potrafię.

Publiczna tajemnica

Stary, wyremontowany dom z widokiem na rozległe pole, z drugiej strony można przejść polami i lasem do Srebrnych Źródeł. A raczej można

eprasa.pl 875b2a5ed2

Długie na ponad 4 km ogrodzenie widać na mapach Google – nie ma podobnego w Polsce.

Pirat gruntowy zaorał, obsiał i ogrodził ziemię. Właściciele o tym nie wiedzieli, wielu nie wie do dziś.

było, póki nie stanął na drodze nielegalny płot. Jestem u tzw. nowych mieszkańców wsi, u Kuby z rodziną.

Stolik, na nim sterta kopert z petycją do wysłania, inna kupka to dwuletnia korespondencja z instytucjami: Wody Polskie, UMiG Chrząstowice, Nadleśnictwo Opole, Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska, Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Kuba Morawski jest już nieco zmęczony. – Prócz Wód Polskich nikt nie chciał tym się zająć. To ogrodzenie jest tak potężne, rozległe i wysokie, że nie powstydziłby się go polski rząd na granicy z Białorusią. Niestety, większość właścicieli działek jest nie do ustalenia, wielu nie mieszka w Polsce. Ci, których poznałem, są wystraszeni, ale podpisali się pod petycją – Morawski pokazuje dokument.

Dwa lata temu próbował poruszyć ten temat poprzez fakt, że do budowy ogrodzenia wykorzystano podkłady kolejowe (odpad niebezpieczny, nasączony kreozotem, który pozostanie w glebie). Skutecznie, bo wójt gminy Chrząstowice wydał nakaz rozbiórki ogrodzenia, ale pirat się odwołał i wymienił podkłady na beton. Gmina uznała, że sprawa jest zakończona, i umorzyła postępowanie. Teraz Kuba próbuje ugryźć temat od strony prawa miejscowego oraz budowlanego (ogrodzenie jako samowola budowlana). MPZP określa te tereny jako obszar chroniony z zakazem jakiejkolwiek zabudowy oraz niszczenia zieleni śródpolnej.

– Wszystkie te zakazy zostały przez tego człowieka pogwałcone, ale moje zgłoszenie pozostaje od czerwca bez odpowiedzi ze strony gminy – stwierdza lokalny aktywista. – Wspierają mnie osoby, którym zależy i które są zaszokowane tym, co ten człowiek zrobił z pięknym niegdyś miejscem. Jest publiczną tajemnicą, o kogo chodzi, to rolniczy działacz, zagarnia tereny nie tylko w tej gminie, ale i w gminach ościennych – wyjaśnia Kuba. Z relacji właścicieli wynika, że nawet jeśli wynajmują geodetę i wyznaczają granice działek, ów pirat wszystko orze i zasiewa. A zasiewy są już chronione prawem i właściciel nie może się go pozbyć. Niektórzy właściciele, bojąc się zasiedzenia, podpisują z nim umowy dzierżawy. Jadą do niego pokornie, bo on do nikogo nie jeździ.

Za to społecznik musi jeździć – na policję. – Odkąd złożyłem w gminie zawiadomienie o tym ogrodzeniu w styczniu 2020 r., byłem dwa razy wzywany na komisariat w Ozimku, ponieważ rzekomo ktoś to ogrodzenie regularnie uszkadza, a to przecież „prywatne mienie pana X" (policja nie ukrywała nazwiska rolnika), natomiast nikogo nie interesuje, że postawione jest wbrew wszelkim zasadom i bez prawa do korzystania z gruntów. X twierdził ponoć, że „ogrodzenie musi mu uszkadzać osoba, która złożyła doniesienie". No i policja przesłuchuje właśnie mnie – mówi Morawski.

Jego dane bezprawnie udostępniły policji Wody Polskie, dokąd wysłał zawiadomienie, wskutek czego pirat otrzymał w marcu 2022 r. nakaz przeniesienia ogrodzenia na właściwą odległość, związany z naruszeniem par. 232, czyli zakazu grodzenia bliżej niż 1,5 m od wód powierzchniowych. Pirat gruntowy miał przenieść płot do połowy kwietnia 2022 r. Za niezastosowanie się do decyzji, czyli wykroczenie, grozi kara grzywny do 5 tys. zł. Ogrodzenie wciąż stoi, jak stało.

FOT. JAKUB MORAWSKI

eprasa.pl 875b2a5ed2

Zależny, ale bierze

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa wyjaśnia, że jednym z wymogów uzyskania płatności w ramach systemów wsparcia bezpośredniego jest pozostawanie w posiadaniu rolnika gruntów kwalifikujących do przyznania płatności w dniu ustalonym przez państwo członkowskie (w Polsce to 31 maja). Za posiadacza ziemi uważa się tego, kto nią faktycznie włada jako właściciel (posiadacz samoistny), jak i tego, kto jest jej użytkownikiem, najemcą, dzierżawcą lub posiadaczem zależnym (czyli nie jest właścicielem, lecz faktycznie nią włada). Jeżeli grunt stanowi przedmiot posiadania samoistnego i zależnego, wsparcie przysługuje posiadaczowi zależnemu. W przypadku bezumownego użytkowania deklarowanych gruntów organy ARiMR weryfikują, czy rolnik wnioskujący o przyznanie płatności posiada tytuł prawny do zadeklarowanych gruntów. Ustalany jest też faktyczny użytkownik spornej działki rolnej, a płatności przysługują temu rolnikowi, który użytkuje ziemię oraz posiada do niej tytuł prawny. Pirat doskonale zna przepisy i tak długo, jak uprawia ziemię jako „posiadacz zależny", bierze dopłaty.

Izba Rolnicza w Opolu najpierw zaprosiła mnie „na spotkanie z Panią Dyrektor Biura Izby Rolniczej oraz Radcą Prawnym w przedmiotowej sprawie 20 grudnia br. na godz. 10.00", po ponownej prośbie o udzielenie informacji na temat pana X i piractwa gruntowego w regionie izba poinformowała, że pan X „nie jest delegatem Izby Rolniczej, ale członkiem Izby Rolniczej jak każdy płatnik podatku rolnego". Dodam, że w roku 2016 był członkiem jednej z komisji walnego zgromadzenia delegatów, czyli był delegatem, a kadencja trwa cztery lata.

Na nazwisko pirata z Opolszczyzny tylko za 2021 r. wypłacono według listy beneficjentów ARiMR ok. 300 tys. zł.

Co dalej?

Kuba, Maria, Ewa, Stowarzyszenie Przyjaciół Dębskiej Kuźni, Opolskie Towarzystwo Przyrodnicze i inni, którzy nie chcą być wymieniani z nazwiska, starają się o przywrócenie zawłaszczonej ziemi, ogrodzonej koszmarną siatką, do stanu pierwotnego, bezpiecznego także dla zwierząt. Niemal żadnej instytucji to nie interesuje, w tym urzędu gminy, zawiadującego unikatowymi zasobami przyrodniczymi, które powinny być skarbem i atrakcją turystyczną, a obecnie są kompromitacją lokalnych władz.

Morawski zrealizował kilkuminutowy film pokazujący potęgę tego ogrodzenia, również to, że jedna jego część graniczy z rzeczką, jest niska i tam zwierzęta wpadają w pułapkę, z której po drugiej stronie się nie wydostaną. Dopiero z lotu ptaka widać skalę zagarniętego terenu. W ciągu kilku dni film obejrzało ok. 5 tys. osób, przez miesiąc – prawie 10 tys. widzów, wystarczy wrzucić w wyszukiwarkę „piractwo gruntowe". W komentarzach oburzenie, niedowierzanie. Jasno wskazują zarazem, że na legalne rozstrzygnięcie takiej kwestii w Polsce nie ma szans. – Coś jednak się dzieje, zgłaszają się do mnie właściciele działek zaniepokojeni i dotychczas nieświadomi sytuacji. Sprawa powoli rozchodzi się po gminie – twierdzi Morawski. W pierwszym dniu pojawienia się filmu o nielegalnym ogrodzeniu TVP bardzo chciała zrobić o tym materiał, ale szybko odstąpiła od działań, podobnie jak lokalne media.

– Otrzymałem odpowiedzi na petycję od Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska, że to nie ich sprawa, od Urzędu Gminy Chrząstowice, że nie uznaje naszej petycji jako petycji i nie nadaje się do zgłaszania takich spraw. Ale gmina przekazała sprawę do Państwowego Gospodarstwa Wody Polskie, wskazując blokadę dostępu do rzek, do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska – wskazując blokadę szlaków migracyjnych zwierząt, w tym objętych ochroną gatunkową, oraz do Państwowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego, wskazując znamiona samowoli budowlanej i wnioskując o wydanie nakazu rozbiórki ogrodzenia, zignorowała natomiast kwestię pogwałcenia ustaleń MPZP – podsumowuje Morawski. I czeka na reakcję innych instytucji. Bo nie może nic nie robić, choćby przez pamięć o dawnym mieszkańcu jego obecnego domu – dziadku, który uczył Kubę etycznego postępowania z przyrodą.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

KSIĄŻKI

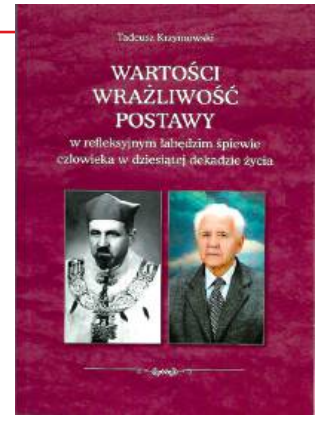

Tadeusz Krzymowski
Wartości, wrażliwość, postawy
Pracownia Wydawnicza ElSet, Olsztyn 2022

Powyższy tytuł uzupełniony jest o dopisek „w refleksyjnym łabędzim śpiewie człowieka w dziesiątej dekadzie życia". Bo zaiste, prof. Tadeusz Krzymowski, były rektor Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, inicjator utworzenia Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, skończył właśnie 95 lat. Goszczący co i raz na naszych łamach uczony występuje w tej książce, tak jak i w poprzedniej, „Strzępy autobiografii i refleksje starego fizjologa, racjonalisty nad życiem", raczej jako myśliciel, dzielący się z czytelnikami bogatym doświadczeniem życiowym. Za jedną z najważniejszych wartości uważa empatię, ale także – za Olgą Tokarczuk – wrażliwość i niezwykle subtelne uczucie czułości. I z taką czułością, nie uważając się za poetę, uzupełnia treść książki niezwykle wzruszającymi wierszami, np. o śmierci przyjaciółki z plutonu szturmowego Armii Krajowej, w której autor również walczył.

Marek Książek

eprasa.pl 875b2a5ed2

Sąd nad sankcjami

Europejska izolacja gospodarcza nie doprowadziła jeszcze rosyjskiej gospodarki do krachu. Wielu ekspertów zadaje sobie pytanie dlaczego

Jakub Dymek

Bywają okazje, gdy na miejscu są bardzo mocne słowa. Kiedy Europa ogłosiła pod koniec lutego ub.r., że nakłada „bezprecedensowe" sankcje na Rosję – tak rzeczywiście było. Środki zawarte w dziewięciu już kolejnych pakietach sankcji nie miały precedensu. Uderzono nie tylko w osobiste majątki osób „niepożądanych" czy biznes, ale także w system walutowy, rezerwy bankowe, import technologii i pół tuzina innych dziedzin. Chyba też nigdy wcześniej nie zdarzyło się, aby sankcje dotknęły największego dostawcę energii do państw, które owe sankcje wprowadzają.

Skala i prędkość wprowadzania przez Zachód sankcji wywołały medialną euforię. Obywatelom USA, Polski czy państw bałtyckich kazano uwierzyć, że na ich oczach dzieje się magia. Gospodarka Rosji – jednego z największych na świecie eksporterów energii i państwa o niebagatelnych rezerwach – miała się posypać już w kilka miesięcy. „Wojna doprowadziła rosyjską gospodarkę do upadku, poskutkowała masowym bezrobociem, a ludzie sadzą ziemniaki w przydomowych ogródkach, żeby przetrwać", przekonywała w czerwcu rosyjska ekonomistka Tatiana Michajłowa w rozmowie z opozycyjnym, powstałym za granicą portalem Meduza. Jednak już trzy miesiące później ten sam portal opublikował artykuł z przeciwnymi wnioskami. „Dlaczego rosyjska gospodarka nie upada?", pytali dziennikarze Meduzy ekonomistów.

Podobny rozdźwięk istniał w debacie anglojęzycznej. Amerykański magazyn „Foreign Policy" przekonywał latem, że „rosyjska gospodarka imploduje", a sankcje mają niszczący wpływ – tekst zawierający te prognozy stał się zresztą najchętniej czytanym na stronach internetowych pisma artykułem w 2022 r. Ale i na tych łamach zdania ekspertów były podzielone: niektórzy dowodzili np., że reżim Putina umiejętnie przyjął gospodarcze ciosy i zniwelował wpływ sankcji na gospodarkę. Może sądy o implozji i krachu były przedwczesne – dochodzili do wniosku autorzy jesienią.

Jak jest naprawdę? Koniec roku przynosi nowe fakty i opracowania, które pozwalają ocenić wpływ sankcji w nieco szerszej perspektywie.

Z szacunków MFW wynika, że rosyjski PKB zmaleje nie o 7%, 10% albo nawet 20%, lecz o 3,4-4,5%. Gospodarka Ukrainy skurczy się o 35%.

Korekta, nie krach

W grudniu Międzynarodowy Fundusz Walutowy opublikował doroczne szacunki wzrostu (lub kurczenia się) światowych gospodarek. Wynika z nich, że rosyjski PKB zmaleje nie o 7%, 10% albo nawet 20% – jak się spodziewano – lecz o 3,4-4,5% Za to gospodarka Ukrainy skurczy się o 35%. Do tego koniec roku przyniósł kilka innych faktów, które

eprasa.pl 875b2a5ed2

przynajmniej na pierwszy rzut oka przeczą tezom o kompletnym krachu rosyjskiej gospodarki. Bilans handlowy wypada na korzyść Moskwy, a rezerwy walutowe – chociaż odchudzone – wciąż dają rosyjskiemu bankowi centralnemu pewną swobodę działania. Joe Biden groził w Warszawie, że „obróci rubla w rupieć" – *turn ruble into rubble* – ale rosyjska waluta nie wzięła sobie tych pogróżek do serca. Rubel skutecznie się odbił i dziś jest wobec dolara nieco mocniejszy niż przed inwazją z 24 lutego.

Dalej: inflacja w Rosji za rok 2022 wyniesie 12-14%. Będzie zatem mniejsza niż w wielu krajach Europy – choć o kilka punktów procentowych większa niż średnia dla strefy euro. Nawet publikowane przez Komisję Europejską wykresy, które mają ilustrować drastyczny wpływ sankcji na rosyjską gospodarkę, niezamierzenie pokazują też coś odwrotnego – np. prognozowane odbicie gospodarki i szybki spadek inflacji w 2023 r.

Nie będzie więc chyba zaskoczeniem, że liczby te wywołały przestrach w Europie i niemałą falę triumfalizmu w Rosji. Guy Verhofstadt, były szef liberałów w europarlamencie, pisał na Twitterze, że „dziewięć pakietów sankcji przyniosło zerowy efekt". „Jeszcze płacimy Rosji za wojnę z nami!", grzmiał europarlamentarzysta. Nie jest to do końca prawda, bo dane, którymi podpierał się polityk, były przeterminowane. Ale mniejsza z tym, nie on jeden doszedł do tego wniosku. Zoltán Kovács, który jest sekretarzem stanu ds. dyplomacji publicznej w rządzie Viktora Orbána, pisał to samo, choć z przeciwnymi intencjami. „Liberałowie muszą to przyznać: unijne sankcje przeciw Rosji są nieskuteczne!". „Potrzebujemy natychmiastowego rozejmu i rozmów pokojowych", klarował dalej Węgier.

W tym samym czasie rosyjskie oraz sympatyzujące z Rosją konta w sieciach społecznościowych zamieszczały zdjęcia zadowolonych ludzi na zakupach, zakładów zbrojeniowych pracujących pełną parą i Władimira Putina podpisującego kolejne umowy na rozwój infrastruktury energetycznej. „Och, pomóżcie mi, w Rosji taka bieda, że nie wiem, co dziś zjem!", trollował sobie ktoś w najlepsze, wrzucając zdjęcia pełnych półek w marketach.

Rubel skutecznie się odbił i dziś jest wobec dolara nieco mocniejszy niż przed inwazją z 24 lutego.

Prawda o wpływie sankcji jest oczywiście bardziej skomplikowana niż wszystkie te propagandowe obrazki.

Bankowe cuda i sztuczki

Do analizy faktycznego wpływu sankcji na rosyjską gospodarkę wziął się brukselski think tank Bruegel. To jeden z ośrodków, które przy użyciu nowatorskich metod rozpatrują najpoważniejsze wyzwania gospodarcze i energetyczne stojące przed Europą. Wrażenie szczególnie dobrej kondycji rosyjskiej gospodarki pod koniec 2022 r. bierze się z jej struktury – tłumaczą autorzy i autorki opracowania Bruegla. Rosja dużo eksportuje, a wartość jej importu (zwłaszcza po nałożeniu sankcji) spada – stąd pozytywny bilans handlowy.

Ba, jak pokazywał niedawno np. ekonomista Philipp Heimberger z Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Badań Gospodarczych, nie ma nic dziwnego w tym, że można zarabiać więcej, eksportując mniej. Jak to możliwe? Ano tak, że wysokie przez większość 2022 r. ceny gazu i ropy z nadwyżką kompensowały spadek handlu i wymiany gospodarczej w innych dziedzinach. Władimir Putin sprawnie zabezpieczył sobie krótkoterminowe zyski, zmniejszając podaż surowca w kluczowych okresach, grożąc zakręceniem kurka i stosując różne szantaże, które podbijały cenę gazu i zwiększały zapotrzebowanie na błękitne paliwo.

„Kompleksowe sankcje wymierzone w rosyjski sektor finansowy nie przyniosły spodziewanych efektów. Pomimo objęcia sankcjami większości instytucji finansowych w Rosji, zamrożenia aktywów, utraty dostępu do dolara i euro oraz odcięcia banków od płatności w infrastrukturze SWIFT, udało się ustabilizować system finansowy, głównie dzięki umiejętnym działaniom rosyjskiego banku centralnego", czytamy w analizie Bruegla.

Robin Brooks, ekonomista z Institute of International Finance, tłumaczył wielokrotnie, że to również skutek przenoszenia rezerw i gotówki niezbędnej do operacji na rynkach finansowych z banku do banku. A konkretnie do Gazprombanku, który jest wyłączony z sankcji, bo europejscy odbiorcy dalej kupują gaz i rozliczają się z Gazpromem. Dopóki nie będzie kompletnego embarga handlowego, Rosja dalej będzie miała dostęp do walut i nic się nie zmieni – podkreślał ekonomista. Europejscy decydenci mają tego świadomość, ale przed zimą nie byli w stanie z dnia na dzień owego embarga wprowadzić – tym bardziej że cały czas uzupełniają zapasy gazu.

Fakt, że kurs rubla ma się dobrze, jest zaskoczeniem, ale nie stanowi – przynajmniej zdaniem analityków – miary kondycji rosyjskiej gospodarki.

Inflacja w Rosji za rok 2022 wyniesie 12-14%.

Dzięki działaniom banku centralnego udało się wzmocnić walutę, tyle że za cenę ścisłej regulacji przepływu kapitału, uniemożliwienia Rosjanom swobodnej wymiany gotówki oraz sztucznego zwiększania popytu na rubla.

Choroba przewlekła

Co to wszystko znaczy? Jeszcze raz odwołajmy się do raportu Bruegla: „Przychody rosyjskiego reżimu nie ucierpiały do końca 2022 r. w stopniu, jaki zakładali autorzy zachodnich sankcji. W związku z tym

eprasa.pl 875b2a5ed2

Rosja była w stanie w dalszym ciągu finansować swoją wojnę w Ukrainie. To jednak może wkrótce się zmienić". Bo rzeczywiście po wejściu kolejnych europejskich sankcji na surowce (od stycznia br.) i w wyniku stopniowego uniezależniania się Zachodu od rosyjskiej energii wpływy budżetowe Federacji Rosyjskiej z eksportu istotnie spadną.

Nie wiadomo też, jaka będzie przyszłość rurociągów.

Jednak paradoksalnie największy skutek odniosą te sankcje, które dla zwykłych obywateli – i w Europie, i w Rosji – są na razie najmniej widoczne i spektakularne. Embargo na wyspecjalizowane technologie i części zamienne będzie w wielu dziedzinach bardziej szkodliwe niż odcięcie zwykłych Rosjan od systemu SWIFT – na co zresztą Rosja przygotowała się wcześniej, budując własny system MIR. Niektórych zaawansowanych urządzeń optycznych, układów scalonych czy elektroniki nie da się zastąpić krajowymi odpowiednikami – a przynajmniej nie od razu.

Jak coraz częściej przekonuje się rosyjski (i nie tylko) przemysł wojskowy – w zglobalizowanym świecie to nie takie proste wyprodukować rakietę bez pomocy tych, na których chce się ją zrzucić. Rosja potrzebuje amerykańskiej technologii, Ameryka chińskich metali ziem rzadkich, Chiny rosyjskiej inżynierii i amerykańskich patentów – skonfliktowane bloki są mimo wszystko współzależne. Czy rosyjski przemysł wojskowy będzie w stanie konkurować z amerykańskim uzbrojeniem trafiającym do ukraińskich sił zbrojnych? Na dłuższą metę to wątpliwe. Ale (jak pokazały w przeszłości przykłady Iraku, Syrii, Iranu czy Korei Północnej) nawet reżim poddany surowym sankcjom i trwający w technologicznej autarkii może się zbroić – jeśli chce i poświęci w tym celu dobrobyt własnych obywateli.

Sankcje zawsze przynoszą efekt – jak już pisałem na tych łamach w kwietniu – jednak nie zawsze ten, jakiego by chcieli ich autorzy. Rosyjska gospodarka ucierpi na dłuższą metę, na krótką zachowała zdolność prowadzenia wojny. Ani nie upadła, ani też nie ma przed sobą zdrowych perspektyw – odcięta w dużej mierze od wymiany handlowej z Zachodem, zmuszona do kontroli przepływów waluty i substytucji importu iPhone'ów i klocków Lego. W dodatku prowadząca kosztowną pod każdym względem wojnę.

Sankcje jednak na razie jej nie zatrzymały ani nie zmusiły władzy do podjęcia negocjacji. Efekt odstraszający „gospodarczej broni" okazał się mniejszy od spodziewanego, a wielki optymizm przedwczesny. Po raz kolejny świat przekonał się, że sankcje łatwe, szybkie i skuteczne istnieją wyłącznie na papierze.

Sankcje zawsze przynoszą efekt, jednak nie zawsze ten, jakiego by chcieli ich autorzy.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

Czeska Čaputová idzie po władzę?

Łukasz Grzesiczak

Danuše Nerudová jest byłą rektorką Uniwersytetu Mendla w Brnie.

Prezydent Zeman poparł Andreja Babiša, ale faworytami wyborczych sondaży są były wojskowy Petr Pavel i ekonomistka Danuše Nerudová

Kateřina Čechová ma za sobą rok sprawowania funkcji czeskiej prezydentki. Czuje się przytłoczona obowiązkami, jej codzienny grafik jest rozciągnięty do granic możliwości. Czasami chciałaby móc w spokoju odpocząć, nie wzbudzając zainteresowania całej Republiki Czeskiej. Marzy, by pod osłoną nocy uciec z Zamku na Hradczanach, gdzie znajduje się siedziba czeskiego prezydenta, i na jednej z przepięknych uliczek Pragi spotkać mężczyznę, któremu mogłaby ofiarować swoje serce.

Nie, to nie jest news z czeskich serwisów politycznych, ale fabuła komedii romantycznej w reżyserii Rudolfa Havlíka zatytułowanej „Prezydentka", która do kin trafiła w czerwcu 2022 r. W tytułową postać wcieliła się popularna aktorka Anna Geislerová. Choć „Prezydentka" ma duże szanse na wygraną w konkursie na najnudniejszy czeski film ubiegłego roku, być może okaże się prorocza i pierwszy raz u naszych sąsiadów głową państwa zostanie kobieta.

Męska twierdza

Czeski świat polityczny to męska twierdza. W całej historii Czech (także tej w ramach Czechosłowacji) na czele rządu nigdy nie stała kobieta, a prezydentami zawsze byli mężczyźni. Inaczej sprawy mają się na Słowacji. Od czasu upadku komunizmu na czele słowackiego rządu (w latach 2010-2012) stanęła Iveta Radičová, a głową państwa została Zuzana Čaputová (od 2019 r.). W czeskiej polityce kobiety odgrywają role drugoplanowe. Męską twarz tamtejszej polityki szczególnie mocno widać było podczas debaty kandydatów na urząd premiera zorganizowanej przez telewizję CNN Prima News w 2021 r., w której wzięli udział sami mężczyźni. Jedna z trzech osób liderujących zwycięskiej koalicji Spolu, rządzącej dziś Czechami, Markéta Pekarová Adamová, zwracała uwagę, że dziennikarze zamiast pytać ją o politykę, ciekawi są, czy lubi otrzymywać od mężczyzn kwiaty. A kiedy Zuzana Čaputová została pierwszą w historii Słowacji prezydentką, spora grupa czeskich komentatorów i komentatorek politycznych przekonywała, że Czesi są zbyt konserwatywni na swoją Čaputovą.

Wkrótce dowiemy się, czy to prawda. 13 i 14 stycznia w Czechach odbędzie się pierwsza tura wyborów prezydenckich, ale wszystko wskazuje, że ostatecznie Czesi wybiorą głowę państwa dwa tygodnie później, podczas drugiej tury, w której zmierzą się dwaj kandydaci z najlepszymi wynikami. Czeskie głosowanie mocno różni się od tego, co znamy z Polski. Po pierwsze, trwa dwa dni. W piątek lokale wyborcze zostaną otwarte o godz. 14. Głos można oddać jeszcze w sobotę do godz. 14. Złośliwi stwierdzą, że głosowanie odbywa się wcześniej, by w żaden sposób nie utrudniać Czechom weekendowych wyjazdów do domków za miastem. O funkcję prezydenta może się ubiegać osoba, która ukończyła 40. rok życia (w Polsce – 35 lat). Ciekawy jest także przebieg samego głosowania. Najpóźniej trzy dni przed wyborami Czesi otrzymują

eprasa.pl 875b2a5ed2

do domów karty do głosowania, by mieli czas na zapoznanie się z nazwiskami kandydatów. Z kartą udają się do lokalu wyborczego, gdzie w razie jej utraty mogą pobrać kolejną. Sama karta wyborcza nie ma żadnej mocy, nabiera jej dopiero, kiedy włoży się ją do specjalnej koperty. Tę wyborca otrzymuje w lokalu, wkłada do niej kartę do głosowania i wrzuca do urny. Dlatego, w przeciwieństwie do Polski, same karty można wynosić z lokali wyborczych i często lądują one w koszu.

Praska kawiarnia kontra hospoda

Czesi głowę państwa wybiorą w wyborach powszechnych dopiero po raz trzeci. Jako pierwszy w ten sposób został wybrany Miloš Zeman. Na Václava Havla czy Václava Klausa głosowali jedynie posłowie i senatorowie. Zmiana systemu wyboru prezydenta miała wzmocnić jego pozycję, ale tak się nie stało, gdyż nie poszło za nią zwiększenie jego kompetencji. Można za to odnieść wrażenie, że w znacznej mierze przyczyniła się do większego podziału w czeskim społeczeństwa. Publicyści lubią się posługiwać wyświechtanym, ale obrazowym i użytecznym podziałem społeczeństwa na praską kawiarnię i hospodę. Określenie praska kawiarnia spopularyzował Miloš Zeman jako negatywny symbol progresywnych liberałów z wielkich miast. Praska kawiarnia jest więc tym, czym polskie sojowe latte. Ma określać aspirującą klasę średnią debatującą nad tak – rzekomo – nieistotnymi problemami jak postulat małżeństw jednopłciowych czy wsparcie dla uchodźców. Po drugiej stronie jest hospoda, czyli tradycyjne miejsce spotkań Czechów nieugryzionych zębem wielkomiejskiego progresywizmu.

Od 10 lat czeskie wybory prezydenckie to starcie kandydata praskiej kawiarni z kandydatem hospody. Ten pierwszy ma wsparcie większości liberalnych mediów i sporej rzeszy intelektualistów, a od niedawna ruchów społecznych, takich jak Milion chvilek pro demokracii (Milion chwil dla demokracji), który w proteście przeciwko prezydentowi Milošowi Zemanowi i byłemu premierowi Andrejowi Babišowi wyprowadził na ulice miast setki tysięcy ludzi. Środowisko hospody lubi powoływać się na zdrowy rozsądek, ma swoich bardów, np. uwielbianego w Polsce Jaromíra Nohavicę, a odkąd Babiš – jeden z najbogatszych czeskich biznesmenów – kupił wielki koncern medialny, ma też swoje liczące się media.

W 2013 i 2018 r. w starciu hospody i praskiej kawiarni nieznacznie więcej zwolenników udało się zebrać tej pierwszej. Prawdą jest, że dwukrotny zwycięzca wyborów prezydenckich Miloš Zeman był doświadczonym i charyzmatycznym politykiem – premierem w latach 1998-2002, wcześniej marszałkiem Izby Poselskiej (niższej izby parlamentu), wieloletnim szefem socjaldemokratów – ale i praska kawiarnia robiła wiele, by polec. W 2013 r. z Zemanem przegrał 76-letni Karel Schwarzenberg. Czechy, które w XIX w. odrodziły się jako egalitarny mieszczański naród i gdzie język czeski jest wyznacznikiem patriotyzmu mniej więcej tak jak w polskiej historii wiara w Boga, nie poparły arystokraty, którego małżonka obiecała, że nauczy się czeskiego, dopiero kiedy zostanie pierwszą damą. Fakt, że Schwarzenberg zasypiał podczas spotkań z wyborcami w trakcie kampanii, również mu nie pomógł. Pięć lat później praską kawiarnię miał uratować Jiří Drahoš, chemik i wieloletni szef Czeskiej Akademii Nauk. Był jednak postacią tak bezbarwną, że zniechęcił nawet część moich czeskich znajomych, którzy nienawidzili Zemana.

Sztama prezydenta z ekspremierem

Dlatego teraz praska kawiarnia starała się wyciągnąć wnioski z porażek. Długo załamywała ręce, jednocześnie przyznając, że choć konstytucja zabrania Zemanowi ubiegać się o trzecią kadencję, rolę bohatera zbiorowej wyobraźni hospody będzie odgrywał Andrej Babiš. Obaj politycy żyli w ostatnich latach w przyjaznej symbiozie. Babiš, acz ogromnie popularny, nie stanął w przeszłości w prezydenckiej walce przeciw Zemanowi, także jego ugrupowanie nie wystawiło swojego kandydata przeciwko urzędującemu prezydentowi. W zamian Zeman wspierał Babiša, wykorzystując swoje uprawnienia do w zasadzie bezterminowego oddelegowania go do misji tworzenia rządu mimo braku większości w Sejmie, kiedy opozycja nie potrafiła wystawić swojego kontrkandydata. Zeman i Babiš zwracali się w zasadzie do podobnego elektoratu, czego dowodzi choćby fakt, że atakowani są z równym zaangażowaniem w mediach praskiej kawiarni i na ulicznych wiecach Miliona chwil dla demokracji.

W przeciwieństwie do Polski w Czechach karty do głosowania można wynosić z lokali wyborczych i często lądują one w koszu.

Babiš to lider ugrupowania ANO, czyli Akcji Niezadowolonych Obywateli (Akce nespokojených občanů). Od 2014 r. współrządził Czechami jako wicepremier i minister finansów, od 2017 do 2021 r. był premierem. Stracił władzę, ale nie dlatego, że przegrał wybory (jego klub ma najwięcej szabel w czeskim Sejmie). Powodem było to, że do parlamentu nie dostali się jego potencjalni koalicjanci, a opozycja postanowiła pójść do wyborów w dwóch zjednoczonych blokach. Dlatego sprawuje dziś władzę. Ostatni sondaż CVVM (Centrum pro výzkum veřejného mínění, czyli Centrum Badania Opinii Publicznej) z listopada 2022 r. pokazuje, że prezydentowi ufa jedynie 33% Czechów. Jednak rząd ma jeszcze gorsze notowania – ufa mu 28% badanych.

Andrej Babiš długo udawał, że nie wie, czy weźmie udział w walce o prezydenturę, ale jego przeciwnicy polityczni po upadku jego rządów na gwałt szukali kogoś, kto by go pokonał w starciu o prezydenturę. Sondaże od miesięcy dawały Babišowi zwycięstwo w pierwszej turze wyborów. Ostatnie wskazywały, że może na niego zagłosować nawet

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 875b2a5ed2

30% Czechów. Oficjalnie poparł go ustępujący prezydent Zeman.

Twardziel w skórze i rektorka z kłopotami

Tyle że wybory prezydenckie wygrywa nie zwycięzca pierwszej tury, ale osoba, która przekona do siebie większość głosujących Czechów. I dlatego wszystko wskazuje, że praska kawiarnia tym razem ogra hospodę. Przeciwko Babišowi stanęło ośmioro kandydatów. Wśród nich liczy się tylko dwoje – były wojskowy Petr Pavel i Danuše Nerudová, ekonomistka i była już rektorka Uniwersytetu Mendla w Brnie, będącego odpowiednikiem Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. Oboje – jak pokazują sondaże – mają nieznaczną przewagę nad Babišem, gdyby każde z nich znalazło się z nim w drugiej turze.

Petr Pavel to 60-letni były wojskowy, generał, który jako pierwszy żołnierz z państw Układu Warszawskiego pełnił funkcję szefa Komitetu Wojskowego NATO. W młodości był członkiem Komunistycznej Partii Czechosłowacji, za co atakują go przeciwnicy, również ci, którzy nie popierają Babiša. Po odejściu z wojska zaangażował się w działalność charytatywną, pomagał ludziom w czasie pandemii COVID-19. Ma wizerunek twardziela, zakłada skórzaną kurtkę i jeździ po kraju motocyklem, by rozmawiać o polityce. Doradza mu Słowak Michal Repa, który współtworzył sukces Zuzany Čaputovej. Podczas spotkań Pavel podkreślał swoje doświadczenie dyplomatyczne i przekonywał, że rolą prezydenta powinno być przede wszystkim niwelowanie napięć, do których dochodzi w społeczeństwie. Pavel jest liderem sondażu przeprowadzonego przez agencję Median w ostatnich dniach grudnia. Chce na niego głosować 28,71% respondentów, a na Babiša 28,51%.

Czesi głowę państwa wybiorą w wyborach powszechnych dopiero po raz trzeci.

Petr Pavel i Danuše Nerudová są kandydatami niepartyjnymi. Mogą jednak liczyć na poparcie rządzącej koalicji Spolu, która nie wystawiła swojego kandydata, by zmaksymalizować prawdopodobieństwo porażki Andreja Babiša. Pół roku temu niewielu wierzyło w szanse Nerudovej, ale jej poparcie w sondażach wystrzeliło jak z procy. W pewnym momencie wyprzedziła nawet Pavla. Do czasu, kiedy ujawniono, że kierowana przez nią uczelnia oferowała szybką ścieżkę doktoratów. Na nieszczęście dla Nerudovej niektóre okazały się też plagiatami. Sama polityczka twierdzi, że o niczym nie wiedziała, co nie przekonuje jej przeciwników. Na ostatniej prostej przed głosowaniem próbuje odwrócić od siebie podejrzenia, przyznając, że jedyne, co ma sobie do zarzucenia, to sposób, w jaki próbowała sobie poradzić z tym kryzysem na finiszu kampanii. W sondażu Medianu z 2 stycznia Danuše Nerudovą popiera 25,12% Czechów.

Łukasz Grzesiczak
l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Liberałowie, nie lękajcie się!

Wciąż czytam o braku programu opozycji. Rzeczywiście, jest z tym słabo. Jak zwykle najlepiej wypada partia Razem. Niestety, jej głos jest marginalizowany lub lekceważony. Szkoda. Jedno nie ulega wątpliwości – taki program musi zostać sformułowany i najlepiej by było, gdyby łączył całą opozycję, jeśli chce ona przejąć rządy w kraju. Na razie nie musi być szczegółowy. Ważne, aby sygnalizował strategiczny kierunek zmian. Oto moja propozycja: skandynawskie państwo opiekuńcze. Jestem głęboko przekonany, że chce go większość polskiego społeczeństwa. Co więcej, to najlepszy jak dotąd model społeczny wynaleziony w świecie Zachodu – jak pokazują badania socjologiczne, sądzi tak nawet większość młodych ludzi w USA. W tym sensie kierunek aspiracji polskiego społeczeństwa pokrywa się z tym, co najcenniejsze w dotychczasowej historii świata.

Pora zatem najwyższa, byśmy przystąpili do realizacji tego modelu także nad Wisłą. Jestem przeświadczony, że do pomysłu nie trzeba będzie przekonywać lewicy. Kłopot jednak z największą siłą opozycyjną, a mianowicie z Platformą Obywatelską. Mam wrażenie, że tej partii będzie najtrudniej zgodzić się na jego realizację. Wynika to z nadal ciążącego na jej sposobie myślenia neoliberalizmu, czyli doktryny ekonomiczno-społecznej, która (nader naiwnie) pokłada nadzieje w sile działania mechanizmów rynkowych we wszystkich niemal dziedzinach naszego życia. Podejrzliwie spogląda na rolę państwa, a powodzenie jednostek przypisuje ich indywidualnej sprawności działania (każdy kowalem swojego losu). Tworzy mity o skapywaniu bogactwa z góry na dół, o sile przypływu, który podnosi wszystkie łódki, itd. Dziś już nikt w te bajki nie wierzy, mam nadzieję zatem, że nie wierzy w nie też PO. Jednak pewności nie mam. Czasami odnoszę wrażenie, że w jej łonie pokutuje nadzieja na powrót do „starych, dobrych czasów" z początków naszej transformacji. Obym się mylił. To bowiem przepis na kolejną klęskę wyborczą, po ewentualnej wygranej w tegorocznych wyborach.

Platforma, tak jak i polscy liberałowie jako tacy, musi przejść ideową przemianę i pojąć, że istnieją odmienne od anglosaskiego modele kapitalizmu i że są one znacznie lepsze (!). Model skandynawski, zwany czasem nordyckim, jest z nich z pewnością najlepszy, ale poważne zalety ma także model reński (na boku pozostawiam sprawę modelu azjatyckiego). Model skandynawski zapewnia zachowanie efektywności ekonomicznej przy maksymalnej redukcji nierówności społecznych oraz wyrównaniu szans na sukces życiowy dla wszystkich. Żeby jednak uznać ową oczywistość (sam mówię o niej już od kilkunastu lat), trzeba porzucić fatalną tradycję ideową, która legła u podłoża powstania Unii Wolności, a następnie Platformy Obywatelskiej. Najlapidarniej została ona sformułowana w niewielkiej książeczce Janusza Lewandowskiego „Neoliberałowie wobec współczesności" (1989), w której państwo socjalne typu skandynawskiego zostało przedstawione (za Friedrichem Augustem von Hayekiem) jako wstęp do nieomal totalitarnego zniewolenia społecznego (sic!). Również eseje Leszka Balcerowicza z początków lat 90. są nadzwyczaj sceptyczne wobec tego modelu, prorokując jego kryzys, a nawet zmierzch (co, jak wiadomo, się nie stało).

Jeśli Platforma Obywatelska chce na trwałe objąć rządy w Polsce, musi od tego dziedzictwa się odciąć, niekoniecznie otwarcie (to będzie trudne i przez część elektoratu odczytane jako zdrada), ale faktycznie. W pewnym sensie zresztą nie ma wyjścia, cokolwiek bowiem sądzić o rządach PiS, był to pewien przełom. Pierwsza próba wprowadzenia elementów państwa opiekuńczego w Polsce, przyznajmy to uczciwie. Trudno będzie ten trend odwrócić. Nie wiem, na ile było to świadome, ale przyjęto pewne elementy modelu południowoeuropejskiego (pieniądze do ręki, ochrona rodzin wielodzietnych). Model skandynawski tym się różni od wspomnianego, że zdecydowanie bardziej koncentruje się na dostępności i jakości usług publicznych. I w tę stronę trzeba koniecznie pójść. Służba zdrowia, edukacja, transport publiczny, kultura.

> Skandynawskie państwo opiekuńcze to najlepszy jak dotąd model społeczny wynaleziony w świecie Zachodu.

Nie może już być mowy o tanim państwie (i co za tym idzie – wiecznej biedzie sfery budżetowej) ani innej typowo neoliberalnej mrzonce. O permanentnej obniżce podatków i prywatyzacji najważniejszych agend państwa, np. poczty (pamiętacie państwo ten szalony pomysł Platformy Obywatelskiej?). Ale przede wszystkim o ślepej wierze w rynek – świeckiego boga wydającego niepodlegające odwołaniu wyroki. To głównie ona przyczyniła się do zasłużonej klęski liberałów w wielu ostatnich wyborach. Pora na otrzeźwienie. Nawet jeżeli redaktor Witold Gadomski uzna je za zdradę. Liberałowie, nie lękajcie się! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

Pomoc dla uchodźców z Konga w obozie w Bunagana.

Organizacja Narodów Zubożałych

Wojna, kryzys inflacyjny i zmiana globalnego układu sił wywołały kryzys w dotacjach na działania charytatywne i rozwojowe

Mateusz Mazzini

Trwająca już ponad 300 dni wojna w Ukrainie to z finansowego punktu widzenia worek bez dna. Nikt oczywiście nie podważa sensu wydawania pieniędzy na wsparcie Ukraińców, walczących w imieniu całego Zachodu i wartości, które tenże Zachód ceni najbardziej, takich jak samostanowienie i demokracja. Wręcz przeciwnie, nawet te społeczeństwa, które tradycyjnie ceniły sobie przywileje w handlu z Rosją, a od angażowania się w konflikty raczej stroniły – jak Niemcy – wywierają na swoich polityków presję, by kurka z pieniędzmi dla Kijowa nie zakręcać. Im dłużej jednak wojna trwa, tym większy wystawia wszystkim rachunek.

Według wyliczeń najważniejszego think tanku zajmującego się za oceanem sprawami międzynarodowymi, Council on Foreign Relations, od lutego do grudnia administracja Joego Bidena przekazała Ukrainie pomoc militarną, finansową i humanitarną na łączną kwotę niemal 50 mld dol. To ponad 14 razy więcej, niż Amerykanie wpłacają rocznie na konto World Food Programme, najważniejszej agendy Narodów Zjednoczonych walczącej z głodem na świecie. Jej cały budżet to zresztą niespełna 8,5 mld dol. Amerykanie dorzucają do niej najwięcej, tak samo jak do Banku Światowego, UNICEF, UNESCO i UNHCR. Powyżej 1 mld dol. rocznie na wyżywienie najuboższych państw, głównie z Rogu Afryki i Ameryki Centralnej, dają jeszcze tylko Niemcy. A ze wsparcia WFP korzystało w 2021 r. więcej niż 90 mln osób w 43 krajach.

Jedzie pomoc z daleka

W ciągu kolejnych 12 miesięcy dane te mogą się zmienić. Po pierwsze, znacząco zwiększy się liczba osób wymagających systemowej pomocy ze strony instytucji charytatywnych i rozwojowych. Głód się rozpędza, już teraz widać to nie tylko w materiałach analitycznych, ale i chociażby w reportażach. Nie wszystkiemu winna jest rosyjska inwazja na Ukrainę, bo kryzysy wybuchają też z powodu

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 875b2a5ed2

lokalnych konfliktów. Przejęcie władzy w Afganistanie przez talibów, spór o region Tigraj w Etiopii, najgorsza od 80 lat susza w Rogu Afryki czy seria huraganów dewastujących jeden po drugim obszary rolne w Hondurasie i Nikaragui nie mają akurat z Ukrainą nic wspólnego. Jednocześnie wpędziły w biedę kolejne miliony ludzi.

Głód rośnie także dlatego, że Putin przez długie miesiące blokował eksport żywności z Ukrainy, a i na rosyjskie produkty nałożono embargo. Z powodu tej wojny, jak szacuje UNHCR, agenda Narodów Zjednoczonych ds. migracji, na granicy głodu może się znaleźć kolejne 43 mln ludzi w aż 81 krajach, głównie na globalnym Południu.

Pomóc im będzie niezwykle trudno, bo coraz bardziej brakuje na to pieniędzy. Według danych platformy Financial Tracking Services, monitorującej obowiązkowe, jak i dobrowolne wpłaty poszczególnych państw na cele charytatywne i rozwojowe realizowane przez instytucje ONZ, wszystkie te programy w 2023 r. pochłoną łącznie 51,7 mld dol. Na koniec grudnia 2022 r. zgromadzono mniej niż połowę (48,9%) tej kwoty. W liczbach bezwzględnych 25,3 mld dol. Potrzeba więc drugie tyle. Dla porównania – kilka tygodni temu Elon Musk dokonał przejęcia Twittera za 44 mld dol., prawie dwukrotność kwoty potrzebnej do tego, by globalna walka z głodem zakończyła się względnym sukcesem. Trudno o bardziej dobitną ilustrację asymetrii stosunków władzy w późnokapitalistycznym społeczeństwie.

Widać w dodatku, że istnieją kierunki i cele, na które bogaci nie szczędzą, oraz takie, które obchodzą niewielu. W relatywnie niezłym stanie są budżety projektów funkcjonujących od lat, czasem nawet od dekad. Z jednej strony, napawa to oczywiście optymizmem, z drugiej – może wpędzać w poczucie beznadziei, bo pokazuje, że przez cały ten czas problemów strukturalnych, takich jak głód, brak dostępu do wody pitnej czy edukacji nie udało się wyeliminować. W grupie „szczęśliwców" znajdują się Republika Środkowoafrykańska (zebrane 83% potrzebnej kwoty), Libia (77%), Jemen i Róg Afryki (88,6%) czy Sudan Południowy (68%).

Znacznie mizerniej wyglądają generalnie programy poświęcone konkretnie kryzysom uchodźczym. Na pomoc uchodźcom z Afganistanu zebrano zaledwie 19% potrzebnej kwoty, mimo że tutaj docelowy budżet wynosi „jedynie" 623 mln dol. Pomoc uchodźcom z Syrii – 26%. Tym z Demokratycznej Republiki Konga – 30%. Wenezuelczykom – 50%. Praktycznie żadnych szans na realizację nie mają już teraz programy nagłe, związane z nieprzewidzianymi klęskami żywiołowymi lub epidemiami. Wybuch cholery na Haiti, w kraju będącym pod wieloma względami autentycznym jądrem ciemności, jeszcze pogorszył dramatyczną sytuację mieszkańców. Na walkę z chorobą zebrano dotychczas 14 mln dol., mniej niż 10% całości.

Programy rozwojowe w 2023 r. pochłoną łącznie 51,7 mld dol. Na koniec grudnia 2022 r. zgromadzono mniej niż połowę tej kwoty.

Mówią liczby

Główną przyczyną gigantycznego deficytu wpłat na pomoc humanitarną jest rosnąca z roku na rok skala potrzeb. A bieżąca sytuacja finansowa nie jest akurat szczególnym odstępstwem od normy. Mniej więcej dwukrotny rozziew między potrzebnymi i deklarowanymi wpłatami utrzymuje się od kilku lat, choć zaznaczyć należy, że tak źle nie było od dawna. W 2017 i 2018 r. zebrano po 61% budżetów, w 2019 r. 64%, nawet w latach pandemicznych wyniki oscylowały w granicach połowy (50% i 51%). Nigdy nie spadły poniżej 50%, stanie się to najpewniej dopiero tym razem.

Więcej niż procenty mówią o sytuacji humanitarnej liczby bezwzględne. Jeszcze w 2016 r. całkowity budżet wszystkich działań instytucji oenzetowskich i okołooenzetowskich w tym obszarze wynosił minimalnie ponad 20 mld dol. Sześć lat później jest przeszło dwa i pół razy wyższy. Przybywa inicjatyw, na które trzeba wpłacać, oraz krajów wymagających pomocy. Nie ma natomiast nowych darczyńców. Wszystko zamyka się w kręgu Stany Zjednoczone, Japonia i Unia Europejska. W globalnych wysiłkach charytatywnych nie chcą partycypować kraje, których gospodarki by na to pozwoliły i które są potęgami co najmniej regionalnymi.

Doskonałym przykładem są tutaj Chiny, które swoje interesy geopolityczne konsekwentnie realizują z pominięciem Narodów Zjednoczonych. Nie oznacza to rzecz jasna, że nie przelewają pieniędzy na konta innych państw. Robią to jednak poza strukturami multilateralnymi, głównie dlatego, że uznają je – nie bez racji – za produkt i narzędzie wpływu Zachodu. Nie ma co się obrażać, ONZ i sieć instytucji satelickich powstały i mają siedziby głównie w krajach europejskich lub w Stanach Zjednoczonych, są owocem liberalnego powojennego porządku na arenie międzynarodowej, a idea interwencji humanitarnych, nierzadko przecież obwarowanych kordonem militarnym, stoi w jawnej sprzeczności z oficjalną chińską doktryną nieangażowania się w sprawy innych suwerennych państw.

Istnieją kierunki i cele, na które bogaci nie szczędzą, oraz takie, które obchodzą niewielu.

Tyle teoria, bo praktyka bardzo się od niej różni. Chińczycy też działają za granicą, zwłaszcza w dziedzinie rozwoju strukturalnego, ale nie robią nic za darmo. Tu doskonałym przykładem jest inicjatywa Pasa i Szlaku, czyli projektu inwestycji na skalę

eprasa.pl 875b2a5ed2

wręcz cywilizacyjną, mających poszerzyć zasięg chińskiego handlu. W ramach tej koncepcji Pekin albo sam buduje, albo sponsoruje innym krajom autostrady, mosty, lotniska, porty czy magazyny przeładunkowe. Oficjalnie w formie pożyczek, których jednak biedne kraje Afryki Subsaharyjskiej czy Azji Południowo-Wschodniej często nie mogą spłacić. Wtedy Chińczycy biorą zbudowane przez siebie obiekty w dzierżawę, oczywiście na bardzo korzystnych warunkach.

Mizernie wyglądają programy poświęcone kryzysom uchodźczym. Na pomoc uchodźcom z Afganistanu zebrano ledwie 19% potrzebnej kwoty.

Pekin zaczyna działać coraz sprawniej, zwłaszcza na własnym podwórku. Ciekawym przykładem zmiany paradygmatu jest Sri Lanka, gdzie stykają się obie strategie Chińczyków: stara i nowa. W ramach Pasa i Szlaku postawili na wyspie gigantyczny terminal portowy w mieście Hambantota, przy jednym z najbardziej zatłoczonych i strategicznie ważnych szlaków w handlu morskim. Lankijski prezydent Mahinda Rajapaksa budował go za pieniądze pożyczone od Xi Jinpinga, po czym popadł w tarapaty finansowe, a jego następcy u władzy nie mieli za co spłacać kredytów. Oddali więc to, co mieli, czyli port: 6 tys. ha i całą infrastrukturę, na 99 lat. To wydarzyło się jednak w 2018 r., od tego czasu Pekin stał się subtelniejszy.

Kiedy w 2022 r. na wyspie wybuchł ogromny kryzys wywołany m.in. nagle wprowadzonym zakazem używania nawozów chemicznych w rolnictwie, Sri Lankę ogarnął chaos. Chińczycy znów przyszli z pomocą, tym razem (podobno) bezinteresownie. Przekazali lankijskiemu rządowi równowartość 74 mln dol. w pomocy humanitarnej. Sporo, choć Sri Lanka prosiła o 4 mld. Co prawda, pomoc z Pekinu wciąż jest mniejsza od tej płynącej tradycyjnymi kanałami, czyli od podmiotów zachodniocentrycznych (100 mln na przyszły rok z ekosystemu ONZ, według danych „New York Timesa" i Financial Tracking Services), ale trend obudowywania chińskich inwestycji strukturalnych darmowymi pieniędzmi jest wyraźny. W swoich analizach zauważają go zarówno instytuty badawcze, w tym Carnegie Endowment czy CFR, jak i agencje wywiadowcze, z CIA i MI6 na czele. Powoduje to jeszcze większe uzależnienie tamtejszych gospodarek od relacji z Pekinem, naruszające nawet ich suwerenność. Tak się stało chociażby z Wyspami Salomona, pacyficznym archipelagiem na wschód od Papui-Nowej Gwinei, jednym z najważniejszych na Oceanie Spokojnym, przynajmniej ze strategicznego punktu widzenia. Oprócz wydatków na inwestycje, sięgających według różnych źródeł od 50 mln do nawet 100 mln dol., oraz klasycznej pomocy humanitarnej Chiny miały zaoferować władzom archipelagu bezzwrotny grant w wysokości pół miliarda dolarów za zerwanie relacji dyplomatycznych z Tajwanem. Do tego dochodzi kontrowersyjna oferta „udostępnienia" wyspiarzom chińskiej policji jako ewentualnego instrumentu zaprowadzania porządku, np. gdyby mieszkańcy archipelagu zbuntowali się przeciw wzrostowi chińskich wpływów. Wtedy mundurowi z Państwa Środka sami ich przypilnują, zgodnie z miejscowym prawem i umowami międzypaństwowymi.

Wina Putina

Chiny nie są oczywiście jedynym krajem, który używa pomocy humanitarnej czy rozwojowej jako instrumentu własnej polityki zagranicznej. To od zawsze był element gry mocarstw, zwłaszcza po zakończeniu ery kolonializmu. Wszystko jednak rozbija się o nadzór nad tymi pieniędzmi i późniejsze sposoby ich wydatkowania. Narody Zjednoczone, przynajmniej w teorii, zapewniają szczątki kontroli i transparentności, choć i temu modelowi daleko do ideału. ONZ ma niewyobrażalnie wręcz rozbudowaną biurokrację, a piętą achillesową jest współpraca z rządami w krajach globalnego Południa, zwłaszcza w Afryce. Nierzadko bowiem przekazywane środki są defraudowane, skorumpowani urzędnicy (po obu stronach transakcji) przelewają je na swoje konta w europejskich czy karaibskich bankach albo przekazują watażkom kupującym broń na czarnym rynku.

Rosną także koszty ochrony transportów z żywnością, zwłaszcza tych realizowanych przez World Food Programme, bo napady na konwoje ze zbożem to w Rogu Afryki niemal codzienność. Nie ma też co ukrywać istnienia komponentu politycznego w takich programach. Pożyczki z MFW czy Banku Światowego, również instytucji sprzężonych z ONZ, obwarowane są przecież dziesiątkami warunków dotyczących reform ekonomicznych i instytucjonalnych. Cała dyskusja o tym, kto, komu i ile przekazuje pieniędzy, jest dowodem na prawdziwość powiedzenia, że nic na świecie nie jest za darmo.

Tegoroczny kryzys w zbiórkach humanitarnych pokazuje zarazem, że inwazja Rosjan na Ukrainę wywołała konflikt o prawdziwie globalnym zasięgu. Jeśli bowiem w ocenie tego, czy wojna ta jest wojną światową, wziąć pod uwagę skalę jej konsekwencji, nie ma wątpliwości. Skutki działań wojsk rosyjskich odczuwane są już teraz w najdalszych zakątkach globu. Niestety, również tam mogą doprowadzić do przedwczesnej śmierci nawet setek tysięcy osób. Nie zginą one od rosyjskich kul czy rakiet, ale nie można się cofnąć przed przypisywaniem Kremlowi odpowiedzialności za to, co wydarzy się w 2023 r. w Etiopii, Afganistanie, Somalii czy na Haiti. Nie dotrze tam pomoc, po części dlatego, że zostanie przekierowana do Ukrainy. Przede wszystkim jednak zabraknie jej, bo dramatycznie wzrosną potrzeby, a system humanitarny nie będzie w stanie ich zaspokoić. To także będą zbrodnie wojenne Władimira Putina.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

Oko w oko

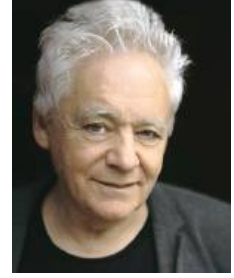

Tomasz Jastrun

Głupota i mądrość

Dawna linia podziału na lewicę i prawicę traci na aktualności, chociaż tych nazw będziemy jeszcze przez jakiś czas uparcie używać. Wiem, że często wracam do tego tematu, że się powtarzam, ale to jeden z kluczy do zrozumienia, co się dzieje we współczesnym świecie, a przynajmniej w kręgu naszej cywilizacji. Nowy podział społeczny, zaskakująco głęboki, to podział na zamożnych i biednych, na starych i młodych, lepiej i gorzej wykształconych, mieszkających w miastach, w małych miasteczkach i na wsi. Patrioci spierają się z nacjonalistami i narodowcami. Liberałowie gospodarczy ze zwolennikami gospodarki będącej pod kontrolą państwa. Otwarcie myślący, gotowi przyjmować uchodźców z tymi, u których obcy budzi lęk. Myślący spiskowo mają swoje przeciwieństwo w myślących racjonalnie. Przestraszeni tym, co nowe, stoją naprzeciw otwartych na zmianę. Dialog między tymi przeciwieństwami, które z reguły występują stadnie, jest zwykle niemożliwy. Po stronie konserwatywnej jest to bliskie wierze religijnej. Ta polaryzacja to nie tylko kraje Europy Wschodniej, nie inaczej jest w Wielkiej Brytanii czy we Włoszech, w Izraelu, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych. I w tym ta Polska podzielona dramatycznie i szpetnie.

Jesteśmy za głupi na naszą mądrość.

•

Marek Kuchciński, kiedyś mój kolega z opozycji, ważna postać w PiS, mówi: „Nikt rozsądny nie powinien głosować przeciwko PiS. Właściwie wszyscy powinni nas popierać. Trochę się dziwię, że nie mamy poparcia 70-procentowego, bo na takie bym liczył". Kuchciński nie mówi tego z przymrużeniem oka, jest śmiertelnie poważny, wierzy w to, co mówi. Kolejny dowód, jak daleko odlecieli od rzeczywistości. Za to też się płaci.

•

Dobry film „Motyl. Still Alice", świetna rola Julianne Moore. Znana uczona zaczyna chorować na alzheimera. Kiedy pojawiają się pierwsze objawy, zaniepokojona idzie do neurologa. Ten robi jej test, pyta o kilka rzeczy, badając pamięć. Na przykład prosi o powtórzenie zdania, przeliterowanie z pamięci jakiegoś słowa od końca, pyta, jaki jest dzisiaj dzień. Uderzyło mnie, że oblałbym ten test, podobnie jak ona. Czy wpadłem w panikę? Nie. Ja tak mam od dziecka. Sam nie pojmuję, jak sobie jakoś poradziłem w życiu, mając tak słabą pamięć.

•

Nowa biografia Lecha Wałęsy, potężna księga, napisał ją Krzysztof Brożek, gromadził przez wiele lat materiały. Nie mam siły tego czytać w całości, czytam obszerne fragmenty, a całość przeglądam. Książka wydaje mi się obiektywna, pisana bez miłości do Wałęsy, ale też bez niechęci. Autor szuka prawdy o człowieku. A w przypadku Wałęsy to niełatwe, gdyż jest wielu Wałęsów. Narcyz, interesowny, egotyczny, gadający głupstwa. I odważny działacz podziemia, potem przywódca obdarzony polityczną intuicją. Poruszające są rozdziały mówiące o agenturalnej przeszłości Wałęsy. Pisali o tym do tej pory głównie wrogowie Lecha. W książce zgromadzono liczne dokumenty, są relacje funkcjonariuszy SB, którzy prowadzili agenta Wałęsę. Po wydarzeniach grudniowych osaczony przez tajne służby, mały, samotny robotnik załamał się. To można zrozumieć. Już trudno, że za donosy, którymi czasem szkodził kolegom, brał pieniądze, tłumaczył się żonie, że spore sumy wygrywał w totolotka. Potem urwał się ze smyczy. Gdzieś tu jest dramat, okrutny paradoks, że nasz bohater narodowy miał taki epizod w życiu. Jakby najbardziej znany obok Karola Wojtyły Polak musiał być ze skazą (Jan Paweł II też okazał się ze skazą). Szlachetność łączył Wałęsa z podłością małego żulika. Głupotę z mądrością. Z mądrością? Może raczej ze sprytem. Wałęsa jest więc jak Haszkowski bohater, Szwejk. Nie wiadomo, geniusz czy idiota. Jak się zdaje, jedno i drugie jakimś cudem zmieściło się w Wałęsie.

•

W związku z wojną ukraińską wzruszające słowa Putina: „Kraje zachodnie mają materialne podejście do wszystkiego, podczas gdy Rosja ma podejście duchowe". Tak, duchowość caratu, łagrów, stalinizmu, kolonii karnych. I w końcu wódki.

•

Jaki był ten rok? Finał pandemii nie zmienił świata aż tak, jak sądzono. Coraz więcej ludzi zaczyna rozumieć, że zmiany klimatyczne zagrażają naszej planecie. Kiedy piszę na progu stycznia, jest 18 st. ciepła. Pachnie wiosną i katastrofą. A nasi rządcy nic z tego nie rozumieją, ślepi i głusi. Wojna ukraińska przypomniała nam, że wszyscy siedzimy na bombach termojądrowych. Jako że coraz więcej zbójeckich krajów je ma, pewnie źle to się skończy dla ludzkość. Są więc dwa bardzo realne czynniki, które grożą nam zagładą. Niezwykły postęp naukowy nie szedł w parze z postępem moralnym i wymknął się zdrowemu rozsądkowi. Jesteśmy za głupi na naszą mądrość. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

Transport australijskich transporterów opancerzonych Bushmaster dla Ukrainy.

Prawdziwy bóg wojny

Niezależnie od tego, jak dobrze wyszkolona i wyposażona będzie armia, bez sprawnej logistyki poniesie porażkę

Marcin Ogdowski

Nowy rok zaczął się dla armii rosyjskiej fatalnie. Dwie minuty po północy kilka rakiet HIMARS uderzyło w zajmowany przez żołnierzy kompleks szkolny w Makiejewce pod Donieckiem. Wedle ostrożnych szacunków zginęło lub zostało rannych 400 wojskowych (Rosjanie oficjalnie przyznali się do 89 zabitych, nie podają liczby poszkodowanych, Ukraińcy raportują dane ośmiokrotnie wyższe). Większość ofiar stanowili rezerwiści, którzy mieli trafić do jednostek artyleryjskich na froncie. Nie trafili. O wojnie w Ukrainie mówi się, że potwierdza dominację artylerii jako „boga wojny". Pokazuje zarazem, że „bogiem bogów" jest wysokoprecyzyjna artyleria dalekonośna, głównie rakietowa. Trudno z tym się nie zgodzić, gdy pojedynczy atak eliminuje z walki ekwiwalent batalionu – i potencjalnie ucisza dziesiątki armatnich luf – a dokładność uderzenia sprawia, że zniszczeniu ulega jedynie przejęty przez wojsko obiekt, nie zaś cały kwartał z zamieszkującymi go cywilami. Ale…

Pamiętajmy, że ktoś te himarsy w strefę walk dostarczył. To sprzęt amerykański, czyli droga rakiet wiodła przez ocean, a później przez kawał Europy, przebyły więc tysiące kilometrów. Z tego pozornie błahego stwierdzenia wynika warunek konieczny militarnego sukcesu – bez sprawnej logistyki ani rusz. Niezależnie od tego, jak wyszkolona i wyposażona będzie armia, jeśli nie zapewni się jej na czas amunicji, paliwa, jedzenia i zaplecza medycznego, w najlepszym razie nie zwycięży. Bóg jest zatem inny, a imię jego zaczyna się na literę L.

Generał gdzieś załatwił

O tym, jak ważna jest logistyka, przekonałem się w Afganistanie. W 2012 r. duża część transporterów Rosomak jeździła z uszkodzonymi siatkami LSO (chroniącymi zasadniczy pancerz przed granatami RPG). Formalnie były to sprawne wozy, podobnie jak rosomaki z niedziałającymi urządzeniami do obserwacji nocnej. Za dnia maszyny te z powodzeniem mogły brać udział w rozmaitych operacjach, wobec tego wszystko było OK. Wysoki wskaźnik sprawności sprzętu to w wojsku, szczególnie na wojnie, nie lada wyczyn, były więc powody do zadowolenia.

Wyczyn okupiony wysiłkiem mechaników, zwłaszcza że zaopatrzenie kontyngentu kulało. Zamówione części szły do Afganistanu nawet kilka miesięcy. Do dziś włos mi się jeży

FOT. RAAF

eprasa.pl 875b2a5ed2

na wspomnienie historii pododdziału, który przez długi czas jeździł na niesprawnych oponach, bo zabrakło kołków do wulkanizacji. „Generał gdzieś załatwił", podsumował historię jeden z rozmówców. „Załatwianie" sprowadzało się również do kanibalizacji, czyli pozyskiwania części ze zniszczonych i uszkodzonych wozów. Co w połączeniu z niewiarą w szybkie działanie służb logistycznych sprzyjało utrzymaniu fikcji wysokiej sprawności. Chętnie przyjmowanej na kolejnych szczeblach, któż bowiem lubi meldować o kłopotach? Tyle że na końcu łańcucha – w gabinetach wojskowych urzędników i polityków – wojna była pojęciem zupełnie abstrakcyjnym. Tam nikt życia przez niesprawny sprzęt nie ryzykował.

Wojskowa logistyka dzieli się na cztery obszary. Pierwszy obejmuje zaopatrzenie w paliwo, amunicję, części zamienne, medykamenty i racje żywnościowe. Na drugi składa się zaplecze remontowe. Trzeci, kwatermistrzowski, odpowiada za warunki bytowe. Czwarty związany jest z zabezpieczeniem medycznym. W Afganistanie dwie ostatnie kwestie spoczywały na barkach Amerykanów, obie pierwsze w istotnym zakresie zależały od Polaków. Przy dużej odległości między krajem a miejscem ekspedycji (4 tys. km) i braku strategicznego transportu lotniczego kłopotów nie dało się uniknąć. Na szczęście pod ręką byli Amerykanie.

Wyraźnie zabrakło ich podczas kryzysu granicznego z jesieni i zimy 2021 r., który w momencie największego nasilenia angażował niemal jedną trzecią naszego wojska. Pozostałe po redukcjach służb tyłowych armii dwie brygady logistyczne (w Bydgoszczy i Opolu) przez pół roku nie zdołały dowieźć na wschód Polski wystarczającej liczby kontenerów mieszkalnych. Część wojska mieszkała więc w ziemiankach, co kompletnie nie przystaje do standardów XXI-wiecznej armii, operującej w niewojennym reżimie, w kraju z gęstą siecią nowoczesnych dróg.

Ile pali czołg? Dużo

Wróćmy do wyzwań wojennych. W 2005 r., gdy intensywność walk w Iraku była najwyższa, konflikt kosztował amerykańskiego podatnika 190 mln dol. dziennie. Skąd ta suma? Amerykański żołnierz musi otrzymać posiłki o wartości 4 tys. cal, co czyni z logistyki made in USA wyjątkowo drogie przedsięwzięcie. Bo chodzi nie tylko o bilans kaloryczny, ale i różnorodność. Amerykańskie stołówki „na teatrze działań" wyglądają jak bary szybkiej obsługi. W największych bazach w Iraku i Afganistanie lunch można było wybierać z 20 pozycji. Produkty nie pochodziły z lokalnego rynku, przylatywały z USA, głęboko przetworzone, zmrożone, poddane obróbce pod kątem zapobieżenia masowym zatruciom. Za wartą kilkaset dolarów tonę owoców po uwzględnieniu kosztów transportu płacono kilkanaście tysięcy dolarów.

Wojskowa logistyka dzieli się na cztery obszary: zaopatrzenie w paliwo, amunicję, części zamienne, medykamenty i racje żywnościowe • zaplecze remontowe • kwatermistrzostwo, czyli warunki bytowe • zabezpieczenie medyczne.

A nie samym jedzeniem żołnierz żyje. Dostarczenie do zbiorników agregatów i baków pojazdów paliwa o wartości 10 tys. dol. kosztowało trzy-cztery razy tyle, a w sytuacji, gdy trzeba je było przetransportować do oddziałów z wysuniętych posterunków – nawet 10 razy więcej. Konwój i wozy ochrony potrzebowały paliwa, zaangażowani ludzie – jedzenia, picia, amunicji, w razie potrzeby ewakuacji medycznej. Dodajmy do tego zużycie amunicji, zniszczony i uszkodzony sprzęt. Gdy mówimy o 150-tysięcznym kontyngencie, łatwo robi się z tego 190 mln dol.

Zostawmy historię – radziecki czy rosyjski sprzęt, będący podstawą dla obu armii walczących w Ukrainie, też jest energochłonny. Godzina lotu śmigłowca Mi-24 wymaga niemal tony paliwa. Przy przyzwoitym średnim zużyciu i średnim przebiegu starczyłoby na prawie rok jeżdżenia cywilnym autem. „Weźmy typowy rosyjski batalion czołgów – 31 T-72B czy T-90, trzy ciągniki ewakuacyjne, kilka samochodów osobowo-terenowych, 30 ciężarówek, pluton przeciwlotniczy, pluton łączności", pisze Michał Fiszer, niegdyś wojskowy pilot, dziś wzięty analityk. Na pytanie, ile paliwa zużywa czołg, odpowiada: 800 litrów na 100 km. Co dla owych czołgów i ciągników ewakuacyjnych na tym samym podwoziu, w sumie 34 maszyn, daje 27 tys. litrów. Z uwzględnieniem innych pojazdów – 35 tys. litrów. „Czyli siedem typowych wojskowych cystern samochodowych dla jednego batalionu na 100 km marszu", konkluduje Fiszer, autor wydanej razem z synem Jackiem książki „Wojna w Ukrainie. Od napaści do kontrofensywy". A przecież czołg zużywa paliwo i na postoju – ok. 20-30 litrów na godzinę. By mógł w razie potrzeby strzelać, agregat zasilający elektrykę i hydraulikę musi pozostać na chodzie. „Dla jednej brygady mającej cztery bataliony, dywizjon artylerii i kilka samodzielnych kompanii robi się z tego już 200 tys. litrów na każde 100 km lub 5 tys. litrów na każdą godzinę postoju. A to 40 wojskowych cystern paliwowych po 5 tys. litrów", czytamy.

Rosjanie utrzymują w Ukrainie średnio 500-600 czołgów. W okresie największego zaangażowania (na przełomie lutego i marca ub.r.) było to nawet 1,5 tys. maszyn.

Zjawisko zasięgu ciężarówki

A co z wsadem do kotła? Gdy w 2015 r. trafiłem na donbaski front, przeżyłem szok. Wypieszczony przez amerykańską logistykę, znalazłem się w realiach II wojny światowej, gdy żołnierz dostawał puszkę mięsa, kawałek chleba i tyle. Przydziałowa wieprzowina, którą mnie uraczono pod Mariupolem, była niejadalna, z ulgą zatem przyjąłem fakt, że wysiłek aprowizacyjny na rzecz ukraińskiej armii częściowo wzięło na siebie społeczeństwo. Lokalni aktywiści dowozili na front gotowe posiłki oraz

eprasa.pl 875b2a5ed2

inne produkty spożywcze. Z czasem, gdy armia okrzepła, wojskowa logistyka zaczęła lepiej dbać o żołnierzy, lecz do amerykańskich standardów nie dobiła. Zresztą nie było takich ambicji, bo Amerykanie są niedościgłym wzorcem (w końcu kto bogatemu zabroni?). Ukraiński standard i tak jest wyższy od rosyjskiego, armia najeźdźcy bowiem nadal hołduje zasadzie, że żołnierz powinien się wyżywić we własnym zakresie.

Amunicji jednak sam sobie nie zorganizuje, zwłaszcza tej cięższej. Na przełomie maja i czerwca ub.r. Rosjanie zużywali dziennie 40-60 tys. pocisków artyleryjskich. Uśredniając, mamy 1,5 mln na miesiąc, 3 mln we wspomnianym okresie. Wcześniej wojna nie miała tak artyleryjskiego charakteru, rosyjskie wielkokalibrowe lufy wyrzucały z siebie nie więcej niż 10 tys. pocisków. W lipcu Rosjanie zeszli do poziomu z zimy i nie przebili tego pułapu aż do końca 2022 r., co znaczy, że od początku inwazji wystrzelali 5,5 mln sztuk amunicji artyleryjskiej. Tymczasem „nabój do haubicy waży jakieś 60 kg (45 pocisk i 15 ładunek miotający). (…) A co z amunicją dla czołgów, piechoty i jej wozów bojowych, co z rakietami przeciwpancernymi, granatami do moździerzy?", pytają retorycznie Michał i Jacek Fiszerowie. Przy takiej intensywności ognia nie sposób zachować ciągłości bez tworzenia zapasów podręcznych. „A jak przechowywać amunicję w polowym składzie? To nie ziemniaki, jak zawilgotnieje, będzie do niczego. A zabezpieczenie przeciwpożarowe, ochrona przed dywersją? To mnóstwo organizacji, sprawności, zaradności", przekonują autorzy „Wojny w Ukrainie".

Tak dochodzimy do kolejnych wyzwań. Wspomniane na wstępie himarsy – które pojawiły się na froncie wczesnym latem 2022 r. – zmieniły zasady gry. Ich zasięg (do 80 km) i przede wszystkim precyzja zmusiły Rosjan do rezygnacji z tworzenia dużych składów w miejscach rozlokowania artylerii bądź w niedużej odległości od stanowisk bojowych. Obecnie takie magazyny znajdują się zwykle 100 km od frontu. Daleko? Dość, by chronić się przed himarsami, ale i wystarczająco, by sprawić nie lada kłopot. Rosyjska logistyka opiera się na transporcie kolejowym, co wraz z innymi słabościami – np. niedostateczną liczbą samochodów i załadunkiem bazującym na sile ludzkich rąk – skutkuje tzw. zjawiskiem zasięgu ciężarówki. Maksymalnie 100 km od najbliższej linii kolejowej – tyle wynosi odległość pozwalająca na efektywne działania rosyjskich jednostek wojskowych. Im większy dystans, tym bardziej szwankują dostawy. I głównie stąd bierze się lęk Moskwy przed himarsami o zasięgu do 300 km – rosyjscy politycy i generałowie boją się nie tyle ataków na cele w Rosji, ile większego paraliżu logistyki. Na razie Ukraińcy takich rakiet z USA nie otrzymali.

Zmora wojny materiałowej

Ale i obrońcom nie brakuje zmartwień. Część jest udziałem obu stron. Oddajmy głos Fiszerom: „Jedna salwa pojedynczego dywizjonu (haubic – przyp. aut.) to ponad tona amunicji. W ciągu dnia walk dywizjon może wystrzelić i 50 takich salw". Do obsługi takiego ognia trzeba 10 wozów amunicyjnych o ładowności po 7 ton (skrzynki też ważą). Gdyby te samochody zbić w kolumnę przy zachowaniu minimalnej bezpiecznej odległości (50 m), dodać wozy z innym zaopatrzeniem, uwzględnić fakt, że dywizjon jest częścią większego związku taktycznego, np. brygady, robi nam się kilkukilometrowy konwój. Wymaga on utwardzonej drogi i odpowiedniego zabezpieczenia, którego wyjazd w trasę musi być skorelowany z bieżącymi potrzebami walczących oddziałów. Ukraińcy mają tu bardziej pod górkę, bo Rosjanie – przynajmniej teoretycznie – dysponują większymi możliwościami ataku na kolumny logistyczne z powietrza.

Lecz nie to spędza sen z powiek ukraińskim generałom i politykom. „Żaden kraj NATO poza Stanami Zjednoczonymi nie ma wystarczających początkowych zapasów broni ani zdolności przemysłowych do prowadzenia pełnoskalowych działań wojennych", piszą eksperci brytyjskiego ośrodka analitycznego Royal United Services Institute. To skutek pozimnowojennej demilitaryzacji, na którą szczególnie ochoczo przystały państwa zachodnioeuropejskie. Tymczasem konfrontacja z Rosją oznacza dla Ukrainy – a więc i dla jej sojuszników – wojnę materiałową na ogromną skalę. Ukraińskie zapasy amunicji są uszczuplone, możliwości produkcji – skromne. Zachód śle pociski z własnych arsenałów, ale w magazynach wielu natowskich armii niebawem będą już tylko żelazne zapasy. Donatorzy kupują też amunicję na całym świecie – w ostatnim pakiecie pomocowym znalazło się m.in. 65 tys. pocisków artyleryjskich 152 mm i 122 mm oraz 50 tys. pocisków rakietowych Grad, czyli amunicji w standardzie (po)radzieckim. Pociski „natowskie" (155 mm) trafiają do Ukraińców niemal wprost z linii produkcyjnych. Zachód zwiększa możliwości zakładów zbrojeniowych, ale to proces rozciągnięty w czasie. USA podwoją produkcję amunicji artyleryjskiej za pół roku albo i rok. Problemem nie jest wola polityczna, chodzi o kwestie techniczne. Co prowadzi nas do wniosku, że bez logistyki ani rusz, lecz i ona ma swojego boga – bazę przemysłową.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

W „bawarskich Wadowicach" wszystko wygląda inaczej

Po śmierci Benedykta XVI rodzinna miejscowość niemieckiego papieża liczy na turystyczno-pielgrzymkowe odrodzenie

Chrystian Ślusarczyk

Jeżeli zapytamy statystycznego Niemca (może z wyjątkiem Bawarczyków), Włocha czy Polaka, gdzie urodził się zmarły kilka dni temu papież Benedykt XVI, albo nie uzyskamy odpowiedzi, albo usłyszymy, że „w jakimś małym, niemieckim miasteczku". We Włoszech swego czasu mówiono nawet, że „urodził się gdzieś w Bawarii". To „gdzieś" to Marktl am Inn na pograniczu Dolnej Bawarii i Austrii, nad krystalicznie czystą rzeką Inn. Wybierzmy się zatem do miejsca, które swoje niespodziewane pięć minut miało w 2005 r., kiedy bawarski kardynał Joseph Ratzinger został wybrany na papieża. I zapewne swój czas będzie miało ponownie, po tym jak w ostatnim dniu 2022 r. świat pożegnał 95-letniego Benedykta XVI – pierwszego od XV w. papieża, który dobrowolnie zrzekł się urzędu.

Gdzieś w Bawarii

„Przybyłem z dalekiego kraju", brzmiały pierwsze słowa nowo wybranego papieża Polaka. Jego następca, Benedykt XVI, witając się z wiernymi, powiedział m.in., że „jest skromnym pracownikiem winnicy Pana". Ale równie dobrze mógł dodać, że też pochodzi z odległego kraju i miejsca, o którym na lekcjach geografii nie uczyły się nawet bawarskie dzieci.

Jadąc do rodzinnej miejscowości Benedykta XVI (większość odwiedza Marktl, odbijając z trasy do Monachium czy w niemieckie Alpy), trudno nie pomyśleć, że kierujemy się do „bawarskich Wadowic". Im bliżej jednak tej schowanej wśród zielonych lasów i pól kukurydzy 2,5-tysięcznej miejscowości (nasze Wadowice to miasto 20-tysięczne), tym więcej wątpliwości, czy porównanie ma sens. I to z kilku powodów. Niezależnie od tego, czy jedziemy od północnego wschodu, od granicy z Czechami, czy od południa, od strony Austrii, nie dojedziemy tu autostradą. Gęsta ich sieć szerokim łukiem omija Marktl. Kto wybiera się własnym samochodem, musi być zaopatrzony w najnowsze i najdokładniejsze mapy/nawigacje. Tablice informujące, że zbliżamy się do Marktl am Inn, pojawiają się tuż przed wjazdem do miasteczka. Gdy już się w nim znajdziemy, charakterystyczne brązowe tablice skierują nas w stronę Papst Geburtshaus, czyli domu, w którym 16 kwietnia 1927 r. przyszedł na świat przyszły papież.

Spory budynek może służyć za przykład architektury tej części Bawarii. Biały, z niezbyt wysokim parterem, brązowymi okiennicami i przede wszystkim charakterystycznym, wystającym 2-3 m poza obrys budynku symetrycznym bawarskim dachem. Odnowiona fasada mogłaby świadczyć, że jest to nie tylko jeden z największych, ale i najbardziej zadbany dom w Marktl. Tymczasem jego niewielki dziedziniec z kilkoma starymi śliwami i bluszczem dopiero niedawno został wypucowany na bawarską modłę. Wcześniej zaskakująco długo był placem remontowo-budowlanym.

Muzeum młodzieńczych wspomnień

Wejście dla zwiedzających XVIII-wieczny dom rodzinny Ratzingerów znajduje się nieco z tyłu, w mało reprezentacyjnej części, od strony restauracji. W nowym, dobudowanym skrzydle ulokowano kasę biletową. Kupując wejściówkę, jesteśmy jednocześnie zapraszani na półgodzinny film o Josephie Ratzingerze w języku niemieckim lub angielskim (w tych językach są też wszelkie opisy eksponatów). Przyszły papież w domu przy Marktplatz 11, który udostępniono zwiedzającym, mieszkał jedynie przez pierwsze dwa lata. W 1929 r. rodzina przeprowadziła się do pobliskiego Tittmoning, gdzie ojciec Josepha, bawarski policjant, otrzymał nowe stanowisko.

Ci, którzy spodziewali się, że w domu papieża zachowały się przedmioty należące do Ratzingerów, mogą czuć się zawiedzeni. Niestety, upływ czasu, wojna i przeprowadzki właścicieli spowodowały, że oryginalny wystrój pomieszczeń się nie zachował. Jest tylko biblioteka z dziesiątkami cennych tomów. Brak zachowanych mebli rekompensują w pewnym sensie znakomicie wyeksponowane fotografie z różnych etapów życia Josepha Ratzingera.

Ostatnią właścicielką domu, w którym urodził się Benedykt XVI, była pani Claudia Dandl. Budynek ▸

Bardzo bliscy kupna rodzinnego domu Benedykta XVI byli ponoć szejkowie z Emiratów, którzy mieli oferować nawet 5 mln euro.

eprasa.pl 875b2a5ed2

W muzeum wyeksponowano fotografie z różnych etapów życia Josepha Ratzingera.

Pomnik ufundowany z okazji wizyty Benedykta XVI w rodzinnym mieście w 2006 r.

w centrum miasteczka kupiła w roku 1999. Zdając sobie sprawę, że dom będzie się cieszył coraz większym zainteresowaniem turystów, zdecydowała się odsprzedać go władzom. Choć różne źródła podają różne kwoty, papieski dom został sprzedany za niemal 1 mln euro. Chętnych na jego zakup nie brakowało. Bardzo bliscy kupna byli ponoć szejkowie z Emiratów, którzy mieli oferować nawet 5 mln euro!

Kremówki, torciki i zimny „Benedykt"

Po słynnej wypowiedzi Jana Pawła II, który w 1999 r. przypomniał sobie, jak po maturze chodził na kremówki, sporo cukierni w Małopolsce i nie tylko tam zaczęło serwować te ciastka. Moda, by po zdanej maturze wybierać się na kremówki do cukierni Hagenhubera (przestała istnieć w 1945 r.), zapanowała wśród absolwentów wadowickiego gimnazjum po roku 1937. Karol Wojtyła, znany wśród rówieśników jako Lolek, założył się, że zje co najmniej 10 ciastek. Udało mu się, mało tego, skonsumował jeszcze pięć, po czym nie najlepiej się poczuł i… przegrał zakład. Joseph Ratzinger kremówek prawdopodobnie nie jadał, wolał torty. W kawiarni w samym sercu Marktl oferowane są „papieskie torciki". Ale ich sława i popularność mają się nijak do tego, co osiągnęły papieskie kremówki.

Ceny pamiątek nie są wygórowane.

Za to jak każdy niemal Bawarczyk Joseph nie gardził ponoć kuflem zimnego piwa do obiadu. Niedługo po wyborze kard. Ratzingera na papieża lokalni spece od marketingu wypuścili limitowaną serię jasnego piwa Papst Bier. Na półlitrowych butelkach napitku z browaru Weideneder Tann widnieje rysunek fasady domu Benedykta XVI, nad nim z kolei, na tzw. krawatce, umieszczono podobiznę łagodnie uśmiechającego się papieża. Tak wyglądające papieskie piwo nie utrzymało się długo na rynku. Obawiając się krytyki czy wręcz represji handlowych ze strony takich polityków jak Edmund Stoiber, działacz CDU i premier Bawarii, browar Tann usunął z krawatki wizerunek Benedykta XVI. Butelki Papst Bier możemy nabyć jedynie w Marktl w sklepach z pamiątkami.

Dziś piwo Papst Bier można kupić jedynie w Marktl.

Inny niemiecki browar wypuścił na rynek piwo o nazwie Benedikt XVI. Na etykietce widniała bazylika św. Piotra. Choć był to dość mocny jak na piwo trunek (7,5%), przez jakiś czas cieszył się popularnością wśród Włochów. Właściciel baru na Zatybrzu

eprasa.pl 875b2a5ed2

Kościół pw. św. Oswalda, gdzie Joseph Ratzinger został ochrzczony.

Bilet wstępu do domu Benedykta XVI kosztuje 4 euro. Za zwiedzenie domu Jana Pawła II w Wadowicach zapłacimy 30 zł.

był dumny, że jako jedyny restaurator w całych Włoszech serwuje zimnego Benedykta XVI.

Kościół i symboliczna kolumna

Mały Joseph z okien domu przy Marktplatz 11 widział m.in. aptekę, cukiernię, sklep oraz strzelistą wieżę kościoła św. Oswalda. Ta znajdująca się kilkanaście metrów od domu przyszłego papieża świątynia (podobnie jak wadowicka bazylika sąsiadująca z domem Wojtyłów) to kolejne miejsce związane z dzieciństwem papieża. Joseph Ratzinger urodził się w Wielką Sobotę, a następnego dnia został ochrzczony wodą, która była dopiero co poświęcona. W rodzinie mówiono, że był pierwszym ochrzczonym z nowej wody. Mieszkańcy Marktl już wtedy odnotowali to wydarzenie jako fakt, który może mieć znaczący wpływ na ich życie. Zwiedzając kościół, warto więc zwrócić uwagę na piękną chrzcielnicę. Oprawiony w ramki, wypisany ozdobnym gotykiem wyciąg z księgi chrztów parafianie z Marktl ofiarowali Benedyktowi XVI podczas swojej pierwszej pielgrzymki do Watykanu.

Między domem rodzinnym papieża a ratuszem stoi wysoka na 4,2 m kolumna z brązu, ufundowana z okazji wizyty Benedykta XVI w rodzinnym mieście w 2006 r. Pomnik ma nawiązywać do dziedzictwa papieża. Formą przypomina rozwijane płachty starych dokumentów, związane ozdobnym sznurem i zapieczętowane kościelnymi pieczęciami. Widnieją na nim podobizny Benedykta XVI, papieski herb i cytaty z ważnych przemówień. Nawiązują one też do nauczania i dzieł św. Benedykta z Nursji, patrona byłego papieża.

Benedykt XVI nie był jedyną głową Kościoła katolickiego, która odwiedziła miasteczko nad rzeką Inn. W podróży powrotnej z Wiednia 24 kwietnia 1782 r. zatrzymał się tu Pius VI.

Kasowa niespodzianka czy nowa normalność?

Choć słyszymy, że globalny kryzys i galopująca inflacja windują ceny wstępu do atrakcji turystycznych w Polsce i za granicą, dom-muzeum papieża Benedykta XVI zaprzecza tym tezom. Dziś na bilet do muzeum w Marktl am Inn wydamy 4 euro. Od początku istnienia muzeum, czyli od 15 kwietnia 2007 r., cena wzrosła o… pół euro! To w zamożnej Bawarii.

A u nas? Jeśli udamy się z wizytą do Muzeum Domu Rodzinnego Ojca Świętego Jana Pawła II, sięgniemy do portfela znacznie głębiej. Za zwiedzenie muzeum w Wadowicach zapłacimy 30 zł, a jeżeli skorzystamy z audioprzewodnika – 6 zł więcej. Także ceny w sklepach z pamiątkami zlokalizowanych w najbliższym otoczeniu papieskich domów w Marktl i Wadowicach mogą sugerować, że Bawaria to oaza wszelakich przecen.

Oba muzea różnią się też zasadniczo godzinami otwarcia. Dom Benedykta XVI przez ostatnie kilka lat dostępny był dla turystów tylko w okresie letnim. Od października do końca marca można było zobaczyć jedynie fasadę budynku i – jeśli był otwarty – kościół św. Oswalda. W związku ze śmiercią Benedykta XVI zdecydowano o otwarciu domu-muzeum w dniach 2-8 stycznia. Wiosną zapewne muzeum wróci do tradycyjnych godzin otwarcia. Nie widać ich na stronie, ale kiedy tam byłem, otwierano dom w godz. 9-11 i 13-15, chociaż był dzień, gdy można było go zwiedzać w godz. 12-15. Planując wycieczkę, trzeba to najpierw dokładnie sprawdzić. Za to w Wadowicach nawet w zimowym, niskim sezonie muzeum Jana Pawła II otwarte jest w godz. 8.30-14.45.

Dom-muzeum w Marktl am Inn w pierwszych dwóch latach funkcjonowania odwiedziło 200 tys. turystów. Zanim powstał, Marktl odwiedzało rocznie… 2 tys. turystów. Po abdykacji Benedykta XVI 28 lutego 2013 r. liczba gości zaczęła szybko spadać – w 2015 r. 15 tys. odwiedzin. Od miesięcy muzeum świeciło pustkami, bo to i pandemia, i o samym papieżu emerycie było bardziej niż cicho. Młodzi zaczęli zamykać interesy i wyjeżdżać do większych miast.

Śmierć Benedykta XVI prawdopodobnie odwróci tę tendencję. Na początku nowego roku spokojne, wydające się spać zimowym snem Marktl am Inn znowu liczy, że turyści i pielgrzymi przypomną sobie o miejscu, gdzie na świat przyszedł niemiecki papież.

Chrystian Ślusarczyk

FOT. CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK

eprasa.pl 875b2a5ed2

Heroizm a polityka

W Polsce wielbiony jest każdy rębajło. Choćby działał lekkomyślnie czy niezdarnie

Piotr Kimla

Tak zwani dynastycy, jeden z monarchistycznych odłamów Wielkiej Emigracji, zagorzali zwolennicy księcia Jerzego Adama Czartoryskiego, głosili: „My Niemców i Moskali pędzić w Prusach i Imperium, palić, niszczyć możemy; sprawić eksterminację Austriakom w Węgrzech i w Czechach; wszędzie tępić okrutnych najezdników; pływać (skoro to nasz żywioł) w tej krwi, w której ich topić będziemy. Ma Polska figurę i naród, ciało i duszę, wszelką możność i łatwość wielkiego mocarstwa. Skoro Książę zechcesz, będzie najpotężniejszym państwem w Europie". Wyrzuceni z polskiej ziemi emigranci po przegranym powstaniu listopadowym namawiali księcia Czartoryskiego na poprowadzenie Polaków do wojny z Rosją, Austrią i Prusami. Nie widzieli specjalnych trudności w walce na trzy fronty z najpotężniejszymi ówcześnie państwami świata.

Przywołałem stanowisko XIX-wiecznych dynastyków jako pars pro toto utrzymującego się w Polsce pomieszania pojęć. Ciągłego rugowania wartości przynależnych do etosu politycznego przez wartości etosu żołnierskiego. Może z tego powodu wielu z nas łatwo wpada w heroiczny nastrój, słuchając wieści z wojny toczącej się obecnie za wschodnią granicą. Tym bardziej że nie ma komu heroizmu studzić. Żyje przecież coraz mniej osób, które same wojny doświadczyły. A tylko one mogłyby wiarygodnie przypomnieć, że wojna jest „nauczycielką perwersji". Nie oznacza wiele więcej aniżeli głód, pragnienie, brud, smród, pleniące się choroby, zniszczenie i śmierć.

Gdyby chociaż w owym pomieszaniu pojęć etos polityczny wypierany był przez świat wartości oficera czy generała. Jest on jednak wypierany przez świat wartości żołnierza niskiego stopnia. Żołnierza, którego powinnością nie jest wnikanie i rozumienie sedna spraw. Jego fundamentalną cechą musi pozostać niezachwiana gotowość do wykonywania rozkazów połączona z czysto bojową odwagą. Czy z tego pomieszania pojęć i etosów nie musi się wyłonić nieroztropna polityka ściągająca na nasze głowy problemy i niebezpieczeństwa? Moim zdaniem musi. W spokojnych czasach niefachowym rządzącym wiele działań może ujść na sucho. Ale czasy spokojne nie są.

Współczesna realistyczna teoria polityczna zbudowana jest na tym, co łączy ludzi w prawdziwie uniwersalnym wymiarze. Łączy ich bez względu na kolor skóry, wyznanie, tradycję polityczno-prawną, szerokość geograficzną, pod którą żyją. Tym łącznikiem nie jest, jak mogłoby się wydawać, wspólna, ogólnoludzka wizja dobra. Przeciwnie, wizje dobra tworzone przez ludzkie wspólnoty różnią się od siebie, co wpycha te wspólnoty w koleiny rywalizacji. Tym, co ludzi łączy w prawdziwie powszechnym sensie, jest strach przed śmiercią. Tak oto jasne się staje, że fundament odpowiedzialnego myślenia politycznego – strach przed śmiercią – sytuuje się w całkowitej opozycji do etosu żołnierskiego, którego zasadniczą składową jest właśnie zdolność do heroicznego zanegowania strachu przed śmiercią.

Czy jednak w polskiej kulturze politycznej ten, kto boi się śmierci, nie jest od razu podejrzewany o to, że jest tchórzem? Czy jeśli nie broni dogmatycznie tego, co słuszne, wobec napierających przeważających sił przeciwnika, może tak naprawdę być politykiem w Polsce – tym „mesjaszu narodów"? Czy nie jest skazany na porażkę, skoro nie potrafi się dopatrzyć wielkości w prowadzeniu heroicznych bojów bez szans na zwycięstwo, podczas gdy znakomita większość narodu jest wyedukowana na gruncie etosu prostego żołnierza i musi takie heroiczne boje podziwiać? Stefan Kisielewski konstatował: „Zadziwiająca to rzecz, jak w Polsce wielbiony jest każdy rębajło. Choćby działał lekkomyślnie czy niezdarnie, jeśli nadstawiał karku, to już jest narodowym herosem, a jeśli w dodatku zginął, to się go bezapelacyjnie kanonizuje. Za to jakże mizerny jest pośmiertny los tych, co w późnym wieku umarli w łóżku, choćby byli wielkimi politykami czy myślicielami i przysporzyli narodowi, jego kulturze lub ekonomii dóbr zgoła konkretnych". Co więcej, niekończący się trening patriotyczny ze wzorcem w postaci prostego żołnierza zmierza ku wytwarzaniu ciągłej gotowości do podejmowania walk niemożliwych do wygrania. Skoro wiele przeszłych pokoleń Polaków walczyło w beznadziejnych warunkach bez widoków na wiktorię, to niezdolność do takiej walki musi Polaka dezawuować we własnych oczach i w oczach pozostałych polskich „patriotów". Być może z tego powodu pewna nastolatka po wizycie w Muzeum Powstania Warszawskiego stwierdziła, że odnalazła sens życia – zapragnęła umrzeć w kanale.

Na jaką reakcję współobywateli może w Polsce liczyć polityk, gdy zacznie tłumaczyć, że jego obowiązkiem jest nie tylko pytanie o to, co słuszne, lecz również o to, co nastąpi potem? Pytanie o skutki bezkompromisowej obrony „słuszności". Gdyby chciał się wyrazić uczenie (co politykom raczej nie grozi) powiedziałby, że jego etyką musi pozostać konsekwencjalistyczna (skupiona na skutkach działania) etyka odpowiedzialności. Z jaką reakcją współobywateli spotka się polski polityk, gdy zacznie podnosić kwestię, że do walki o „słuszność" z liczną, świetnie uzbrojoną i wyszkoloną armią

eprasa.pl 875b2a5ed2

przeciwnika służy własna, świetnie wyszkolona i uzbrojona armia o podobnej liczebności? A jeśli takową się nie dysponuje, to ustępowanie przed silniejszym przeciwnikiem w imię zachowania życia i kultury materialnej nie jest zaprzaństwem i tchórzostwem, lecz godnym pochwały aktem roztropności. Zdrowym odruchem szanującym reguły odpowiedzialnej polityki. Uwyraźnię po raz setny rzecz oczywistą: w polityce nic nie dzieje się raz na zawsze i utrzymując się przy życiu, mamy możliwość z czasem odwrócić niekorzystne położenie. Zabraknie nam tej możliwości, jeśli pięknie zginiemy. Nie rozumieli tego starożytni Melijczycy i dysponując nikłymi siłami, wdali się w heroiczny bój z imperialistyczną talassokracją ateńską, co opisał w swoim arcydziele Tukidydes. Wzniośli, ale politycznie krótkowzroczni Melijczycy byli przekonani, że bogowie będą po ich stronie, ponieważ występowali „w słusznej sprawie przeciw krzywdzicielom". Pozwolili sobie wmówić, że słabym przysługuje moralna wielkość, a silni zawsze toną w bagnie moralnej zgnilizny. Uwierzyli być może, że takie stawianie sprawy jest odzwierciedleniem rzeczywistości, a nie tylko zabiegiem słabych, aby silnych skonfundować. Ateńczycy, nie zdoławszy nakłonić Melijczyków do kapitulacji, brutalnie przypomnieli im reguły politycznej statyki. Po zwycięstwie wszystkich dorosłych mężczyzn wymordowali, dzieci i kobiety sprzedali w niewolę, a wyspę Melos sami skolonizowali, wysławszy 500 ateńskich osadników.

Jakiej reakcji może się spodziewać w Polsce polityk, który ośmieliłby się oświadczyć, że najistotniejszą cnotą polityczną jest oszczędność? Pietyzm i ochrona tego, czym się dysponuje i zarządza. Polityk dysponuje i zarządza najważniejszym – życiem obywateli oraz ich dobrostanem, zbudowanym na kulturze materialnej wytworzonej przez poprzednie pokolenia. Jego obowiązkiem jest nie szafowanie zasobami, lecz troska o ich pomnażanie. Troska o przyswojenie rodzimej kulturze politycznej i gospodarczej dobrych rozwiązań wynalezionych gdzie indziej, ale możliwych do zastosowania u nas. Cnota oszczędności w polityce łączy się ściśle z ostrożnością. Z niepodejmowaniem ryzyka w imię wielkich, potencjalnych zysków, z nienarażeniem tego wszystkiego, co się posiada w sposób ugruntowany. Z niewikłaniem państwa w sojusze, inicjatywy, sprawy, które mają tylko luźny związek z jego realnymi potrzebami i interesami.

Jakiej w końcu reakcji współobywateli może oczekiwać w Polsce polityk, który głosić będzie wagę i przywiązanie do kompromisu? W świecie, w którym istnieje wiele podmiotów dążących do osiągnięcia tego samego celu, bardzo rzadko udaje się w pełni zatriumfować. Najczęściej trzeba się zadowolić połowicznym rezultatem i go doceniać. Czym np. jest polski Okrągły Stół, kompromis z 1989 r., w oczach większości społeczeństwa nawykłej do zero-jedynkowego, westernowego, manichejskiego widzenia świata? W społeczeństwie ukształtowanym myślowo na modłę zwykłego żołnierza heroizm toczonej walki nie będzie nigdy właściwie uhonorowany, jeśli na końcu politycy ważą się zawierać „zgniłe" kompromisy.

Kompromis, tolerancja, zdolność dostosowania się, dalekowzroczność, przezorność, skuteczność, wiedza, trzeźwość w ocenie sytuacji, szacunek dla kultury materialnej – to wartości zajmujące wysokie pozycje w uniwersum etycznym roztropnej polityki. Uniwersum, którego fundamentem nie może być ślepe posłuszeństwo, czystość intencji, wierność samemu sobie, męczeństwo w imię wyznawanego ideału, lecz musi nim pozostać odpowiedzialność za skutki działania. Jeśli za rzadko odnajdujemy w sobie wymienione na początku akapitu cechy, z odpowiedzialnością na czele, i nie stanowią one w Polsce kryterium dobierania ludzi do polityki, to jedną z przyczyn jest sączona do naszych głów od najmłodszych lat despotyczna pedagogika heroizmu. Na jej gruncie historia Polski to historia walki światła i dobra z siłami ciemności i zła. To przyjęcie statusu ofiary i napawanie się nim. Jednak ciągłe ożywianie krzywd doznanych przez naszych rodaków nie spowoduje, że potomkowie sprawców tych krzywd zaniemówią pod moralnym pręgierzem i będą Polakom oddawać wieczną cześć. Przywołają raczej te wszystkie wydarzenia, które stawiają Polaków poniżej wyobrażenia, jakie mają oni o sobie. Czy ciągłe wypominanie Rosjanom paktu Ribbentrop-Mołotow nie spowodowało, że dyplomacja rosyjska przypomniała o tym, że Polacy pierwsi „flirtowali" z III Rzeszą Hitlera i wzięli udział w rozbiorze Czechosłowacji w 1938 r.? Znakomita większość Polaków żyje w przeświadczeniu, że Wielka Brytania i Francja zdradziły nas w 1939 r. A ilu zdaje sobie sprawę z rozczarowania, jakiego zachodni politycy doznawali od drugiej połowy lat 30. XX w., obserwując proniemiecką politykę Józefa Becka? Czy z francuskiej perspektywy Polska nie odzyskała niepodległości, ponieważ na frontach I wojny światowej zginęło 1,5 mln francuskich mężczyzn? Czy w oczach Brytyjczyków i Francuzów zacieśnianie w pewnym momencie przez Becka stosunków z Hitlerem nie było skrajną niewdzięcznością? Sądzę, że bardzo niewielu Polaków kiedykolwiek pomyślało o wskazanych wydarzeniach w ten sposób. Stoją oni raczej na stanowisku, że niepodległość Polski wywalczył Józef Piłsudski z legionami. W takim razie proponuję sprawdzić w najważniejszych zachodnich historiach powszechnych ubiegłego wieku, jak wiele jest tam wzmianek na temat legionów Piłsudskiego. Wielbiciele marszałka też mogą się rozczarować. Ratować ich będzie przekonanie, że zachodni historycy są po prostu ignorantami.

Świat realistycznej polityki, z nielicznymi wyjątkami, nie może traktować pedagogiki heroizmu, wypierającej rzetelne myślenie polityczne, z rewerencją. Pedagogika heroizmu to matka naszych przeszłych utrapień oraz groźba popadnięcia w nie dzisiaj i w przyszłości. ■

Wojna nie oznacza wiele więcej aniżeli głód, pragnienie, brud, smród, pleniące się choroby, zniszczenie i śmierć.

eprasa.pl 875b2a5ed2

Nic w życiu nie jest za darmo

Przeciw władzy możemy się zbuntować, musimy tylko wiedzieć, jakie są konsekwencje. Ja je znam: zostajesz osamotniony

Rozmawia Artur Zaborski

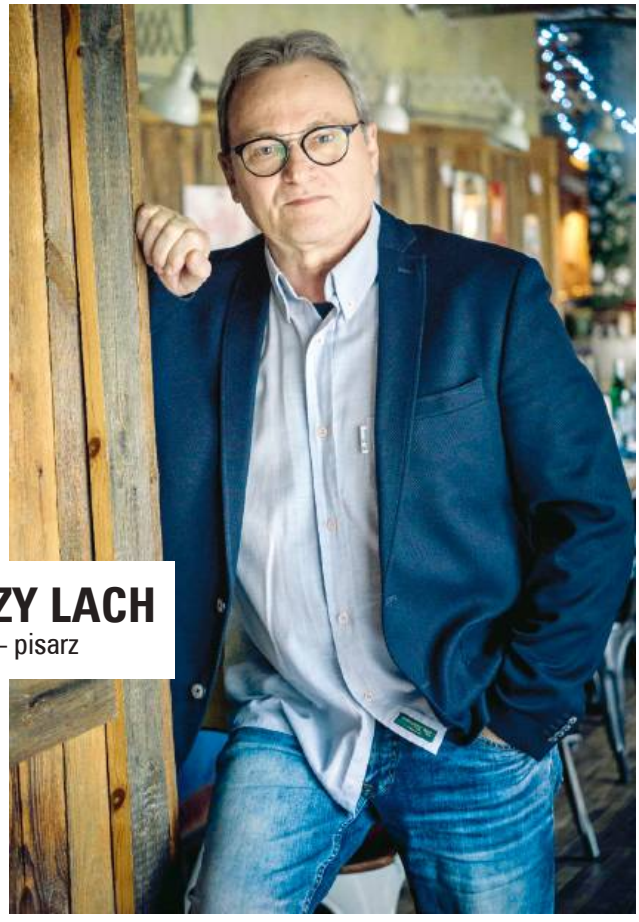

JERZY LACH
– pisarz

„Krótka historia jednego awansu" to książka moralnego niepokoju. Pokazujesz nam bohatera, Maksa, który zostaje odarty ze złudzeń, gdy spotyka na swojej drodze bezlitosnych reprezentantów systemu próbujących wykorzystać jego naiwność. Też masz takie bolesne doświadczenia?

– Każdy autor przemyca do książek nieco wątków autobiograficznych. Przyznaję, że w tej jest ich sporo. Nie można jednak nazwać jej stricte autobiografią, bo zbyt wiele w niej fikcji literackiej. Mój bohater wyjechał z prowincjonalnego miasteczka do stolicy, by zająć się amatorskim teatrem alternatywnym, dokładnie tak, jak zrobiłem to ja. Moja kariera toczyła się bardzo różnie. Bohater powieści poszedł w konkretnym kierunku, ale właściwie nie wiem, czy miał jakiś wybór. Być może tak, ale bardzo zależało mu na tym, żeby osiągnąć sukces. Wygrał konkurs, nie wiedząc, że całe przedsięwzięcie jest ustawione. Został dyrektorem departamentu kultury, tak jak ja. Następnie dostał się w tryby machiny urzędowo-politycznej. Opowieść o tym konkretnym bohaterze ma jednak wymiar uniwersalny.

Większość z nas trafiła na kogoś, kto chciał nas użyć jako narzędzia do rozegrania pewnych sytuacji.

– I to niezależnie od tego, czy pracujemy w kulturze, czy w biznesie. Trudno z takich sytuacji się wyzwolić, bo opierają się one na transakcjach wymiennych. Właściciele korporacji dają pracownikom samochód, telefon czy możliwość wyjazdu. W polityce oprócz służbowego auta są jeszcze obietnice awansu – tak pokonuje się kolejne szczeble drabiny zawodowej. Niestety, za wszystko się płaci. Nic w życiu nie jest za darmo. Powstaje zatem pytanie, jaką decyzję podejmie każdy z nas. To zależy od nas, wbrew temu, co czasami się mówi. I to my ponosimy ewentualne konsekwencje swoich czynów. Maks też je poniósł. Szedł w konkretnym kierunku, dostał kopniaka i odsiedział swoje w więzieniu, chociaż na to nie zasłużył, ale na samą karę już tak.

Naprawdę tak myślisz?

– Tak, bo mógł wcześniej wycofać się z całej sytuacji, jednak tego nie zrobił. Postawiono mu nieprawdziwe zarzuty, ale niestety to dziś powszechna praktyka. Ludzi niszczy się, naklejając im na oczach czarny pasek w telewizji i dopisując symbolicznego Józefa K. z „Procesu" Kafki, chociaż wszyscy doskonale wiedzą, o kogo chodzi. Po miesiącu okazuje się, że Józef K. został aresztowany niesłusznie, nie ma przeciw niemu żadnych dowodów i zostaje wypuszczony. Problem w tym, że jest wówczas już skończony, nie osiągnie niczego. A to wszystko dzieje

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 875b2a5ed2

się wtedy, kiedy ludzie chcą się wyalienować z panującego systemu, co grozi upadkiem, bo stado zawsze wyrzuci z grupy czarną owcę.

Twoja książka jest naznaczona pesymizmem – niby wierzysz w to, że jednostka może się zbuntować, wyłamać i przetrwać, ale już nie w to, że system da się zmienić.

– Wierzę w człowieka i jego zdolność do buntu. Natomiast faktycznie systemu nie da się zmienić. Nawet gdyby to się udało, przyszedłby nowy; podobnie jest z ustrojami politycznymi. Ale człowiek ma wolną wolę i może samodzielnie podejmować decyzje. Nie jest tak, że wszystko dzieje się niezależnie od nas, a my każdego ranka zastanawiamy się tylko, co tego dnia się wydarzy. Stojąc na rozstaju, też wybierasz, czy idziesz w lewo, czy w prawo. Wybór pada na konkretną drogę i różne rzeczy mogą się na niej wydarzyć, ale wszystkie mają początek w twojej decyzji. Bohater mojej książki dostał propozycję wyprowadzki do Warszawy i skorzystał z niej, co wygenerowało różnego rodzaju problemy. Dążył do realizacji marzeń i w pewnym sensie był niepoprawnym idealistą, jakby nie widział, co dzieje się wokół niego. Decydując się na wejście do stada, powinien być gotowy na to, że będzie musiał stać się wilkiem. Jeżeli nie zabije on, to zabiją jego. Takie są prawa miejskiej dżungli. Maks naiwnie myślał, że awansuje się wtedy, kiedy jest się dobrym merytorycznie.

A tak nie jest?

– Awansuje się dzięki znajomościom i wzajemnym przysługom. Ktoś może się ze mną nie zgodzić, ale takie są moje doświadczenia. Dlaczego ludzie zakładają partie polityczne? Bo w nich funkcjonuje się łatwiej. Będąc w partii i grzecznie słuchając odpowiednich ludzi, sprawiamy, że nasze kariery pną się w górę. Jednocześnie w ramach jednego ugrupowania pozabijalibyśmy się nawzajem, walczymy między sobą o pozycję. Kiedy zacząłem pracować w urzędzie marszałkowskim, wydawało mi się, że zostanę doceniony za dobrze wykonywaną pracę. Pamiętam pierwsze rozczarowanie, gdy okazało się, że na wyższe stanowisko powołano osobę, która była wcześniej kierownikiem PKS. Każda osoba z Radomia czy Płocka mogła zostać powołana na takie stanowisko. A ludzie żyją z tych posad. Nie dziwię się, że część społeczeństwa głosuje na tych polityków, na których głosuje. To jedna wielka sieć rodzinnych powiązań. Czyjaś córka dostała dobrą pracę, a za nią syn i ciotka... I wszystko dzięki miłemu panu, który od 20 lat rozdaje stanowiska niczym bóg. Jeżeli jakaś osoba wypadnie z tego łańcucha powiązań, może on się rozpaść. Dlatego panuje zasada: trzymajmy się tego, co mamy, bo mamy dobrze. Konkretni ludzie głosują na PiS czy PSL, bo mają z tego konkretne korzyści. Jeśli PiS straci władzę, trzy czwarte ogniw straci pracę. Kiedy rządy zakończyła PO, stanowiska nie zatrzymał nikt, ludzie zostali wyrzuceni na bruk. Nie chcę porównywać tych partii, bo jest między nimi istotna różnica. Ale ogólna zasada jest taka, że są to stada, które pilnują swojego terytorium.

Będąc w partii i grzecznie słuchając odpowiednich ludzi, sprawiamy, że nasze kariery pną się w górę.

Partie to stada, które pilnują swojego terytorium.

Maks pochodzi jednak spoza układu, nie dostaje posady w urzędzie marszałkowskim, bo jest w danej partii politycznej. Nominacja nie jest za poglądy. Ale szybko się okazuje, że gdy pracuje się na stanowisku, poglądy mają ogromne znaczenie.

– Maks bardzo chciał uzyskać wyższy status społeczny. Na prowincji najważniejsze były dla niego duchowość i rozwój, a nie materia. Nieistotne było to, czy ma się drogi dom i dwa samochody. W Warszawie każdy zwraca uwagę na to, jakim samochodem jeździsz, z kim się spotykasz i jak jesteś ubrany. Te rzeczy zaczęły się liczyć i definiować wartość człowieka. A sam człowiek stał się jednostką materialną, osadzoną w konkretnych układach. Specjaliści od marketingu poradzą ci, żebyś na spotkania przyjeżdżał wypożyczonym samochodem, jeśli twój jest stary. Krawat, garnitur – wszystko ma być markowe. Jeśli idziesz na rozmowę, musisz dobrze wyglądać. Gdyby szef zobaczył, że przyjechałeś starym autem, na dzień dobry powiedziałby ci do widzenia. „Nie będę z panem rozmawiał, bo jest pan nieudacznikiem". A może trzeba postępować odwrotnie? Obserwuję teraz młode pokolenie, które odważyło się powiedzieć „nie". „Bawcie się w swoje drogie auta, wille i baseny. My będziemy minimalistami. Wystarczy nam łóżko lub materac do spania". I ja z tym się zgadzam, choć wszyscy dążymy do tego, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa, a pieniądze dają bezpieczeństwo i wolność. Ale nie za wszelką cenę.

W urzędzie marszałkowskim kompetencje nie są ważne?

– Na wielu stanowiskach znajdują się ludzie niekompetentni, którzy nie potrafią podjąć dobrej decyzji i w niczym się nie orientują. Nie chodzi o to, żeby ci ludzie byli kreatywni, żeby wnieśli jakieś zmiany. To prawdziwy dramat, a jednocześnie znak dzisiejszych czasów, że uprawia się tzw. kolesiostwo, co oznacza, że wracamy do starych czasów. Dopóki mamy w Polsce system partyjny, tak będzie zawsze, niezależnie od tego, która partia będzie u władzy. Każda będzie chciała osadzić na stanowiskach swoich ludzi, bo są to ludzie, którzy potem na nią zagłosują, wraz z całymi rodzinami. Niezależnie od tego, jakie poglądy i ideologię reprezentują. Przeciw władzy możemy się zbuntować, to wyłącznie nasza decyzja. Musimy tylko wiedzieć, jakie są tego konsekwencje. Ja je znam: zostajesz osamotniony.

Czy w takim razie bunt ma sens?

– Ludzie wychodzą na ulice w sytuacjach beznadziejnych. Potrafią krzyczeć, buntować się i mówić, że na coś się nie zgadzają. Jeżeli nie

eprasa.pl 875b2a5ed2

wygrają dziś, stanie się to za 10 lat. Ale wygrają. Podobnie można zapytać, co zyskały czarne parasolki sprzed kilku lat. Uważam, że bardzo dużo. Kobiety dały znać, że są razem, że integrują się niezależnie od swoich poglądów politycznych. Za czasów Solidarności ludzie także mieli różne poglądy, ale byli też jednością. I zwyciężyli. Podziały nastąpiły dopiero później. Uważam, że głos kobiet jest dzisiaj bardzo ważny, nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Kobiety uzyskają to, co chcą. Nie wiem, czy będzie to korzystne dla nas, mężczyzn, ale na pewno zdobędą to, co im się należy, czyli równouprawnienie, o którym tylko się mówi, a którego tak naprawdę nie ma.

Nie wiem, czy będzie to korzystne dla nas, mężczyzn, ale na pewno kobiety zdobędą to, co im się należy, czyli równouprawnienie.

Podczas lektury odniosłem wrażenie, że pisanie dało ci sporo satysfakcji. Mogłeś ośmieszyć byłych pracodawców, trochę im dopiec, przerysowując ich.

– To była taka zemsta nietoperza. Chciałem oddać klimat i mechanizm rozmów, w których wysoko postawione osoby zarzucają wędkę, mówiąc: „Coś panu damy". Jeśli jesteś naiwny, zaczynasz w to wierzyć. Ja uwierzyłem i zapłaciłem za to cenę. Ale wiem też, co się dzieje, gdy takie propozycje się odrzuca. W poprzedniej książce opisywałem moje przeżycia, kiedy tułałem się po dworcu i szukałem miejsca na nocleg. Dlatego nigdy nie oceniam ludzi przez ich pryzmat, bo nigdy nie wiem, co je wywołało, co się za nimi kryło. Staram się zresztą w ogóle nie oceniać ludzi. A te wybory, o których wspomniałem, są bardzo trudne. Pewnie gdybym był mnichem buddyjskim, po prostu bym tym ludziom podziękował, wysiadł z ich auta, odrzucił propozycję. Znalazłbym ludzi, którzy dadzą mi jeść. Ale nie jestem nim. Muszę się odnaleźć w tej rzeczywistości, wziąć odpowiedzialność za siebie i osoby, z którymi jestem – żonę, dzieci. Bo umówiliśmy się, że będziemy wspólnotą, że będziemy się nawzajem wspierać. Nasz sprzeciw wobec systemu może być odebrany jako nieodpowiedzialność.

W „Krótkiej historii jednego awansu" sporo miejsca poświęciłeś takim zagadnieniom jak coaching, poszukiwanie duchowości, życie wewnętrzne. To dla ciebie ważne aspekty?

– Kiedy przebrniemy już przez wszystkie etapy życia, które są dla nas istotne pod kątem materialnym, i osiągniemy pewien pułap, nagle zdajemy sobie sprawę, że nie to jest najważniejsze. Wcześniej buntujemy się, tak jak Maks, który dopiero gdy zbuntował się wobec marszałka, odsiedział swoje i zyskał czas na zastanowienie się, stał się innym człowiekiem. My chyba nie do końca zdajemy sobie sprawę z tego, że cierpienie uszlachetnia. Jeżeli w naszym życiu nie wydarzy się nic dramatycznego, pozostaniemy przeciętni. Nie mówię, że mamy cierpieć cały czas, ale wszystko, co wydarza się w naszym życiu, skutkuje rozwojem osobistym. Jeżeli z tego nie skorzystamy, to sami jesteśmy sobie winni. Jestem optymistą i uważam, że wszystko, co się dzieje, jest po coś. Pytanie brzmi, jak to wykorzystam. Co mogę wziąć dla siebie? Jak sprawić, że coś takiego drugi raz mnie nie spotka, że stanę się lepszym człowiekiem? Że przestanę narzekać, podchodzić pesymistycznie do życia? A jeśli już dzieje się źle, to może będę umiał sobie powiedzieć, że uśmiech jest najważniejszy i trzeba się śmiać, nawet mimo zmarszczek. Dzięki temu żyje nam się łatwiej. Kładąc się spać, analizuję, co w moim życiu tego dnia się wydarzyło, i staram się zapamiętywać rzeczy dobre, a nie złe. Nie chcę zabierać i nosić ze sobą złości. Nawet jeśli było jej dużo, szukam dobrych akcentów.

Ważną bohaterką książki jest Warszawa, która pociąga i fascynuje, a jednocześnie wysysa energię i deprawuje.

– Lubię Warszawę, jest bardzo energetyczna. Kiedy do niej wracam i mijam tablicę z napisem „Warszawa", od razu rośnie mi poziom adrenaliny. Dodaje mi ona energii do walki. Numerycznie zostało chyba zresztą zapisane, że Warszawa jest miejscem, które niesie jej bardzo dużo. Dlatego mieszkańcy tego miasta tak walczą. Nie wiem o co, ale o coś tam walczą. 100 km dalej wszyscy poruszają się wolniej, spacerują, przysiadają na ławkach, nie jedzą codziennie w restauracjach. Robią obiady w domu i nie narzekają. No dobra, narzekają, ale jakoś żyją. Nie mają w sobie negatywnej energii, nie krzyczą na siebie tylko dlatego, że zajechali sobie drogę. W Warszawie, gdyby mogli, zaczęliby do siebie strzelać z broni, co jest straszne. Ale na szczęście trochę to się zmienia. Stajemy się spokojniejszym społeczeństwem, bardziej demokratycznym. Mają na to wpływ m.in. przepisy wprowadzane przez Unię Europejską. Pamiętam, jak wszyscy buntowali się przeciwko zakazaniu palenia papierosów w restauracjach. A dzisiaj jakoś sobie z tym radzą. W restauracjach się nie pali, w pociągach się nie pali. Podobnie wygląda sprawa z przejściami dla pieszych. Ale czuję się też zmęczony Warszawą, tak jakby mnie wypluła. Zawojowałem ją na tyle, na ile mogłem, bo potrafię być wojownikiem. Ale nie chcę już stawać w szranki czy kandydować w konkursach, być dyrektorem teatru. Widzę problemy wielu instytucji, układy finansowe i polityczne, w które zostały wplątane. Podziwiam tych, którzy obecnie chcą zajmować wyższe stanowiska w ośrodkach kultury. Siebie tam już nie widzę.

A gdzie się widzisz?

– Znalazłem sobie fajne miejsce w życiu, a pisanie książek traktuję jako autoterapię. Pierwsza publikacja pozwoliła mi ponownie przeżyć moje życie osobiste, relacje z byłą żoną, dziećmi i siostrą. Kiedy ten proces się zamknie, to naprawdę następuje koniec. Już tego nie ma. Natomiast ta książka stanowiła dla mnie terapię zawodową, związaną z urzędem marszałkowskim. To też już mnie nie interesuje, zamknąłem ten rozdział.

Artur Zaborski

eprasa.pl 875b2a5ed2

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Stan gotowości

Rok wyborczy rozpoczęty. Dobrze, że mężów opatrznościowych demokratyczna opozycja już nie upatruje w politykach rangi tego, który przeszedł do historii jako twórca nowego święta styczniowego. Mnie to się nawet spodobało, jako osoba świecka nie nadążam za upaństwowionym kalendarzem liturgicznym i nigdy nie wiem, czy trzeciego jest Sześciu Króli, czy szóstego Trzech. W każdym razie, jak sobie pomyślę, że kiedyś chcieliśmy obalić kaczyzm za pomocą pana Petru, to jakiś postęp jednak widać nawet gołym okiem. Nie mam złudzeń, mam pewność, że jeśli pisowskiej zarazy nie uleczy konsylium pod nadzorem ordynatora Tuska, jedynego polityka klasy światowej w tym ponurym, brunatniejącym państwie, to trucizna narodowego socjalizmu katolickiego wejdzie Polakom w krew na pokolenia, na dłużej niż PRL, niż zabory, do końca świata, jaki znamy.

Mam też wreszcie tę podnoszącą na duchu świadomość, za sprawą dość szczególnej sytuacji życiowej, że jeśli naród pozwoli pozostać u władzy kaczystom, resztę życia spędzę poza granicami tego nieszczęsnego kraju. By tak rzec, jestem już spakowany. Niczym prepersi uzupełniający na okoliczność wojny jądrowej wyposażenie swojego bunkra doskonalę zawartość walizki i plecaczka. Tak zwany dorobek życia w moim przypadku ma charakter niematerialny, majątku nie posiadam, od nieruchomości stronię jako człowiek mobilny, wszystko zatem, co mam, mogę w każdej chwili zabrać ze sobą – niosąc na plecach i ciągnąc w walizie na kółkach.

Sztukę pakowania, opartą na przemyślanej i zredukowanej do minimum liście potrzeb, szkoliłem przez dekady wypraw górskich i jaskiniowych – słabując na kręgosłupie, musiałem wysilać mózg, tak żeby nigdy nie mieć zbyt ciężkiego garbu. Dawno temu osiągnąłem status, dzięki któremu mogłem bezczelnie, w majestacie hierarchii klubowej, wyręczać się młodymi kursantami w noszeniu zwojów lin i żelastwa, samemu ograniczając się do sprzętu osobistego. Kiedy latem idę sam w góry, zabieram dziecięcy plecaczek o śmiesznie małym litrażu, w którym mieszczę wyłącznie zapas wody, suszonych owoców i cieniutki goretex na wszelki wypadek, kask wciśnięty na łeb, niczego mi więcej nie trzeba. Kawał świata jest moim bunkrem – ten spory szmat Drogi (która jest Celem) do przemierzenia przez krainy wolne od prawicowych populizmów, etnicznych waśni, ruchawek i wojen, pomiędzy ludźmi mówiącymi językami, których nie znam, dzięki czemu nigdy nie dotrą do mnie nienawistne poszeptywania, jadowite komentarze i wrogie komendy.

Przez pół wieku udawałem mądrego, teraz będę rżnął głupa tam, gdzie mnie nogi poniosą. Do roboty potrzebuję laptopa i prądu, mam zatem mnóstwo miejsc pracy – tyle, ile jest aktywnych gniazdek na Ziemi; gniazdowałem stanowczo zbyt długo, teraz będę gniazdkował. Jeśli bowiem Polacy utrzymają kaczyzm przy życiu, będzie to oznaczało, że są narodem toksycznym, a ludzi toksycznych unikam, od kiedy zacząłem szanować swoje zdrowie. Będzie to oznaczało także ostatnie chwile otwartych granic, bo danie władzy na kolejne lata PiS jest równoznaczne z nieuchronnym polexitem, do którego wcale nie potrzeba żadnego referendum, władza może to ogłosić ot tak, po kolejnym nocnym posiedzeniu Sejmu, jak przed 40 laty generał ogłaszał o poranku, że Polska znalazła się w stanie wojny z samą sobą.

Jeśli PiS nie przegra sromotnie wyborów, bez żalu zostawię Polskę Polakom, okaże się bowiem, że ja na ten kraj po prostu nie zasługuję.

Nie jestem patriotą, co więcej, uważam patriotyzm definiowany jako przedkładanie dobra ojczyzny nad dobro własne za psychiczne zaburzenie, równie szkodliwe jak agresywny nacjonalizm. Dlatego, jeśli PiS nie przegra sromotnie wyborów, bez żalu zostawię Polskę Polakom, okaże się bowiem, że ja na ten kraj po prostu nie zasługuję, nie pojmuję jego duchowości, nie dostrzegam swoistego piękna, nie oddałbym za kaczystowską Polskę nie tylko życia, ale nawet paznokcia. Ochoczo zastosuję się zatem do chóralnego nakazu patriotów: „Jak ci się nie podoba, to wypierdalaj!”. Doświadczenie uczy, że człowiek dla higieny psychicznej czasem po prostu musi skądś wypierdolić. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

Olśnienia teatralne 2022: nasze odloty

Teatr wciąż szuka i stawia diagnozy. Uczmy się go słuchać

Tomasz Miłkowski

To nie jest ranking, ale noty o tych spektaklach minionego roku, które wywarły na mnie największe wrażenie. Zestawienie otwierają „Dziady" Mai Kleczewskiej z Teatru im. Juliusza Słowackiego, przedstawienie z roku 2021, które zobaczyłem dopiero w roku następnym w ramach Warszawskich Spotkań Teatralnych. Ale to żelazna reguła – opisuję to, co oglądałem. Tytuł zaś olśnienia 2022 zawdzięczają spektaklowi Anny Augustynowicz „Odlot". To dobry prognostyk – teatr wciąż ulatuje, odlatuje, szuka i stawia diagnozy. Uczmy się go słuchać.

•

DZIADY według Adama Mickiewicza (reżyseria Maja Kleczewska, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, 19 listopada 2021) – oglądane w skupieniu, niemal trzy godziny bez przerwy, ale widzowie tego nie zauważają. Kleczewska reinterpretuje dzieło Mickiewicza, które jak gąbka wsysa konflikty współczesnej Polski. To jej wybór i Łukasza Chotkowskiego, stąd rezygnacja z wątku miłosnego, z przemiany Gustawa w Konrada, z salonu warszawskiego i wielu innych fragmentów. To „Dziady" z silnym akcentem feministycznym, nie tylko dlatego, że Konrada gra (charyzmatycznie) Dominika Bednarczyk. Idzie w nich nie tyle o wybicie się narodu na niepodległość, ile o niepodległość duchową jednostki.

ODLOT Zenona Fajfera (reżyseria Anna Augustynowicz, Teatr Współczesny w Szczecinie, 13 grudnia 2021) – poważny i głęboki, a przy tym niesłychanie dowcipny spektakl, czasem nawet jadowicie dowcipny, doprowadzający widzów do płaczu ze śmiechu. Można byłoby podsumować, że to popis warsztatowy reżyserki i jej świetnego zespołu, gdyby nie mocne przesłanie tej opowieści – całość podporządkowana jest diagnozie stanu polskiego ducha otwierającej się trzeciej dekady XXI w.

WUJASZEK WANIA Antoniego Czechowa (reżyseria Małgorzata Bogajewska, Teatr Ludowy w Krakowie, 3 czerwca 2021) – nareszcie spektakl bez mikroportów i filmików wideo. Zupełnie jak w teatrze. Bogajewska buduje duszną atmosferę tego gęstego od podtekstów dramatu, w którym liczą się w równej mierze marzenia, jak i zaniechania, czyny i tylko ich wyobrażenia. Aktorzy tworzą postacie niejednoznaczne, obarczone cierpieniem, ale wciąż gotowe do radości i uniesień, choćby na chwilę. Ich psychiczne parady, emocjonalne wybuchy śledzi się z zapartym tchem.

CUDZOZIEMKA według Marii Kuncewiczowej (reżyseria Katarzyna Minkowska, Teatr Polski w Poznaniu, 9 października 2021) – udana próba realistycznego teatru z godną uznania rolą tytułową Alony Szostak. Awangardowa wrażliwość młodej reżyserki i tradycja podały tu sobie rękę, Minkowska główny akcent położyła na przeżyciach jednostek, ich dramatach wewnętrznych i splątanych relacjach.

KOBIETA I ŻYCIE Maliny Prześlugi (reżyseria Jerzy Jan Połoński, Teatr WARSawy w Teatrze Ateneum, Scena 61, 18 grudnia 2021) – zespół pokazuje, jak w niedługim przedstawieniu wyrazić niepokoje i gniew współczesnych kobiet, stawianych wciąż wobec opresyjnych sytuacji, broniących się przed przemocą, przedmiotowym traktowaniem i sprowadzaniem do roli inkubatora. Opowiadana przez Prześlugę historia dorastania małej dziewczynki, potem młodej i dojrzałej kobiety, koresponduje z protestami Strajku Kobiet.

SZTUKA INTONACJI Tadeusza Słobodzianka (reżyseria Anna Wieczur, Mała Scena Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, 8 stycznia 2022) – sztuka ostentacyjnie tradycyjnie realistyczna, pozbawiona awangardowych ciągot, okazuje się idealnym wehikułem opowieści o kreatorach awangardowego teatru, Jerzym Grotowskim, Tadeuszu Kantorze, o towarzyszącym im Ludwiku Flaszenie i moskiewskim mistrzu Grotowskiego, Juriju Zawadskim. Spektakl prowadzi nie tylko w głąb historii narodzin teatru awangardowego, ale także w stronę odwiecznych poszukiwań odpowiedzi na pytanie: kim jestem? Wybitne role Adama Ferencego i Łukasza Lewandowskiego.

FIZYKA KWANTOWA, CZYLI ROZMOWY NIGDY NIEPRZEPROWADZONE, monodram Julii Wyszyńskiej (prywatna produkcja aktorki, premiera w Komunie Warszawa, 4 lutego 2022) – emocjonalny spektakl, ukazujący dramaty dorastania i zdobywania samowiedzy przez młodych ludzi, doznających upokorzeń w szkole, w domu i wśród rówieśników, zmagających się z przeklętymi polskimi problemami. Wyszyńska kładzie na kozetce psychoterapeuty swoje pokolenie.

JUDASZ według Amosa Oza (reżyseria Adam Sajnuk, Teatr WARSawy w malarni Teatru Studio, 7 lutego 2022) – adaptacja powieści oddająca klimat utworu. Zbudować scenariusz spektaklu o genealogii Izraela, który trwa bez mała cztery godziny, a jego główną siłą są sążniste monolo-

eprasa.pl 875b2a5ed2

DZIEŃ ŚWIRA

I BYŁA MIŁOŚĆ W GETCIE

ORLANDO. BIOGRAFIE

gi i (rzadsze) dialogi trójki zaledwie bohaterów (Kamila Baar, Paweł Brzeszcz i Bartosz Opania), aby stał się trzymającą w napięciu opowieścią, to nie lada sztuka.

ALTE HAJM/STARY DOM Michaela Rubenfelda i Marcina Wierzchowskiego (reżyseria Marcin Wierzchowski, Teatr Nowy w Poznaniu, 18 lutego 2022) – podczas przyjęcia urodzinowego w Starym Domu, kiedy spotykają się rodziny Kuszów i Dobrowolskich, z szaf wypadają trupy, na jaw wychodzą tajone zbrodnie i występki. Kluczowa jest pamięć wypierana latami, a teraz domagająca się ujawnienia. W mistrzowsko rozegranej scenie między oficerem i Dobrowolskim, nawiązującej do „Bękartów wojny" Tarantina, przemoc obezwładnia widzów. Andrzej Niemyt (oprawca) i Dawid Ptak (ofiara) sugestywnie ukazują zaciskającą się pętlę, przemoc i strach.

BARON MÜNCHHAUSEN DLA DOROSŁYCH Macieja Wojtyszki (reżyseria Maciej Wojtyszko, Teatr Narodowy w Warszawie, scena przy Wierzbowej, 5 marca 2022) – sztuka pełna odniesień do literatury i filozofii, wciąga w wir walki bezwzględnej władzy z wszystkimi, którzy nie pasują do jej wyobrażenia o porządku. Jan Englert w roli barona ukazuje zwątpienie bohatera, jego lęki i wątpliwości, które – jak się okaże – będą mu puklerzem. Bo kto nie ma wątpliwości, świata nie poprawi.

ROHTKO Anki Herbut (reżyseria Łukasz Twarkowski, koprodukcja Teatru Dailes w Rydze oraz Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu, 9 kwietnia 2022) – spektakl szalenie zdyscyplinowany, mistrzowsko korzystający z najnowszych zdobyczy techniki teatralnej, w którym liczy się temat: urynkowienie sztuki, kiedy artysta traci kontrolę nad swoim dziełem. Tego właśnie bohater przyjąć nie może. Dosłownie nie może i popełnia samobójstwo.

I BYŁA MIŁOŚĆ W GETCIE Marka Edelmana i Pauli Sawickiej (reżyseria i adaptacja Tomasz Cyz, Teatr Żydowski w Warszawie, 19 kwietnia 2022) – aktorzy językiem metafory, piosenki, tłumionego gniewu i plastyki ruchu oddawali pęd do życia i spełnienia mimo skrajnie niesprzyjających okoliczności. Życie bowiem zawsze domaga się swoich praw, nawet jeśli na zewnątrz wszystko temu przeczy. To opowieść żywych i umarłych, ale głosy pierwsze należą do Jerzego Walczaka (mówiącego słowami Edelmana) i Aliny Świdowskiej (jego rozmówczyni).

IMAGINE (reżyseria Krystian Lupa, Teatr Powszechny w Warszawie i Teatr Powszechny w Łodzi, 23 kwietnia 2022) – próba rozliczenia generacji dzieci kwiatów i odpowiedzi na pytanie, dlaczego ich marzenie o świecie bez wojny i głębokich podziałów okazało się ułudą. Mocna przestroga przed odrodzeniem się demonicznych sił przemocy niczym komentarz do wojny rozpętanej przez Putina.

DZIEŃ ŚWIRA Marka Koterskiego (reżyseria Piotr Ratajczak, Teatr Ateneum w Warszawie, 4 czerwca 2022) – reżyser wyciągnął wnioski z uwag autora, w których Koterski

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, NATALIA KANBANOW, MAGDA HUECKEL

eprasa.pl 875b2a5ed2

objaśniał, że znaczne połacie tekstu zostały napisane 13-zgłoskowcem. Tę dyscyplinę formalną widać w spektaklu, a występujący aktorzy są niejako pomnożonym „Ja" (Adam Cywka) i z jego wspomnień, myśli, marzeń, snów się wyłaniają.

ORLANDO. BIOGRAFIE (reżyseria Agnieszka Błońska, Teatr Powszechny w Warszawie, 25 czerwca 2022) – aktorom partnerowali wykonawcy/wykonawczynie o płynnej tożsamości płciowej. Wśród nich najstarsza polska drag queen Lulla La Polaca, Andrzej Szwan. Jej przygotowania do występu w towarzystwie Arkadiusza Brykalskiego stanowią jądro spektaklu, który z ogromnym taktem wprowadza w świat doznań, potrzeb i doświadczeń nienormatywnych.

AMADEUSZ Petera Shaffera (reżyseria Anna Wieczur, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, 8 lipca 2022) – najdroższa inscenizacja w stolicy na pożegnanie dyrekcji Tadeusza Słobodzianka, ale zachwycająca poziomem wykonania. Po raz pierwszy od polskiej prapremiery z udziałem Tadeusza Łomnickiego (1981) powstał spektakl, który mierzy równie wysoko, m.in. dzięki kreacjom Marcina Hycnara (rola tytułowa) i Adama Ferencego (Salieri).

PIF PAF IN PIACH (scenariusz i reżyseria Gołda Tencer, Teatr Żydowski w Warszawie, budynek Reduty Banku Polskiego, 1 września 2022) – performans odtwarzający klimat warszawskiego getta. Ukazuje to, co nie nasuwa się w pierwszej kolejności (polowania na ludzi, wywózki, okrucieństwo Niemców), kiedy myślimy o getcie, ale to, co przecież w getcie pulsowało – życie. Gołda Tencer i jej aktorzy pokazali na wybranych przykładach spośród tysiąca innych tych, którzy nieustępliwie i wbrew okolicznościom trwali i dawali świadectwo potrzebie życia, przetrwania i twórczości.

STRACH I NĘDZA 2022 (reżyseria Bartosz Szydłowski, Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie, 30 września 2022) – spektakl o niemożności stworzenia spektaklu, czyli o tym, jak, paradoksalnie, spektakl jednak powstaje. Reżyser – bohater (świetny Michał Czachor), przybywający na próbę bez gotowego scenariusza, równie intensywnie jak Fellini w „Osiem i pół" zmaga się z kryzysem twórczym. Półtoragodzinną rozprawę o niemocy i wypaleniu wieńczą dźwięki tańca z filmu Felliniego. Triumf bezinteresownej radości mimo wszystko.

JESZCZE TU JESTEŚ? Maliny Prześlugi (reżyseria Magdalena Miklasz, Teatr Miejski w Gdyni, 30 września 2022) – czytanie dramatu (z udziałem Agnieszki Bały i Krzysztofa Berendta) odsłania przeżycia matki po utracie dorastającego syna. Autorka szuka metafory, bo „dosadność, prawdziwość tego zdarzenia wykraczające poza język i rozumowe pojmowanie" obezwładniaja. Tegoroczna Nagroda Dramaturgiczna Gdyni.

DEKALOG Krzysztofa Kieślowskiego i Krzysztofa Piesiewicza (reżyseria Wojciech Faruga, Teatr Narodowy w Warszawie, 8 października 2022) – oryginalny utwór, złożony z okruchów scenariusza Kieślowskiego i Piesiewicza, przemawiający z nową siłą do współczesnego widza. Imponujący jest sposób, w jaki Faruga, wiążąc heterogeniczne środki wyrazu, metaforę i realistyczny detal, tworzy z abstrakcyjnych, wydawałoby się, pojęć etycznych autentyczny dramat. Ten „Dekalog" to dyskurs z naszym życiem, ze świetnymi rolami Sławomiry Łozińskiej, Gabrieli Muskały i Pawła Brzeszcza.

KONIEC PÓŁŚWINI. REWITALIZACJA według Helmuta Kajzara (scenariusz, reżyseria i obrazy Piotr Lachmann, premiera w Teatrze Druga Strefa w Warszawie, 27 października 2022) – w spektaklu utrzymanym w poetyce Videoteatru Poza przejmujący monolog tytułowego bohatera, półświni/półczłowieka, przesycony uświadomioną koniecznością poddania się śmierci, wygłasza Zbigniew Konopka. W wyglądzie łączy cechy ludzkie i zwierzęcia, a swoim głosem oddaje okrucieństwo rytuału świniobicia.

WYSPA JADŁONOMIA według Marty Dymek (reżyseria Maciej Podstawny, Teatrgaleria Studio w Warszawie, 27 października 2022) – nawiązanie do serii książek kucharskich, popularyzujących kuchnię roślinną. Mała M. za sprawą pojawiających się w jej śnie, na jej własnej Wyspie, przewodników i przeszkód dowiaduje się, jakie ma szanse zapobiec katastrofie ekologicznej. Mimo poważnego tematu spektakl nieodparcie dowcipny.

ALICJA W KRAINIE SNÓW Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk i Wawrzyńca Kostrzewskiego (reżyseria Wawrzyniec Kostrzewski, Teatr Ateneum w Warszawie, 5 listopada 2022) – liryczny horror nawiązujący do „Alicji w krainie czarów" Lewisa Carrolla, błyskotliwie napisany dramat o dorastaniu. Dla starszych widzów to świat znajomy, dla młodszych spotkanie z umiejętnie wykreowaną szczególną aurą opowieści Carrolla. Aktorzy, cała obsada, grają zachwycająco.

MÓJ ROK RELAKSU I ODPOCZYNKU Ottessy Moshfegh (reżyseria Katarzyna Minkowska, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, 8 grudnia 2022) – najgorętsza premiera roku w stolicy – po niedorzecznej próbie odwołania Moniki Strzępki przez wojewodę nowa „doradczyni artystyczna" Teatru Dramatycznego przyjęta została owacjami na stojąco, a dopracowany spektakl Minkowskiej i pracę całego zespołu docenili nawet prawicowi recenzenci.

MY WAY Krystyny Jandy (pomysł, tekst i wykonanie Krystyna Janda, Teatr Polonia, 16 grudnia 2022) – żywiołowy monolog aktorki na jej 70. urodziny, przesycony życzliwością dla tych, wobec których żywi dług wdzięczności. Sporą część opowieści zajmuje wzruszające i dowcipne wspomnienie Honoraty, gosposi wychowującej córkę aktorki. Opowieść jest słodko-gorzka jak życie, ale zawsze pozostaje scena – miejsce, które sprawia, że chorzy czują się zdrowi, a zmartwieni tryskają humorem. Miejsce dla Jandy magiczne.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl 875b2a5ed2

Sylwester niefortunnych zdarzeń

Machina propagandowa TVP dała się oszukać

Kornel Wawrzyniak

„Zamiast Mel C będzie Nor Bi", żartowali internauci po odwołaniu przez byłą Spice Girl występu na organizowanym przez TVP „Sylwestrze Marzeń". Zrobiło się gorąco, bo do imprezy było zaledwie kilka dni. W ostatniej chwili zgodził się wystąpić popularny na początku lat dwutysięcznych zespół Black Eyed Peas, który według portalu Wirtualne Media zainkasował aż 1 mln dol. Rządowa machina propagandowa nie spodziewała się jednak, co za tę kwotę dostanie w gratisie.

W TVP nie spodziewali się, co za 1 mln dol. dostaną od Black Eyed Peas w gratisie.

Gwiazdy wieczoru pojawiły się na scenie z tęczową opaską na ramieniu, symbolizującą solidarność z osobami LGBT. Na dodatek artyści przemówili przed drugim utworem: „Dedykujemy tę piosenkę wszystkim tym, którzy doświadczyli hejtu w tym roku. Społeczności żydowskiej – kochamy was, ludziom pochodzenia afrykańskiego – kochamy was, społeczności LGBTQ – kochamy was!". Niektórych zamurowało. Tomasz Kammel prowadzący imprezę starał się ratować sytuację, mówiąc, że wszystko było ustalone. Również Samuel Pereira, szef portalu TVP Info, zapewniał na Twitterze, że wszystko idzie zgodnie z planem. Nie nabrał się na to nikt, no, może oprócz wiceministra rolnictwa Janusza Kowalskiego, który już po pierwszym utworze BEP zaproponował Pereirze dymisję: „Nie finansujemy telewizji publicznej dla homopropagandy. Skoro Pan to zaplanował – DYMISJA!!! Skandal. Wstyd". Wtórował mu Zbigniew Ziobro: „Wpadki się zdarzają. Ale jeśli promocja LGBT na sylwestrowym koncercie TVP była zaplanowana przez stację, to ci, którzy uznali to za skandal, mają rację".

Lider grupy, Will.i.am, rozwiał wątpliwości co do udziału TVP w tęczowej akcji – po zejściu ze sceny nadawał w swoich social mediach: „Jesteśmy Black Eyed Peas – P-E-A-S (ang. groszek). Można też czytać Black Eyed Peace – P-E-A-C-E (ang. pokój). Chodzi nam o pokój, równość, harmonię. Nie jesteśmy natomiast Black Eyed PiS – P-I-S. Wspieramy jedność, miłość, tolerancję".

Zjednoczonej Prawicy pękła żyłka. Na czoło szermierzy rodzimej homofobii oprócz Kowalskiego i Ziobry wysunął się wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł, który zapewnił sobie i Polsce zagraniczną „sławę", pisząc na Twitterze: „Promocja LGBT w TVP2. WSTYD! To nie Sylwester Marzeń, lecz Sylwester Wynaturzeń". Zagraniczni dziennikarze podsumowali Kowalskiego i Warchoła: przedstawiciele antygejowskich formacji szerzących ideę „ideologii LGBT". Warchoł może stracić za swój wpis pracę jako wykładowca Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, ponieważ prof. Jakub Urbanik z tego samego wydziału złożył do rektora „zawiadomienie o możliwości popełnienia deliktu dyscyplinarnego".

Amerykański serwis TMZ zauważył: „Zabawne jest to, że TVP jest, bardziej lub mniej, nadawcą publicznym – regularnie nadaje programy, które są zgodne z linią PiS, a Black Eyed Peas zostali prawdopodobnie zatrudnieni przez kogoś powiązanego z partią rządzącą. Więc... to trochę ich wina".

Oddźwięk koncertu był taki, że już 2 stycznia minister Ziobro na konferencji prasowej zapowiedział, że zapyta premiera, czy tęczowe opaski artystów są „kolejnym elementem ustępstw wobec żądań UE". Mateusz Morawiecki próbował obrócić sytuację na korzyść obozu rządzącego, mówiąc, że „PiS jest partią pełną tolerancji, zrozumienia dla różnych środowisk" i przypominając, że artyści chwalili Polskę za pomoc Ukrainie, więc wszystko jest super. Wpasowuje się to w równie żenujące tłumaczenia Miłosza Manasterskiego, redaktora naczelnego Agencji Informacyjnej, który klarował w TVP Info, że tęczowe opaski to popkulturowa moda podobna do noszenia pacyfek podczas wojny w Wietnamie.

Aby zrozumieć, dlaczego tęczowe opaski są takim cierniem w siedzisku Zjednoczonej Prawicy, trzeba przypomnieć, że homofobia jest jednym z głównych narzędzi partii do utrzymywania się przy władzy. Śmieszne jest zaś to, że wszystko na moment zawisło na włosku przez lekko przykurzone gwiazdy, które przyjechały zaśpiewać cztery piosenki.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. PAWEŁ MURZYN/EAST NEWS

eprasa.pl 875b2a5ed2

Uratuje nas tylko śmiech

Wszyscy płyniemy statkiem, który już dawno obrał kurs na katastrofę

Rozmawia Mariola Wiktor

Jakie trzy rzeczy zabrałbyś na bezludną wyspę?

– Nadajnik GPS i kuchenkę gazową, żebym mógł zagotować wodę. Nie jest to specjalnie oryginalne, ale to przyszło mi od razu do głowy.

A nie np. precle?

– Nie. Myślę jednak, że bohaterowie „W trójkącie" woleliby mieć precle jako trzecią niezbędną do przeżycia rzecz. Aby zdobyć pożywienie w warunkach bezludnej wyspy człowiek zrobi wszystko.

RUBEN ÖSTLUND
– szwedzki reżyser, scenarzysta i montażysta filmowy

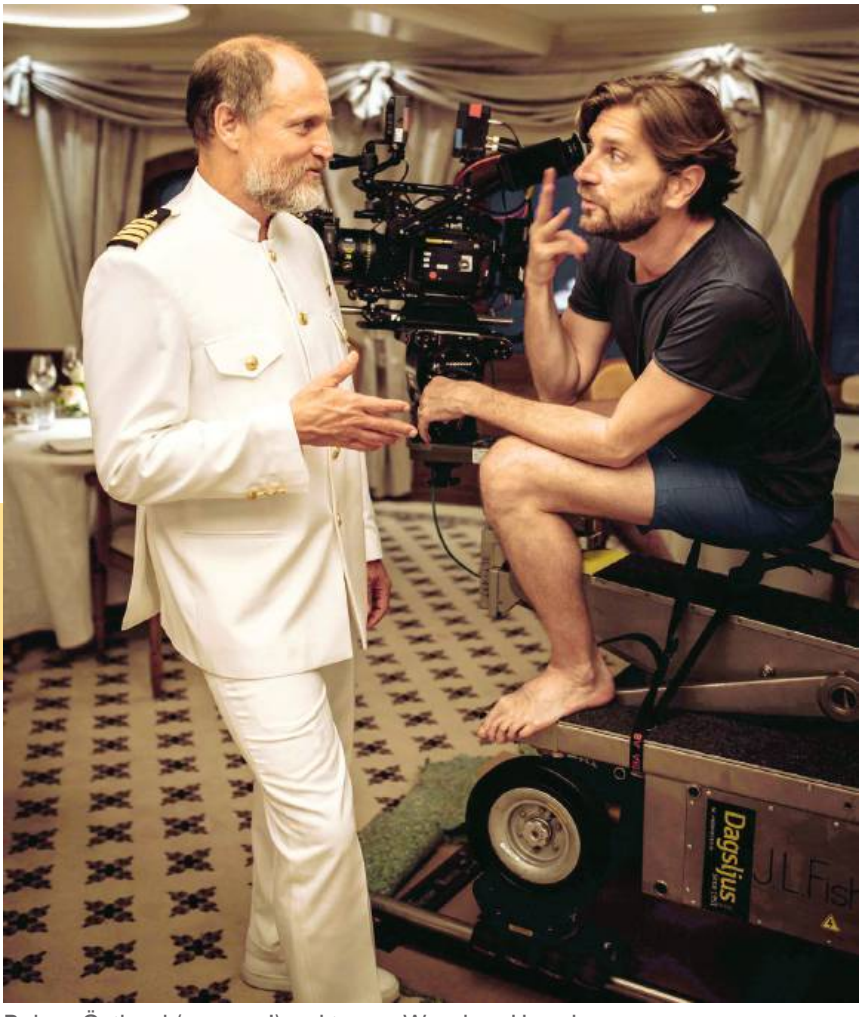

Ruben Östlund (z prawej) z aktorem Woodym Harrelsonem.

A ty jak poradziłbyś sobie w takiej ekstremalnej sytuacji? Chodzi mi o męski instynkt przetrwania.

– Spróbowałbym polegać na moich umiejętnościach społecznych. Jako reżyser chyba jestem dość uzdolniony w tym zakresie. Starałbym się manewrować grupą za pomocą tej umiejętności, ponieważ nie wiem, jak rozpalić ognisko, jak złowić i przyrządzić rybę. Naprawdę! Nie jestem też żadnym ciachem, aby moją walutą w takiej survivalowej sytuacji była uroda, więc raczej seks za pożywienie, tak jak w filmie, nie wchodziłby w rachubę.

Zaczęliśmy rozmowę od bezludnej wyspy, to na niej rozgrywa się ostatnia część twojego filmu „W trójkącie". To tutaj dokonuje się całkowite odwrócenie społecznych hierarchii i demistyfikacja naszych wyobrażeń o sobie i innych.

– Razem z bohaterami, młodą parą influencerów modowych, gwiazd mediów społecznościowych, pływamy luksusowym jachtem w otoczeniu milionerów i obsługującej ich załogi, delektując się przepychem, aż do momentu katastrofy, w wyniku której całe to towarzystwo ląduje na bezludnej wyspie. Chodziło mi o stworzenie sytuacji, w której nagle wszystko zostaje moim bohaterom odebrane, i przyjrzenie się, kim są naprawdę. Bez lajków, pieniędzy, mitów o własnej doskonałości, które stają się bezużyteczne, no i bez opłacanej służebności i uprzejmości tych, którzy na jachcie pracują. Ci drudzy, dzięki zaradności i samodzielności o wiele lepiej radzą sobie survivalowo, ale kiedy zyskują dzięki temu władzę nad dawnymi chlebodawcami, ujawniają skrywaną wcześniej bezwzględność. Podział na biednych dobrych i bogatych łajdaków nie jest więc tutaj oczywisty. Chciałem złamać konwencję, pokazać, że nie ma klasy uprzywilejowanej, że umowa społeczna, norma to coś bardzo kruchego. Stawiam

FOT. GUTEK FILM

eprasa.pl 875b2a5ed2

moich bohaterów w sytuacjach niekomfortowych dla nich i niezręcznych dla widzów, po to by mogli się wczuć w ich położenie.

Wykorzystujesz tu też osobiste doświadczenia – absurdy bycia mężczyzną w XXI w. W Cannes któryś z krytyków określił twoje ostatnie filmy, „Turystę", „The Square" i „W trójkącie", jako trylogię kryzysu męskości.

– W każdym z tych filmów rola mężczyzny jest kwestionowana na podstawie oczekiwań stawianych przez społeczeństwo. Wiele sytuacji, z którymi mamy do czynienia w tym filmie, to coś, czego sam doświadczyłem. Na przykład płacenie rachunku w restauracji. Zdarzyło się to, kiedy poznaliśmy się z moją żoną Susan. Pomyślałem wtedy: „OK. To, bym zapłacił, jest związane z oczekiwaniem, kim jestem jako mężczyzna, a jednocześnie chcę jej zaimponować". Zaraz potem przyszła inna refleksja: „Chcę, żebyśmy byli równi, ponieważ za bardzo ją lubię i to nie zadziała, jeśli mam być tatuśkiem w tym związku". To właśnie takie momenty, w których mam problem z byciem mężczyzną. Zastanawiam się, co to znaczy być mężczyzną, jaka jest dzisiaj jego rola, z jakimi stereotypami nadal się mierzymy, co chciałbym zrobić, a co czuję, że powinienem zrobić. Ta scena w filmie, walka o to, kto zapłaci rachunek w restauracji – to był jeden z najboleśniejszych momentów dla mnie jako mężczyzny.

Dlaczego?

– Rozmowy o tym, kto płaci, są takie… nieseksowne! Kobiety błyskawicznie zauważają i wyłapują moment, kiedy wzrok mężczyzny zatrzymuje się na tacce z rachunkiem. Wręcz same prowokują, by spojrzał, i z uroczym uśmiechem zapewniają, że to bardzo miłe, że zechce uregulować rachunek. No i wtedy nie mam innej opcji niż zapłacić. Źle się czuję z tym, że nie mam wyboru, że taka sytuacja jest na mnie wymuszona. A jeśli bym zaprotestował, to kobieta czułaby się na sto procent urażona. Nie chodzi o to, że nie chcę zapłacić, ale nieznośna jest dla mnie taka presja, bo tak wypada.

Co sądzisz o polityce płci w przemyśle filmowym, o sposobie, w jaki mężczyźni i kobiety rozmawiają o pieniądzach?

– W związku z tym, że kobietom zawsze płaci się mniej niż mężczyznom, kobiety stają się bardziej zainteresowane tym, jak zarabiają, kiedy wchodzą do przemysłu filmowego. Wielu mężczyzn wchodzących do branży filmowej nie ma problemu z tym, by przez kilka lat pracować za dane stawki, nie negocjując podwyżek, bo nie mają na barkach tego, że nie są traktowani równo.

To nie na kobiecie, ale na męskim modelu koncentrujesz uwagę.

– Zaczęło się od zaciekawienia branżą modową. Kiedy osiem lat temu poznałem żonę, dowiedziałem się, że jest fotografką mody. Dużo mi opowiadała o modelkach. Scenariusz „W trójkącie" został napisany podczas kampanii ruchu #MeToo. Zwykle rozmawiało się wtedy o kobietach, o ich wykorzystywaniu i molestowaniu seksualnym. Rzadko kto natomiast podejmował temat mężczyzn, zwłaszcza tych pracujących w branży modowej czy kosmetycznej. To pewnie brało się stąd, że ich wykorzystywanie wyglądało nieco inaczej niż w przypadku kobiet, ponieważ otrzymywali znacznie niższe gaże niż ich koleżanki. Z drugiej strony i tu, i tam uroda, atrakcyjność fizyczna definiowała osobę, stawała się dla niej trampoliną do sławy, kasy, sukcesów, lepszych kontraktów. Nikt nie oceniał modelek i modeli przez pryzmat intelektu, cech charakteru czy tego, jakimi są ludźmi. Kiedyś wartościowanie ludzi według wyglądu uchodziło za przejaw niedojrzałości, coś wstydliwego. Tak nas zresztą wychowywano w domu i w szkole. Tymczasem żyjemy dziś w świecie kultury obrazkowej, która przewartościowała wiele priorytetów.

Świat mody, influencerzy, ale i milionerzy. Zależało ci na obnażeniu ich słabości czy raczej zdemaskowaniu całego systemu?

– Moją intencją podczas kręcenia filmu nie było nigdy przedstawianie bogatych ludzi jako szczególnie podłych lub egoistycznych. Wielu z nich to także filantropi. Wolałbym, żeby publiczność kwestionowała pewien rodzaj struktury i to, jak zbudowane jest społeczeństwo. Starałem się pokazać, że nasze zachowania wynikają z pozycji, jaką zajmujemy w hierarchii finansowej. Inaczej zachowujemy się, kiedy jesteśmy na dnie, a inaczej, kiedy dostaniemy się na szczyt. Chciałem spojrzeć na to bardziej z behawioralnego punktu widzenia. Jeden z bohaterów cytuje Bertolta Brechta: „Najpierw jest jedzenie, potem moralność". Model sypia ze sprzątaczką, aby zdobyć paczki precli, które stały się walutą grupy. A luksus bogatych to często np. wynik sprzedaży min przeciwpiechotnych, a nie uczciwej pracy, która niestety nie zawsze popłaca. Nikogo nie oszczędzam, staram się zachować obiektywizm.

Podobno kręciliście na Christinie O, legendarnej łodzi Onassisa?

– Tak! To ciekawy symbol, jacht zachodniej elity lat 60. i 70. Marilyn Monroe, Winston Churchill, klan Kennedych, Maria Callas – wszyscy tam byli. Bogaci, potężni, ikony kultury. Stary porządek świata i to on został zbrukany w moim filmie objawami choroby morskiej wytwornych pasażerów podczas wykwintnej kolacji.

Michael Haneke powiedział, że współczesny świat najlepiej opisuje farsa. W twoim filmie to jednak mariaż farsy i satyry.

Nikogo nie oszczędzam, staram się zachować obiektywizm.

Ruben Östlund – (ur. w 1974 r.) jeden z najważniejszych twórców współczesnego kina europejskiego. W 2022 r. dołączył do elitarnego grona reżyserów dwukrotnie nagrodzonych Złotą Palmą na MFF w Cannes. Pierwszą odebrał w 2017 r. za obraz „The Square", satyrę na świat sztuki nowoczesnej. Drugą w 2022 r. za czarną komedię „W trójkącie", która otrzymała także Europejską Nagrodę Filmową (odpowiednik amerykańskiego Oscara) dla najlepszego filmu, Östlund zaś odebrał statuetki Europejskiej Akademii Filmowej za reżyserię i scenariusz.

eprasa.pl 875b2a5ed2

– To raczej bezlitosna satyra zarówno na bogatych, jak i na biednych naiwnych, wierzących w dobra duchowe, ale również metafora naszych czasów. Powtarzam to zdanie często, bo dotyczy naszej obecnej sytuacji. Wszyscy płyniemy statkiem, który już dawno obrał kurs na katastrofę. Uratuje nas tylko śmiech! Chociaż nie chcę być porównywany z Monty Pythonem. Wolę zadać interesujące pytania i stworzyć prowokujący do myślenia i zarazem zabawny film. To opowieść o naszych pełnych hipokryzji czasach. Francuskojęzyczna lewicowa prasa nie lubi „W trójkącie", ale konserwatywna, prawicowa uwielbia. Myślenie, że biedni są dobrzy i szlachetni, a bogaci tylko zepsuci i egoistyczni, to klisza.

Twoja przewrotność zamanifestowała się także w dialogach między kapitanem jachtu, amerykańskim marksistą, granym przez Woody'ego Harrelsona, a rosyjskim oligarchą – w roli milionera nieoceniony Zlatko Burić. Po inwazji Rosji na Ukrainę nabrały one politycznego charakteru.

– Kiedy robi się film przez pięć lat, to nie wiadomo, w jakim kontekście pojawi się podczas premiery. Nieoczekiwanie ta wschodnia perspektywa stała się ważna. Jednak kiedy zaczynałem realizować film, chciałem się przenieść do świata, z którym mieliśmy do czynienia w latach 80. XX w. W Szwecji mieliśmy zachodnią i wschodnią perspektywę świata. Perspektywa zachodnia dostarczała kapitalistycznych idei, a wschodnia przynosiła idee socjalistyczno-komunistyczne. Kwestią zasadniczą było to, jak zbudować lepsze społeczeństwo. Myślę, że wszyscy zgodzimy się co do tego, że wykorzystywanie innych ludzi nie jest w porządku. I nie jest w porządku płacenie im niesprawiedliwej, zbyt małej części zysku. A jeśli spojrzymy na Szwecję w latach 80., to socjaldemokracja właściwie zdołała uregulować kapitalizm w całkiem dobry sposób. Często myślę, że istnieje neoliberalna idea, wedle której jako jednostki jesteśmy wolni i możemy robić, co chcemy. Ale tym, co wynalazł Marks, była też socjologia, która dotyczy ludzkich zachowań. Dzisiaj brakuje nam takiego spojrzenia na świat i na nasze działania.

Sam należysz do uprzywilejowanych. Nie uwiera cię to?

– Oczywiście nie oszczędzam siebie samego i chcę się skonfrontować, bo lecę klasą biznes, podczas podróży mieszkam w pięciogwiazdkowym hotelu i mam pieniądze na koncie. Ale co powinniśmy zrobić? Czy powinniśmy się położyć i umrzeć? Zachowujemy się w zależności od stanu naszego posiadania. Ten film jest polityczny, ale nie jest polemiką. I wydaje się, że należy wysłuchać obu stron sporu. Najmocniej ujawnia się on w sekwencji, w której kapitan i oligarcha wymieniają się cytatami z Marksa i Reagana, ale ten słowny pojedynek to również świetna komedia. Kiedy wracamy do argumentu kapitalizm kontra komunizm, jesteśmy na… bezludnej wyspie. Okoliczności się zmieniły i biznesmen domaga się równego podziału zasobów, a kobieta z klasy robotniczej mówi, że ta, która wykonuje pracę, powinna zatrzymać łupy. Uzasadniamy nasze decyzje na podstawie tego, ile władzy w danym momencie posiadamy.

Uzasadniamy nasze decyzje na podstawie tego, ile władzy w danym momencie posiadamy.

Czy aby nie przemawia przez ciebie cynizm?

– Nie! Dla mnie kapitan i oligarcha przerzucający się cytatami zachowują się trochę dziecinnie. Uważam, że musimy wejść na nowy, wyższy poziom, zerwać z tą czarno-białą polaryzacją i faktycznie zobaczyć, co jest dobre, aby stworzyć równość i wykorzystać najlepsze zasoby tych różnych ideologii. I chodzi nawet nie tyle o ideologie, ile o dwa sposoby dyskutowania i myślenia o świecie.

Jesteś konserwatystą czy lewakiem?

– Jestem konserwatystą w wielu sprawach, ale myślę, że nawet Marks był prawicowy w wielu przypadkach. Był jednak też założycielem socjologii, położył podwaliny pod tę dziedzinę nauki. Jego materialistyczne podejście do społeczeństwa powstało na bazie socjologii. Marks w ogóle był kontrowersyjny. Badacze ludzkich zachowań często powołują się na idee marksizmu, który dobrze tłumaczy idee kapitalizmu. Kiedy miałem 12 lat, byłem z ojcem w Kopenhadze. Interesowały mnie wtedy samochody, na wystawie motoryzacyjnej oglądałem rolls-royce'y, ale nie czułem się komfortowo, bo wiedziałem, że ten luksus nigdy nie będzie mój. Kiedy zmienia się twój status społeczny i pozycja finansowa, zaczynasz mieć inny stosunek do dóbr luksusowych. Tak jest wtedy, kiedy zaczynają być w twoim zasięgu.

Jaki wpływ na twoje poglądy miała rodzina?

– Moi rodzice stali się lewicowcami w latach 60., a mama nadal uważa się za komunistkę. Kiedy dorastałem, brat stał się bardziej prawicowym liberałem. Gdy spotykaliśmy się na niedzielnym obiedzie, przeważnie dyskutowaliśmy o polityce i świetnie przy tym się bawiliśmy. Szwecja zawsze była neutralna. Jesteśmy pod dużym wpływem kultury amerykańskiej, a jednocześnie mamy silną wiarę w państwo i socjaldemokrację oraz silną klasę robotniczą. Te dwie ideologie są więc stale obecne w naszym życiu.

Jakie masz plany filmowe?

– Pracuję nad nowym filmem. Akcja toczy się podczas lotu z Sydney do Londynu. Historia jest inspirowana dystopijną powieścią Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat". Dość szybko po starcie pasażerowie otrzymują komunikat, że zepsuł się system rozrywki, są zatem skazani na wiele godzin niecyfrowej podróży. Na początku to akceptują, ale załoga boi się, że będą źli, więc proponuje im w ramach rekompensaty… kanapkę z serem i wodę mineralną. I wtedy pasażerowie się wściekają! Zaczyna się piekło! Chcę się przyjrzeć współczesnemu człowiekowi, któremu odbiera się laptop i komórkę na wiele godzin. Oczywiście zrobię to z socjologicznym podejściem. I już czuję, że będę świetnie się bawić! Nawet wiem, jak to się skończy, ale nie powiem…

Mariola Wiktor

eprasa.pl 875b2a5ed2

NA EKRANACH

Fabelmanowie

reż. Steven Spielberg, prod. USA, już w kinach

Pierwszy film zrobił jako 17-latek. „Firelight" opowiadał o kosmitach, którzy przylecieli do Arizony, a scenarzysta i reżyser w jednym zarobił na nim summa summarum… 1 dol. Był rok 1964. Kilkanaście lat później Steven Spielberg – już jako uznany twórca – powrócił do tego pomysłu, kręcąc „Bliskie spotkania trzeciego stopnia". Dziś jest nazywany reżyserem wszech czasów, a jego niebywałe widowiska o rekinie ludojadzie, kosmitach, dinozaurach czy poszukiwaniach zaginionej arki ukształtowały wrażliwość i wyobraźnię milionów widzów. Po latach Spielberg cofa się do pierwocin, wraca do wspomnienia pierwszego seansu filmowego, na który zabrali go rodzice. „Fabelmanowie" to film o rodzącej się miłości do ruchomych obrazów, ale też o zyskiwaniu świadomości tego, jaka odpowiedzialność spoczywa na kimś, kto bierze do ręki kamerę – pozwalającą budować nowe światy, ale zarazem skazującą człowieka na samotność. A jednak w równej mierze reżyser skupia się na swoich żydowskich korzeniach, na domowych traumach i tajemnicach, na próbach sklejenia rozbitej rodziny, tak jak klei się pokawałkowane taśmy filmowe. „Fabelmanowie" to piękny gest pogodzenia się z przeszłością, z rodzicami, z samym sobą. I jeden z najlepszych filmów w karierze Spielberga.

Mateusz Demski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Denis Johnson
Szczodrość syreny

przeł. Krzysztof Majer
Wydawnictwo Karakter, Kraków 2022

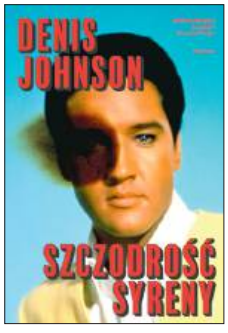

Kilka lat temu znany był tylko nielicznym, dziś twórczość Denisa Johnsona rozbija czytelniczy bank. Po „Synu Jezusa" i „Snach o pociągach" dostajemy zbiór pięciu pośmiertnie wydanych opowiadań „Szczodrość syreny" (pisarz zmarł w 2017 r.). Chociaż rejestrują one obrazy z różnych światów, w każdym opowiadaniu można wyczuć precyzję i bogactwo języka Johnsona. Napisane zostały z pasją, humorem, ironią; czuć, że autor bawi się słowem w najlepsze, ale nie chodzi tu o żadną sztukę dla sztuki, Johnson gawędzi tak, że czytelnik żałuje, że nie miał okazji pójść z nim na piwo. Historie poruszone w zbiorze – m.in. losy poety z fiołem na punkcie Elvisa Presleya czy więzienna opowieść o czasie i przestrzeni – nie mogłyby znaleźć lepszej formy. I na koniec: wielkie ukłony dla tłumacza, bo tej frajdy nie byłoby bez maestrii Krzysztofa Majera.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Collegium Cantorum
Andrzej Koszewski. Choral works
DUX

Niezwykłe sposoby operowania ludzkimi głosami w perfekcyjnie przygotowanym chórze. Podziw dla wyobraźni muzycznej Andrzeja Koszewskiego. Bogactwo rytmów i harmonii, szepty, krzyki, gwizdy. Motywy ludowe, gry i zabawy dziecięce, a do tego sacrum w najbardziej wymyślnej postaci. Te wszystkie wartości znajdziemy na płycie rewelacyjnego zespołu, Chóru Filharmonii Częstochowskiej Collegium Cantorum pod batutą Janusza Siadlaka.

Boreyko/Douglas, Orkiestra Filharmonii Narodowej
Krzysztof Penderecki
CD Accord

Nowa płyta Orkiestry Filharmonii Narodowej zawiera dwa dzieła Krzysztofa Pendereckiego odwołujące się do naszej tradycji kulturowej, w której dramatyczne wydarzenia miały zwykle moc inspirującą. Trzyczęściowy „Koncert fortepianowy" to ponad pół godziny błyskotliwej, przejmującej muzyki, która jest hołdem złożonym ofiarom ataku z 11 września 2001 r. i nosi podtytuł „Zmartwychwstanie". Drugi utwór to „II Symfonia", w której uważny słuchacz odnajdzie motyw kolędy „Cicha noc", co bynajmniej nie nadaje jej świątecznego charakteru.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 875b2a5ed2

Depresja nie jest słabością

Depresja jest bardzo demokratyczna, dotyka i tych, którym w życiu się powiodło, i tych, którym się nie powiodło

Rozmawia Dominika Tworek

Słowo depresja szeroko funkcjonuje w naszym języku potocznym. To dobrze czy źle?

– Tak, używamy go jako synonimu chandry czy smutku. Mówimy: mam depresję, bo coś mi nie wyszło, bo jest brzydka pogoda. Konsekwencje tego z jednej strony są pozytywne, bo dziś to słowo aż tak bardzo nie stygmatyzuje. Z drugiej – negatywne, ponieważ pacjenci chorujący na depresję bywają bagatelizowani, mierzą się ze stwierdzeniami typu: weź się w garść, w dzisiejszych czasach wszyscy mają depresję. A depresja to przede wszystkim ciężka choroba całego organizmu, w której smutek jest jednym z głównych objawów, ale nie jedynym.

Kiedy stwierdza się, że pacjent nie przeżywa zwykłego smutku, tylko cierpi na depresję?

– Zazwyczaj, jeśli jesteśmy smutni, to mamy ku temu powód i jeżeli uda nam się ten powód odwrócić, smutek ustępuje. W depresji zdarza się, że są jakieś czynniki wyzwalające, ale najczęściej fakt, że one miną, nie ma większego wpływu na przebieg samej depresji. Poza tym w normalnym smutku każdy człowiek ma swoje sposoby, żeby go redukować. Robimy wtedy to, co sprawia nam przyjemność. Jeden będzie słuchał muzyki, drugi pójdzie pobiegać, a ktoś inny spotka się z przyjaciółmi. W depresji to niemożliwe, ponieważ jednym z jej kluczowych objawów jest tzw. anhedonia, czyli utrata zainteresowań, pozytywnych uczuć oraz odczuwania przyjemności. Człowiek nie może więc w ten sposób sobie pomóc, bo po prostu nic go nie cieszy. Depresja musi również trwać odpowiednio długo, czyli co najmniej dwa tygodnie.

PROF. DOMINIKA DUDEK

– psychiatra, kierowniczka Katedry Psychiatrii i Kliniki Psychiatrii Dorosłych Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zawsze objawia się ona w postaci nadmiernego smutku, zdołowania?

– Jest wiele innych objawów, także fizycznych, które temu smutkowi towarzyszą. Nie za każdym razem pacjent przychodzi i mówi: panie doktorze, jest mi smutno. Ktoś może chodzić po lekarzach i szukać pomocy medycznej w związku z dolegliwościami somatycznymi, bo bardzo źle się czuje, jest osłabiony, brakuje mu energii, odczuwa różne bóle. Nie zawsze smutek wysuwa się na pierwszy plan.

Czy depresja nie jest aby naddiagnozowana?

– Zdarza się, że pacjenci przychodzą do lekarza z własną gotową diagnozą pod tytułem „mam depresję". Ale kiedy dłużej się z nimi porozmawia, okazuje się, że przeżywają jakieś frustracje i oczekują, że dostaną cudowny lek, który rozwiąże ich życiowe problemy. Niestety, leki antydepresyjne nie działają na kłopoty finansowe, problemy z żoną czy złego szefa. Psychiatra potrafi zdiagnozować, co jest depresją, a co nią nie jest.

Jakie mity pokutują w naszym społeczeństwie na jej temat?

– Niebezpiecznym mitem jest uważanie depresji za słabość. Przekonanie, że to choroba ludzi słabych, którzy się poddali, że wystarczy „wziąć się w garść". Wcale tak nie jest. Depresja jest bardzo demokratyczna, dotyka zarówno tych, którym w życiu się powiodło, jak i tych, którym się nie powiodło.

Dlaczego ludzie zapadają na depresję?

– Depresja jest chorobą wieloczynnikową, nie ma jednej konkretnej przyczyny, nie ma więc podstaw, żeby cokolwiek czy kogokolwiek za nią winić. W psychiatrii wskazuje się pewną podatność człowieka, która może wynikać np. z genetyki, mankamentów rozwojowych czy problemów we wczesnym dzieciństwie. Zazwyczaj na tę podatność nakładają się później jakieś czynniki zewnętrzne, które wyzwalają epizod depresyjny. To mogą być poważne wydarzenia traumatyczne, żałoba, ale również przepracowanie czy nawet pozytywne sytuacje wymagające adaptacji lub zmieniające rytm życia.

Co o depresji mówią nam statystyki?

– Na depresję choruje kilka procent populacji. Choroba znacznie częściej dotyka osoby ze współistniejącymi schorzeniami somatycznymi, np. występuje u ponad 20% osób z cukrzycą albo schorzeniami układu sercowo-naczyniowego. Statystyki pokazują też, że na depresję

FOT. GRZEGORZ KOZAKIEWICZ/FORUM

eprasa.pl 875b2a5ed2

mniej więcej dwukrotnie częściej cierpią kobiety niż mężczyźni. Oczywiście tutaj można dyskutować, na ile to kwestia liczby zachorowań, a na ile zgłaszania się po pomoc i podejmowania leczenia.

W Polsce od lat ok. 80% samobójców to mężczyźni.

– Mężczyźni częściej dokonują samobójstw, natomiast kobiety częściej podejmują próby samobójcze. Wielu mężczyzn zaciska zęby i cierpi, bo okazanie słabości i zgłoszenie się po pomoc jest dla nich bardzo trudne. W naszej kulturze pokutują mity, że mężczyzna nie płacze, nie może się mazać, musi być silnym macho. Dlatego próbują oni radzić sobie w inny sposób, np. z pomocą substancji psychoaktywnych. Męski alkoholizm bywa maską depresji.

Liczba zachorowań na depresję wzrasta z wiekiem. U pacjentów w podeszłym wieku występuje ona dwukrotnie częściej niż choroby otępienne kojarzone ze starością, jak choćby alzheimer. Zmaga się z nią kilkanaście procent seniorów, a odsetek ten rośnie wśród osób hospitalizowanych z jakiegokolwiek powodu czy będących pod opieką instytucji. W tym ostatnim przypadku depresja dotyka nawet połowę pensjonariuszy.

Gdzie możemy się doszukiwać przyczyn depresji wśród seniorów?

– Po pierwsze, jeżeli ktoś w młodości zachorował na depresję, to wraz z jego starzeniem starzeje się jego choroba i często pogarsza się jej przebieg. Fazy depresyjne stają się dłuższe i częstsze. Trudniej uzyskać remisję, czyli ustąpienie objawów i powrót do normalnego funkcjonowania. Po drugie, w starzejącym się mózgu pojawiają się choroby neurologiczne, które zwiększają ryzyko depresji. Sztandarowym przykładem jest choroba Parkinsona, tu ponad 50% pacjentów miewa głębokie epizody depresji. Depresję wywołują poza tym różne choroby somatyczne. W przypadku raka trzustki czy raka drobnokomórkowego płuc może ona być wręcz pierwszym objawem. Flagowe są też zaburzenia endokrynologiczne, zwłaszcza niedoczynność tarczycy. Wpływ na występowanie depresji może mieć także leczenie tych chorób somatycznych, bo różne leki mogą działać depresjogennie.

Niemałe znaczenie ma zapewne poczucie nieporadności czy samotności.

– Tak, najcięższą „chorobą" wieku podeszłego jest osamotnienie. Mam bardzo wielu pacjentów, którzy cierpią, mają depresję i są bardzo samotni. Jeżeli daje się tę sytuację zmienić, przełamać ich samotność, to ich stan psychiczny bardzo się poprawia. Mówi się, że starość Panu Bogu się nie udała. Starzenie to konfrontowanie się z ciągłością strat, człowiek staje się coraz mniej produktywny, traci prestiż, niezależność, sieć społeczną. Te wszystkie czynniki powodują, że często jesień życia jest bardzo pochmurna. Niestety, depresja wieku podeszłego wiąże się ze sporym ryzykiem zachowań samobójczych. Jak pisał wybitny psychiatra prof. Antoni Kępiński: „U młodych samobójstwo jest wołaniem o pomoc, u starszych już tylko wołaniem o śmierć".

A często diagnozuje się depresję wśród młodzieży?

– Często, ostatnio coraz częściej. Zapadalność młodych na depresję ma wiele przyczyn. Po pierwsze, sam proces dojrzewania jest po prostu bardzo trudny – następują zmiany hormonalne, zmiany w ciele, młodzi ludzie poszukują własnej tożsamości (w tym tożsamości seksualnej). Do tego często dochodzą: kryzys rodziny, kryzys autorytetu czy różne zjawiska społeczne, np. przeniesienie się relacji do sieci. Dzisiaj człowiek ma setki znajomych na Facebooku, a nie ma nikogo, z kim mógłby szczerze porozmawiać. Jeżeli w tym życiu online dodatkowo konfrontuje obraz siebie z wyidealizowanymi obrazkami innych, jeżeli próbuje sprostać różnym ideałom, które są nie do osiągnięcia, do tego dochodzi niepewność, co dalej, nadmierne wymagania, tzw. wyścig szczurów od najmłodszych lat, to nie ma co się dziwić, że wielu młodych ludzi przeżywa kryzys w postaci depresji. Niestety, depresja wieku młodzieńczego może długoterminowo wpływać na rozwój tego młodego człowieka. Jej konsekwencje mogą zostać z nim na całe życie.

Ankieterzy CBOS zapytali ponad 1 tys. dorosłych Polaków o depresję i okazało się, że co piąty wykazuje przynajmniej łagodne objawy tej choroby. Czy możemy mówić o epidemii depresji?

– Nasza współczesność jest wiekiem melancholii, wiekiem depresji. Czy nazwiemy to metaforycznie epidemią, to tylko kwestia nazewnictwa, ale istotnie depresja stanowi bardzo duży, realny problem. I to żadna tajemnica, że psychiatria jest dziś niedofinansowana, a dostępność do psychoterapii – bardzo niewielka. Czas oczekiwania na indywidualną terapię finansowaną przez NFZ często wynosi nawet dwa lata, a prywatnie nie dość, że jest bardzo drogo, to jeszcze trudno się dostać do dobrego certyfikowanego psychoterapeuty.

Czy możemy jakoś zapobiec rozszerzaniu się depresji?

– Najważniejsze jest niebagatelizowanie problemu oraz to, żeby jak najwcześniej rozpoczynać leczenie, bo im dłużej człowiek tkwi w chorobie, tym gorsze są wyniki

Jednym z kluczowych objawów depresji jest utrata zainteresowań, pozytywnych uczuć oraz odczuwania przyjemności.

U pacjentów w podeszłym wieku depresja występuje dwukrotnie częściej niż choroby otępienne kojarzone ze starością, jak choćby alzheimer.

eprasa.pl 875b2a5ed2

leczenia. Nieleczona depresja będzie negatywnie wpływać na zdrowie całego organizmu, powodować ogromne cierpienie pacjenta i jego bliskich, a czas pozostawania w niej koreluje m.in. ze stopniem redukcji objętości hipokampu – części mózgu odpowiadającej zwłaszcza za pamięć. Nieleczenie tej choroby niesie ze sobą również duże koszty ekonomiczne i obciążenie systemu opieki zdrowotnej.

Najwięcej badań dotyczących profilaktyki obejmuje dzieci i młodzież. Udowodniono, że działania zapobiegające zaniedbywaniu dziecka, przemocy i bullyingowi (znęcaniu się w szkole) redukują ryzyko depresji. Korzystny efekt przynosi edukacja w zakresie umiejętności radzenia sobie z konfliktami i podnoszenia kompetencji społecznych. Rodzice powinni być świadomi, jak duże znaczenie ma pokazywanie dziecku jego mocnych stron i umacnianie pozytywnej samooceny.

A jak powinna wyglądać prewencja u osób dorosłych?

– Istotne są działania promujące zdrowy styl życia, tj. odpowiednią dietę, aktywność fizyczną, regularny sen, stosowanie techniki mindfulness i medytacji, dbałość o budowanie relacji interpersonalnych. W ostatnich latach zwrócono uwagę na rolę zdrowego żywienia w profilaktyce depresji. Rekomendacje obejmują stosowanie tradycyjnych diet, takich jak śródziemnomorska, japońska czy norweska, zwiększenie konsumpcji warzyw, owoców, roślin strączkowych, orzechów, nasion, płatków zbożowych oraz produktów bogatych w wielonienasycone kwasy tłuszczowe omega-3 (zwłaszcza ryb). A także ograniczenie słodyczy czy fast foodów oraz wyeliminowanie niezdrowych nawyków żywieniowych.

W przypadku leczenia depresji mamy dwa podejścia: psychologiczne i psychiatryczne. Które jest bardziej skuteczne?

– Te dwa podejścia się uzupełniają. Najlepsze efekty daje połączenie obu metod. Farmakoterapia może pomóc usunąć pewne objawy, a psychoterapia uzbroić na przyszłość, gdyż może wpłynąć na nasz sposób myślenia, skorygować pewne dysfunkcjonalne schematy poznawcze. Przy łagodnych depresjach psychoterapia może być metodą z wyboru i nie zawsze konieczna jest farmakoterapia. Natomiast w głębszych depresjach leki są niezbędne.

A czy pozytywne efekty przyniesie samo przyjmowanie leków, bez psychoterapii?

– W leczeniu epizodu depresji, jeśli podamy leki przeciwdepresyjne, które są odpowiednio dobrane, w odpowiedniej dawce i stosowane przez odpowiednio długi czas, uzyskamy poprawę u ok. 60% pacjentów. To liczba istotnie większa od efektu placebo, który w tym przypadku wynosi ok. 30%. Leki są więc skuteczne. Każdy wypuszczony na rynek lek jest przebadany i skuteczny.

Jakie leki stosuje się obecnie do leczenia depresji?

– Mamy bardzo wiele preparatów o różnych mechanizmach działania. Cały czas pojawiają się nowe leki przeciwdepresyjne, które są równie skuteczne, ale lepiej tolerowane, to znaczy dają mniej objawów ubocznych. Dzięki temu pacjenci z depresją są w stanie normalnie żyć. Jeszcze 50 lat temu nie było to możliwe.

Czy pojawiają się jakieś innowacyjne metody leczenia?

– W ostatnim czasie pojawiła się na rynku donosowa esketamina, która w przeciwieństwie do standardowych leków, działających dopiero po pewnym czasie, bardzo szybko przynosi poprawę. Esketamina świetnie się sprawdza u pacjentów z depresją lekooporną, czyli takich, którzy nie reagują na co najmniej dwie kuracje lekami przeciwdepresyjnymi. Tylko niestety taka terapia jest bardzo droga. Obecnie jako eksperci Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego walczymy o program lekowy, który umożliwiałby refundację takiej terapii.

Natomiast jeśli chodzi o metody niefarmakologiczne, dziś stosuje się przezczaszkową kumulację magnetyczną, stymulację nerwu błędnego albo głęboką stymulację mózgu. Jedną z najskuteczniejszych metod w leczeniu głębokich depresji czy depresji lekoopornych są zabiegi elektrowstrząsowe. To oczywiście nie jest nowa metoda, ale daje spektakularne efekty.

Ostatnio modnym tematem jest leczenie depresji substancjami psychodelicznymi, takimi jak LSD czy psylocybina (substancja z grzybów halucynogennych).

– To rzeczywiście bardzo modny temat, ale wszystko jest na razie na etapie badań. Co prawda, są naukowe doniesienia, że np. psylocybina może dawać szybką poprawę w depresji, ale pozostajemy na etapie doniesień i na pewno jako lekarz nie rekomenduję eksperymentowania z tym na własną rękę.

W najnowszej, piątej klasyfikacji zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego za depresję uznano m.in. trwającą ponad dwa tygodnie żałobę. Co pani o tym sądzi?

– Uważam, że współcześnie w wielu przypadkach dochodzi do medykalizacji czy psychiatryzacji stanów, które przedtem uchodziłyby za zupełnie normalne. Dawniej ktoś był nieśmiały, dziś ma fobię społeczną. Co oczywiście nie znaczy, że fobia społeczna nie istnieje, ale nie każda mniej pożądana cecha jest od razu patologią. Dawniej dzieciak nie chciał się uczyć, źle pisał dyktanda, teraz od razu ma dysleksję czy dysgrafię. Kiedyś był niegrzeczny i rozrabiał, dzisiaj ma ADHD. To nie oznacza, że ADHD nie istnieje, ale zauważam, że wahadełko przechyliło się w stronę nadmiernego diagnozowania różnych rzeczy. I być może tak jest z żałobą. Naturalnie może ona być czynnikiem wyzwalającym depresję, ale ja nie sądzę, żeby zasadne było patologizowanie normalnej żałoby.

Dominika Tworek

Farmakoterapia może pomóc usunąć pewne objawy, a psychoterapia uzbroić na przyszłość.

eprasa.pl 875b2a5ed2

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Lektura na czas grypy, czyli panika nieproduktywności

Zaczadzeni imbirem, żółci od kurkumy, umęczeni czosnkiem, podtruci cebulą – pracujemy w niewygodnych pozycjach na styczniowe wizyty u osteopaty. Niemal wszyscy przy komputerach. W czasie choroby nikt już nie odpoczywa przy lekkiej lekturze magazynów kynologicznych, przeglądając kolorowe atlasy ryb albo chociaż ciesząc się słuchowiskiem. Zwykle po prostu pracujemy w domu, w którym często (z pewnym rozmachem) żyją nasi rodzice i dzieci. Prekariusze, redaktorzy, informatycy, akademicy – tu można wpisać dowolne zawody, których przedstawiciele mogą, czyli muszą, pracować w domach lub chociaż „odbierać telefony" również podczas choroby. Kapitalizm to nie tylko polityka zero snu i rynki czynne 24/24, ale także tryb produktywności, który kodowany był w nas przez system tak długo, aż wrył się w naszą podświadomość. Przymus pochodzi zatem i z zewnątrz, i z wewnątrz.

Teza o wyzyskiwaniu samego siebie jest we współczesnej krytyce cywilizacji dobrze rozpoznana. Jednym z jej najsłynniejszych wyrazicieli jest Byung-Chul Han – urodzony w Korei Południowej niemiecki filozof i teoretyk kultury, jeden z najczęściej tłumaczonych i czytanych filozofów w Europie. „W tym społeczeństwie opresji każdy sam prowadzi swój obóz pracy. Osobliwość tego łagru polega na tym, że jest się w nim zarazem więźniem i strażnikiem, ofiarą i katem. Wyzyskujemy siebie, dzięki czemu wyzysk możliwy jest również bez władzy", napisał w słynnym eseju „Vita activa" (w Polsce zbiór esejów ukazał się w wydawnictwie Krytyki Politycznej pod tytułem „Społeczeństwo zmęczenia i inne eseje" w przekładzie Rafała Pokrywki). Jako hiperobiekt – kapitalizm jest czymś, co wpływa na nas silniej niż my na niego. Teorię hiperobiektów sformułował Timothy Morton w 2013 r. Trudno je zdefiniować, bo jako obiekty „hiper" znajdują się poza naszym poznaniem. Ale mogą być odpadem działalności człowieka, jak np. złoża ropy. To zjawisko, zanieczyszczenie, przedmiot, który wymyka się spod kontroli i obraca przeciwko nam. Może nim więc być także nasz wewnętrzny zbiorowy niewolnik (zarządca) – jako figura współczesności.

Niektórzy chorzy starają się racjonalizować swój popęd do pracy, opowiadając sobie i innym, że leżąca odłogiem praca gromadzi się, spiętrza jak nieprane skarpety, niebezpiecznie narasta i wypełnia formę, którą zaraz dosłownie rozsadzi. Niemal fizycznie czujemy jej napór, kładzie się „jak nuda na szarzącym mózgu" i zatruwa nas jako drugi, wmówiony wirus.

Niełatwo powściągnąć w sobie strażnika, bo – jak mówiliśmy – hiperobiekt ma to do siebie, że jest trudny do uchwycenia, jak obiekt przeskalowany, który rozmywa się przed naszymi oczami, ukazując tylko fragment siebie. Anna Barcz w artykule „Przedmioty ekozagłady" pisze o lepkości hiperobiektów, które „przyklejają się do wszystkiego, co jest z nimi w pewien sposób związane. Ma to znaczenie dla doświadczania ich bliskości jako czegoś radykalnie wyobcowującego z poczucia bezpieczeństwa w przestrzeni publicznej, w domu i we własnym ciele". Tym właśnie jest nasz niechciany wewnętrzny zwierzchnik. Jak go od siebie odkleić? Jak nie wpadać w panikę, kiedy godziny zaczynają płynąć obok, a zegarek świeci nam po oczach swoją tarczą? W jaki sposób pozbyć się niepokoju związanego z (bez)produktywnością, optymalizacją?

Trzeba zamknąć komputer, wyłączyć telefon i pójść w ludzkie słabości.

Niektórzy psycholodzy behawioralni radzą usunąć przedmioty związane z pracą z pola uwagi. Należy więc przede wszystkim wyłączyć telefon, a jak to nie pomaga – schować go pod kołdrę (sic!). Bo sam przedmiot opresji jest już tak silnie nacechowany, że nawet wyłączony wabi nas swoimi możliwościami (opresją!). W jednym z esejów Byung-Chul Han pisze o ułudzie wolności i o depresji wynikającej z pozytywnych bodźców. Nadmiar (dźwięków, przedmiotów, powiadomień, pracy) powoduje przesyt tak permanentny, że w pewnym momencie organizm zaczyna się wycofywać. Najlepiej byłoby zatem wycofać się samemu, zostawiając sobie margines życia, chorując wtedy, kiedy trzeba chorować. Bo ostatecznie rachunek i tak będzie na naszą niekorzyść: te nieduże pieniądze, które zarabiamy, łatwo będzie wydać. Albo mocniej: każdą kwotę, którą zarobimy, można szybko wydać. Trzeba więc zamknąć komputer, wyłączyć telefon i pójść w ludzkie słabości. A słowo „sukces" włożyć do obciachowego słownika czasu, który właśnie przeminął. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 875b2a5ed2

SZACHY dla spryciarzy

Ruchy gałek ocznych mogą zdradzić nieuczciwe zamiary zawodnika

Bronisław Tumiłowicz

W rozgrywkach szachowych, czy to przy stole, czy online, zdarzają się próby oszustwa. Szachrują zarówno gracze startujący w kategoriach amatorów, jak i arcymistrzowie, którzy walczą o najwyższe laury i spore pieniądze. Odkąd stwierdzono, że tzw. silniki szachowe mogą się przyczynić do zwycięstwa w dowolnej kategorii, pokusa szukania pomocy w najnowszych zdobyczach informatycznych staje się coraz silniejsza.

Maszyna nie do pokonania

Szachowa sztuczna inteligencja dojrzewała dosyć długo, ale gdy stwierdzono, że najtęższe umysły królewskiej gry muszą ogłosić kapitulację, już żaden arcymistrz nie wybiera sobie supersilnika szachowego za przeciwnika. Wydawało się, że zdrowy i sprawny mózg człowieka, wyćwiczony w najbardziej „dzikich" strategiach walki, będzie mógł zaskoczyć czymś rozbudowany do granic możliwości program komputerowy, nawet najszybciej działający i mający w bazie danych setki rozegranych partii. Wciąż wierzymy, że nic sztucznego nie może nas pokonać, bo potrafimy wymyślić coś niestandardowego, zastosować blef, zastawić pułapkę, stworzyć jakiś praktyczny problem, skomplikować pozycję, gdy przeciwnik jest w niedoczasie, itd. Ale po eksperymentach z „myślącymi" na sposób szachowy maszynami, przeprowadzonych w 2017 r., okazało się, że na sztuczną inteligencję o nazwie AlphaZero nie ma mocnych.

Jak mówi jeden z polskich arcymistrzów szachowych, Grzegorz Gajewski (252. miejsce w światowym rankingu, 8. w Polsce: ratings.fide.com/profile/1116207), walka z silnikiem szachowym to tak, jakby znakomity sprinter w biegach na 100 m ścigał się z amatorem jadącym na motorze.

Mistrz świata się poddaje

A jeszcze w 1996 r. Garri Kasparow, szachowy mistrz świata w latach 1985-1993, był pewny, że komputer nie ma takiej intuicji szachowej jak człowiek, i zwyciężył w pojedynku z pierwszym komputerem szachowym o nazwie Deep Blue. Wtedy wygrał trzy partie, dwie zremisował i tylko jedną (pierwszą w historii pojedynków komputer kontra mistrz świata) przegrał, ostatecznie pokonując Deep Blue 4:2. Jednak już rok później z ulepszonym Deep Blue przegrał również cały mecz. To graniczna data w historii zmagania się szachowych geniuszy z komputerami i ze sztuczną inteligencją. Wtedy też zapewne zrodził się pomysł, by nieuczciwie korzystać z pomocy myślącej maszyny, która każdy szachowy problem potrafi rozwiązać o wiele szybciej niż nawet najsprawniejszy zawodnik.

Ile rozgrywek i turniejów szachowych zostało od tej pory skażonych „podpowiedzią" przychodzącą z jakiegoś ukrytego komputera? Tego nie jesteśmy w stanie ocenić, choć organizatorzy różnych spotkań i mistrzostw rutynowo stosują liczne zabezpieczenia.

Michał Kanarkiewicz, ekspert, instruktor i sędzia szachowy, współorganizator wielu krajowych i międzynarodowych imprez (kandydat na mistrza krajowego 2014), twierdzi, że nieuczciwego amatora, który korzysta z pomocy komputera przy każdym kolejnym ruchu, łatwo wykryć i oczywiście zdyskwalifikować. O wiele trudniej zbadać, czy zawsze gra fair szachowa gwiazda, która góruje nad zwykłymi zawodnikami i nie potrzebuje elektronicznej

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 875b2a5ed2

podpowiedzi w prowadzeniu rutynowych partii symultanicznych, ale w starciu z innym kandydatem do światowej kasty najlepszych skorzysta z niej, np. zastanawiając się nad jednym, być może decydującym o wygranej ruchem. Specjaliści wskazują dwa sposoby oszukiwania: ukryte korzystanie z telefonu, na którym zainstalowano odpowiednie oprogramowanie, oraz mikrosłuchawki w uchu.

Katalog znanych oszustw szachowych jest jeszcze dosyć skromny, bo drobiazgowe zabezpieczenia w większości przypadków działają.

Magnus Carlsen – będzie walka w sądzie

Do najgłośniejszych w ostatnim czasie zalicza się skandal i zapowiedź procesu cywilnego na szczytach szachowego światka. To bardzo przykre, że dotyczy 19-letniego arcymistrza Hansa Niemanna z USA. Pokonał on podczas rozgrywek Sinquefield Cup wielokrotnego mistrza świata Magnusa Carlsena. Niby nic dziwnego, Carlsen nieco spuścił z tonu w ostatnim roku. Zresztą nasz Jan-Krzysztof Duda wielokrotnie ogrywał norweskiego superszachistę, który w zasadzie zrzekł się już tytułu. W sprawie Hansa Niemanna odezwało się jednak kilku najbardziej renomowanych graczy, m.in. Amerykanin japońskiego pochodzenia Hikaru Nakamura, oraz szefowie popularnej, przeznaczonej dla profesjonalistów i amatorów platformy Chess.com. Zarzucili oni Niemannowi korzystanie z silnika szachowego, i to nie tylko w tym jednym wygranym meczu, ale także w ok. 100 wcześniejszych. Odpowiedź prawników Hansa Niemanna była równie gwałtowna: „Pozwani zniszczyli Niemannowi życie tylko dlatego, że miał wystarczająco dużo talentu i czelności, by pokonać tzw. Króla Szachów. Pociągniemy ich do pełnej odpowiedzialności i ujawnimy prawdę". Posądzony o oszustwa zażądał niemałej kwoty: 100 mln dol. Co z tego wyniknie, zobaczymy.

Sprawa ma sensacyjny, wręcz skandalizujący charakter, bo Niemann przyznał się, że w dzieciństwie rzeczywiście oszukiwał, ale ostatnio już szanował obowiązujące prawa. Zapowiedział nawet, że aby udowodnić swoją niewinność, gotów jest wystąpić podczas meczu kompletnie nago, wtedy wszyscy się przekonają, że nie ma nigdzie ukrytej słuchawki, pagera itd. W odpowiedzi na te zapewnienia ktoś zwrócił uwagę, że młody Amerykanin mógł ukryć jakieś „inteligentne kulki"... w odbycie. Współczesne technologie nie znają żadnych granic ani przyzwoitości.

Kontrole jak na lotniskach

Tego typu wydarzenia kładą się cieniem na szlachetnej dyscyplinie, jaką od niepamiętnych czasów była gra w szachy. Niedawno sześcioletnim zakazem udziału w rozgrywkach Międzynarodowa Federacja Szachowa FIDE ukarała 50-letniego łotewskiego arcymistrza Igorsa Rausisa, przyłapanego na korzystaniu (w toalecie) z niedozwolonej pomocy elektronicznej. Tego typu kara ma dla zawodowych szachistów wymierny skutek, bo pozbawia ich nagród czy honorariów, nieraz bardzo wysokich. (Dla orientacji – po ostatnim zwycięstwie Jana-Krzysztofa Dudy nad Magnusem Carlsenem Polak otrzymał łącznie 32 tys. dol., co wcale nie znaczy, że od razu został mistrzem świata. Droga do tego tytułu jest jeszcze bardzo długa). Jakież było zdziwienie społeczności szachowej, gdy na prestiżowym memoriale w Estonii ktoś rozpoznał Igorsa Rausisa. Kiedy wylegitymowano zawodnika, okazało się, że posługuje się dowodem na inne nazwisko. Poproszono go więc o opuszczenie sali. Po interwencji okazało się, że Rausis jednak mógł brać udział w rozgrywkach, bo akurat ten memoriał nie był zgłoszony do FIDE.

Formalny ban nałożony przez międzynarodową federację nie musi zakazywać gry na prywatnych, nierankingowych turniejach. Z drugiej strony nikt uczciwy, walcząc o laury, nie chce się mierzyć z kimś, komu już udowodniono oszustwo. Wzmocniono zatem kontrole na szachowych rozgrywkach. Jak tłumaczy ekspert Michał Kanarkiewicz, który był odpowiedzialny za dział marketingu podczas Grand Chess Tour, tj. szachowego Wielkiego Szlema, w warszawskim Muzeum POLIN, z udziałem m.in. Garriego Kasparowa i Jana-Krzysztofa Dudy, zawodnicy musieli przechodzić przez bramkę z czujnikami, detektorami metali, podobnie jak na lotniskach. Niektórzy byli indywidualnie sprawdzani przez oficera fair play.

Dodatkowo podczas szachowych olimpiad na zawodników patrzą kamery i jeśli któryś z sędziów zauważy, że gracz niepokojąco się wierci, rzuca spojrzenia w różne strony, jakby czekał na sygnał z sali, to również może być powód do przerwania meczu. Często stosuje się oddzielne wejścia dla zawodników i dla kibiców. Telefonów komórkowych kibicom z reguły się nie odbiera, ale muszą być wyciszone. Tak dzieje się przeważnie przy okazji turniejów tradycyjnych, przy stolikach. Dziś jednak bardzo popularne są rozgrywki online, także z nagrodami pieniężnymi, gdzie możliwość korzystania z pomocy elektronicznych jest z natury ułatwiona. Tu skuteczną zaporą jest sama elektronika, która doskonale wykrywa serię zagrań wynikających nie z własnej przemyślności szachisty, ale z sugerowania się programami komputerowymi.

To w przypadku amatorów. A co robić, gdy do turnieju online zgłaszają się sławni arcymistrzowie, którym wystarczy podpowiedź tylko w jednym lub dwóch ruchach? I tutaj znaleziono sposób na ograniczenie nieuczciwych zagrań. Tych najlepszych zawodników platforma Chess24 ściąga do Oslo i tam zgromadzeni w tym samym studiu grają przy swoich komputerach. Niby osobno, ale pod kontrolą.

Jak szacuje Michał Kanarkiewicz, pokusa korzystania z nieuczciwych sposobów może dotyczyć ok. 10% zawodników.

Pokusa korzystania z nieuczciwych sposobów może dotyczyć ok. 10% zawodników.

eprasa.pl 875b2a5ed2

Pod polską banderą

Polskie szachy to całkiem spory ruch sportowy, udało się je spopularyzować wśród młodzieży szkolnej. Według danych z centralnego rejestru z 2016 r. Polski Związek Szachowy skupia ponad 65 tys. członków. Działa 390 klubów szachowych. Mamy 55 arcymistrzów, 22 arcymistrzynie, a dodatkowo w szachach korespondencyjnych ok. 10 arcymistrzów i jeszcze po dwóch w kategoriach kompozycji szachowych i rozwiązywania zadań szachowych. Czy tak licznej społeczności nie może dotknąć patologia?

Polski Związek Szachowy jest na to przygotowany, powołano m.in. Komisję ds. Dopingu Elektronicznego, na czele której stoi Krzysztof Skiba. Niestety, nie odpowiada na żadne pytania dziennikarza. Komisja też nie opublikowała na stronie PZSzach żadnego komunikatu ani materiałów, jedynie regulamin. Wśród zadań komisji jest zapewnienie uczciwej rywalizacji szachowej zgodnej z zasadami fair play, kształtowanie właściwych postaw uczestników życia szachowego, propagowanie zasady równych szans oraz wartości czystego sportu. Postulowana zasada to: nie używaj silników szachowych, programów, botów, wtyczek ani jakichkolwiek narzędzi analizujących pozycję w czasie partii.

Więcej można się dowiedzieć z przepisów zamieszczonych na stronie innej komisji – Nagród i Dyscypliny, które uwzględniają sankcje dla łamiących zasady fair play. Za korzystanie w trakcie partii z notatek lub nieuprawnionej pomocy osoby trzeciej można dostać upomnienie, naganę lub dyskwalifikację do 12 miesięcy, za próbę oszustwa technologicznego naganę lub dyskwalifikację do 12 miesięcy, a za oszustwo technologiczne dyskwalifikację na okres od sześciu miesięcy do trzech lat. Nie można również utrudniać lub odmawiać przeprowadzenia kontroli osobistej lub kontroli bagażu zarządzonej przez sędziego zawodów w związku z podejrzeniem o oszustwo technologiczne. Za to także grozi dyskwalifikacja od sześciu miesięcy do trzech lat.

Pierwszy w Polsce przypadek oszustwa media odnotowały w 2020 r., gdy przyłapano 17-letnią Patrycję, do tego czasu szachowe objawienie, na stosowaniu niedozwolonego wspomagania. Polski Związek Szachowy zdyskwalifikował ją na dwa lata. Kwestionowaną partię zanalizował czołowy amerykański arcymistrz Hikaru Nakamura, który określił dwa kluczowe ruchy polskiej zawodniczki jako „szalone" i dodał, że on sam „nigdy nie wziąłby ich pod uwagę, choćby myślał przez milion lat". Podczas mistrzostw w Ostrowie Wielkopolskim zawodniczka potrafiła wyjść do toalety kilkanaście razy w ciągu trzech godzin, co budziło duże podejrzenia.

Powyższe zdarzenia można podsumować stwierdzeniem Michała Bartla, szefa wyszkolenia w Polskim Związku Szachowym i zarazem mistrza FIDE: „Każdy, kto ma przy sobie telefon komórkowy, byłby w stanie wygrać nawet z mistrzem świata Magnusem Carlsenem".

Bronisław Tumiłowicz

eprasa.pl 875b2a5ed2

Mózgi MSZ

Otaczanie się kolegami nie jest dobrym pomysłem. Przynajmniej w przypadku ministra Zbigniewa Raua. Rau był wojewodą łódzkim, jest profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Łódzkiego, pracował na tamtejszym wydziale prawa. I ma słabość do swojej Alma Mater. Na przykład dyrektorem jednej z najważniejszych komórek w MSZ, Departamentu Strategii Polityki Zagranicznej, zrobił dr. hab. Jacka Reginię-Zacharskiego, profesora z Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych UŁ.

Pomińmy już drobny fakt, że naukowy dorobek pana Regini-Zacharskiego mało komu w MSZ może zaimponować. Są też sprawy inne, znane w kręgach uniwersyteckich, i to szeroko, bo opisywał je miesięcznik „Forum Akademickie". Otóż w czerwcu 2021 r. na ręce dziekana Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych UŁ złożony został list podpisany przez 16 samodzielnych pracowników naukowych wydziału. Zwrócili oni uwagę, że dwóch ich kolegów profesorów w swoich pracach przekopiowało obszerne fragmenty prac magistrantów.

Jednym z plagiatorów okazał się prof. Jacek Reginia-Zacharski. Przepisał on do książki „Rwanda. Wojna i ludobójstwo", którą w roku 2012 wydało PWN, aż 53 strony pracy dyplomowej swojej magistrantki. Jak zaznaczono w „Forum Akademickim", „przejęte prawie dosłownie treści stanowiły ponad 35% objętości książki, gdyż zasadniczy jej tekst (bez aneksów) liczył ok. 146 stron".

Sprawa stanęła na nadzwyczajnym posiedzeniu rady wydziału. I rada w tajnym głosowaniu odwołała Jacka Reginię-Zacharskiego z funkcji kierownika Katedry Teorii Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa.

Następnym krokiem było wszczęcie przez panią rektor UŁ postępowania wyjaśniającego. Reginia-Zacharski tym razem nie przyznał się do winy, twierdząc, że materiały magistrantki musiały zaplątać się w jego własne, a on nieświadomie wkomponował je w książkę. Te tłumaczenia nie zostały przyjęte.

Ciąg dalszy miał miejsce we wrześniu 2021 r. Uniwersytet Łódzki huczał o plagiacie Regini-Zacharskiego, tymczasem Zbigniew Rau powołał go na stanowisko dyrektora Departamentu Strategii Polityki Zagranicznej MSZ. A dwa miesiące później delegował do rady Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej (NAWA).

Z jednej więc strony Reginia-Zacharski był ważnym urzędnikiem MSZ i miał istotny głos w sprawach wymiany naukowej, a z drugiej toczyło się przeciw niemu postępowanie dyscyplinarne związane z plagiatem. Ostatnia rozprawa odbyła się w październiku. Finalnie komisja ukarała go naganą i obniżeniem uposażenia o 25% przez dwa lata.

Cóż, Reginia-Zacharski, wynalazek Raua, ze szczytu swojej warszawskiej posady może z tego się śmiać. Ma zresztą kompana do śmieszkowania, bo w gabinecie politycznym ministra (jeszcze od czasów innego łodzianina, Witolda Waszczykowskiego) pracuje jego kolega z tej samej Katedry Teorii Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa Przemysław Żurawski vel Grajewski. Zawodowy doradca, który radził Polsce (pisaliśmy o tym), by w wyborach prezydenckich w USA bezwarunkowo poparła Trumpa, odcinając się od Bidena.

Oto mózgi MSZ.

Attaché

Podobizna Pelégo przed stadionem Urbano Caldeira w Santos, rodzinnym mieście piłkarza, który zmarł 29 grudnia 2022 r. Na stadionie odbyło się 24-godzinne czuwanie przy jego trumnie, cześć Pelému oddało ok. 230 tys. osób.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 875b2a5ed2

JOLKA

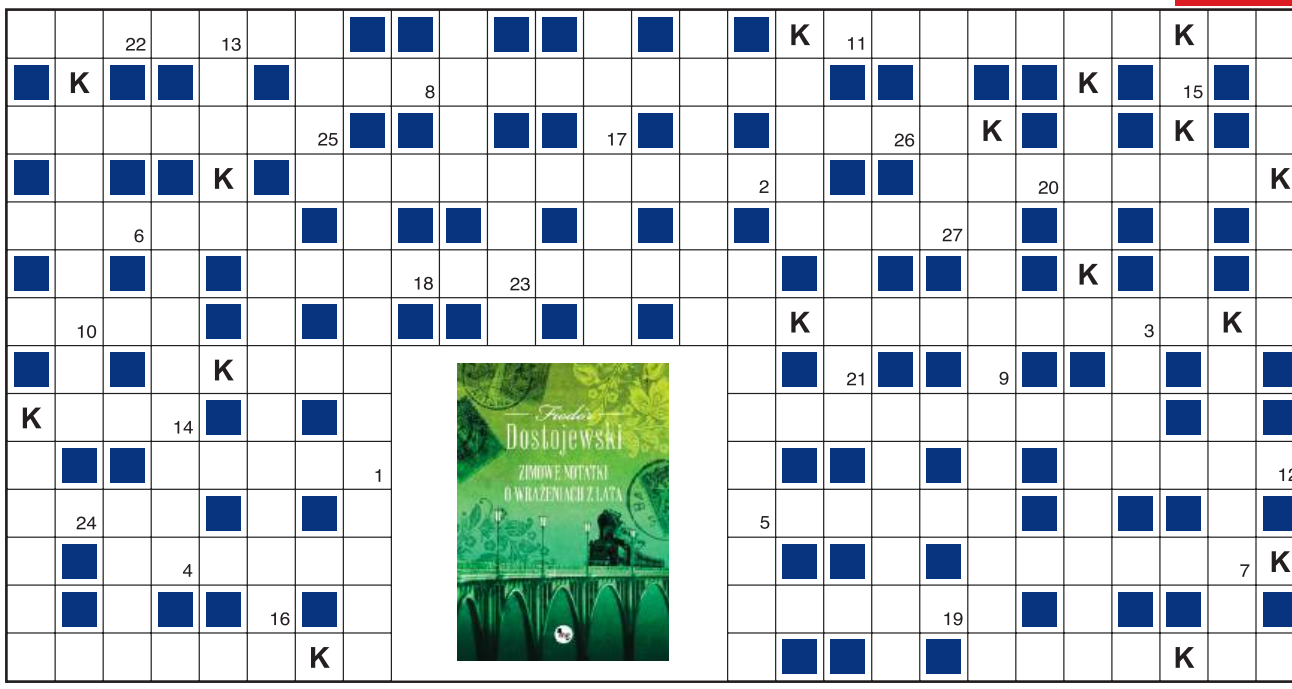

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- beczka na piwo lub wino
- pomiarowa albo nagłaśniająca
- pierzaste gałązki do bukietów
- filmowy agent Powers i stolica Teksasu
- autobus dla wycieczkowiczów
- o czymś bzdurnym, nielogicznym
- kroków malca i seniora podpora
- w kościele miejsce na organy i dla śpiewaków
- „…i uprzedzenie” Jane Austen
- i suwak, i ciastko
- sprzedaje towary za granicę
- z bazą i kolektorem w tranzystorze
- brązu, lodowcowa, wiktoriańska
- między metanem a propanem
- odcinki wyścigu kolarskiego
- płaszcz na chłodne dni
- chwat, śmiałek lub w hufcu pracy
- zeszyt dawniej
- zabawka z lusterkami w tulejce
- Mołotowa – nie do picia
- gęsta jogurtu greckiego
- eskorta transportu
- surowiec mineralny tworzący złoże
- kromlech – kamienny
- urządzeń, filmu, słowno-muzyczny
- uprawna ziemia i uprawiana działalność
- wznoszone podczas manifestacji
- zarzucająca winę, wnosząca skargę
- przypinana do buta jeźdźca
- składane na uczelnię lub wariackie
- instrument w westernowych saloonach
- start, zalążek, rozpoczęcie
- przybijana do kopyta
- „…z oblężonego Miasta” Herberta
- odbicie piłki serwisowej w tenisie
- czerwony kamień szlachetny
- …cesarstwa to empire
- ani brat, ani…
- dawniej depesza, dziś komunikator internetowy
- stolica regionu Piemont
- przeciwieństwo mięknięcia
- barwa po cudzie-miodzie
- niechęć, żal do kogoś
- i system w państwie, i organizm, ciało
- jedna linijka wiersza, tekstu
- nauka o chorobach i leczeniu zwierząt
- panna Borzobohata – …księżnej Jeremiowej Wiśniowieckiej
- z niego pustaki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1099”. Do rozlosowania książki „Zimowe notatki o wrażeniach z lata” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 stycznia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1096” z nr. 52: *Spokoju życzymy na święta.*
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Łukasz Surlej z Gidel, Marek Szczepański z Gdyni.

eprasa.pl 875b2a5ed2

PENETRACJE

TYGODNIK ANGORA

PROF. WITOLD MODZELEWSKI,

PREZES INSTYTUTU STUDIÓW PODATKOWYCH

Cena ropy, która jest najważniejszym czynnikiem kosztowym paliw silnikowych, nie decyduje już w takiej mierze jak dawniej o wysokości cen na stacjach. Gigantyczne zawirowania cenowe na rynku paliw silnikowych są wywołane zjawiskami pozaekonomicznymi, czyli wojną. A na wojnach się zarabia. Wojna to biznes. Tak było przed wiekami i tak jest dzisiaj. Kluczem do uspokojenia rynków ropy, gazu i w jakimś stopniu także węgla jest pokój. Dopóki będzie wojna, dopóty będą tacy, którzy będą chcieli na niej zarobić.

na szczycie

ANNA MILEWSKA-ZAWADA,

AKTORKA

Kiedy narodził się [Andrzej] Zawada jako lider?

– Z biegiem czasu to słowo zaczęło być powtarzane przy międzynarodowych składach wypraw. U nas mówiło się kierownik, po angielsku *leader* – z czasem oba te określenia używane były naprzemiennie. Byłam dwukrotnie w Himalajach. Piękne góry! Szłam drogą z Lukli do bazy pod Everestem, czyli na wysokości ok. 5000 m n.p.m. W pewnej chwili dochodzi się do miejsca, skąd dokładnie widać Everest. To jest niezapomniane przeżycie, bo trzeba dodać, że z samej bazy szczytu nie widać. Ale pierwszy wyjazd z Andrzejem w góry był podczas letniej wyprawy do Afganistanu. Urzekły mnie te piękne góry, tak podobne do polskich Bieszczad.

VIVA!

ALEKSANDRA KURZAK,

ŚPIEWACZKA OPEROWA

Karczochy! Szaleję na ich punkcie, uwielbiam je pod każdą postacią. Najpyszniejsze karczochy na świecie jadłam w Madrycie, gdzie kolega Hiszpan zaprowadził mnie do restauracji, która nazywa się Pimento Verde. Kiedy zjadłam je pierwszy raz, błagałam właściciela o przepis. Inne karczochy, które uwielbiam, to karczochy z regionu weneckiego. Nazwane cudem laguny przez Arriga Ciprianiego, właściciela legendarnego Harry's Bar. Mają kolor fioletowy i malutkie główki w kształcie róży na długich łodyżkach. Można je jeść późną wiosną i wczesnym latem przez 10-15 dni, najlepiej na surowo.

PANI

ERYK LUBOS,

AKTOR

Zawsze byłem inny, kanciasty, nieprzystawalny. To bardzo denerwuje świat zewnętrzny. Nawet branżę, mimo że zajmuje się sztuką, czyli artystami. To jest problem socjologiczny. Jak zachować siebie, kiedy człowiek cały czas jest bombardowany tym, co „modne", co należy, co wypada. Trzeba być miłym, trzeba się podobać, chodzić na kompromisy. W aktorstwie jest się nieustannie ocenianym. Powinieneś być taki, siaki… OK, to jest mój zawód, ale jak pada komenda: „stop", jestem sobą.

Sajmiri wiewiórcza nadzoruje coroczne liczenie zwierząt w londyńskim zoo. 3 stycznia 2023 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. EWA ŁĘTOWSKA O KRĘGOSŁUPIE MORALNYM

Znałam znakomitych prawników, którzy koniec końców mówili: na cholerę będę się szarpać.

JAN HOLOUBEK O OJCU GUSTAWIE

Ojciec nie przenosił na mnie swoich ambicji. Jeśli czegoś uczył, to przez bycie obok.

XAWERY ŻUŁAWSKI O OJCU ANDRZEJU

Już jako dzieciak przeczuwałem, że ojciec robi coś bardzo specjalnego, szczególnego. Że to jest straszne. I piękne. I dziwne.

DOROTA POMYKAŁA O TALENCIE

Dopiero niedawno pomyślałam po raz pierwszy w życiu: a może ja mam więcej talentu, niż dostaję propozycji?

KRYSTYNA JANDA O TYM, CO MOŻE ZROBIĆ DLA SZTUKI

Grając, w roli, jestem gotowa nago nabić się na iglicę Pałacu Kultury.

BOGUSŁAW LINDA O BYCIU SAMOTNIKIEM

Zawsze tak było. W samotności z wyboru odnajduję absolutną wolność.

TOMASZ LISTKIEWICZ O OJCU MICHALE

Czasem nazwisko otwierało mi drzwi, ale bywało, że stawało się obciążeniem.

AGATA PASSENT O DŁUGACH

Szumne otwarcie przekopu przez Mierzeję Wiślaną nie pomoże, gdy ktoś wpadł w kanał długów.

JERZY KRYSZAK O WIDOWNI

Walczę ze sobą, bo nie mogę stawać przed mikrofonem i krzywdzić ludzi, zarzucając im głupotę.

ANNA DZIEWIT-MELLER O ZŁYCH INFORMACJACH

Odmawiam przyjęcia kolejnej łyżki goryczy, beczki dziegciu bez miodu.

eprasa.pl 875b2a5ed2

Wielkie im halo?

Grupa inżynierów i programistów zainstalowała w Filadelfii pierwszą od wielu lat budkę telefoniczną. Pozwala ona każdemu zainteresowanemu wykonywać darmowe połączenia do całych Stanów Zjednoczonych, dlatego pomysłodawcy mają nadzieję, że będzie pierwszą z wielu i pomoże przywrócić publiczną infrastrukturę telekomunikacyjną, zniszczoną przez telefonię komórkową. Ich celem jest również pokazanie przyjaznej dla środowiska alternatywy dla ciągłej wymiany sprzętu elektronicznego na nowy – w budce zamontowano stary aparat, kupiony 15 lat wcześniej za 20 dol. Jeśli pomysł chwyci, wszyscy komentujący, że zda się on psu na budę, będą musieli to odszczekać.

Zmiana jak ta lala!

Służby celne Korei Południowej, po zapoznaniu się m.in. z ostatnimi orzeczeniami sądowymi w tej sprawie, pozwoliły na importowanie do tego kraju lalek erotycznych (z wyjątkiem modeli imitujących dzieci oraz konkretne osoby). Nie są tam one nielegalne, ale od 2018 r., na mocy przepisów ograniczających obrót towarami postrzeganymi jako szkodliwe dla tradycji i moralności publicznej, niedozwolone było sprowadzanie ich z zagranicy. Widocznie uznano, że narodziła się nowa świecka tradycja.

Nie taki błyskawiczny

Amanda Ramirez z Florydy poczuła się wprowadzona w błąd przez producenta błyskawicznego makaronu z sosem serowym i w związku z tym domaga się od niego 5 mln dol. Kobieta tłumaczy, że widniejąca na opakowaniu informacja: „danie gotowe w 3,5 minuty" nie uwzględnia wszystkich kroków niezbędnych do jego przygotowania. Te 3,5 minuty wyrób koncernu Kraft Heinz powinien bowiem spędzić w mikrofalówce, a przecież trzeba go najpierw zalać wodą, po podgrzaniu zaś – wymieszać. A kto w XXI w. ma tyle czasu na gotowanie?!

Przebój na muszce

Echa ostatnich świąt nie milkną. Trwa akcja mająca unicestwić bożonarodzeniowy szlagier duetu Wham!, już od listopada grany na okrągło m.in. w centrach handlowych. Kampania, którą zainicjowali mieszkający w Göteborgu Hannah i Tomas Mazetti, ma na celu zebranie środków na wykup praw do „Last Christmas", a następnie wycofanie tej znienawidzonej przez wielu piosenki ze wszystkich platform streamingowych. Co więcej, para planuje wysłanie tzw. taśmy matki na składowisko odpadów nuklearnych w północnej Finlandii. Strach myśleć, co jeszcze ma w planach – czyżby zamach na Kevina?

eprasa.pl 875b2a5ed2

CYTATY ROKU

ANDRZEJ SKWORZ, redaktor naczelny
Chodzi o zmianę sposobu myślenia o telewizji publicznej, że w fotelu prezesa ma zasiadać polityk, prymus w propagandzie.
„Press"

ARTUR BALAZS, rolnik, b. minister rolnictwa
Rząd ciągle próbuje coś lukrować. Mistrzem świata w mistyfikacji okazał się premier Morawiecki.
„Wolna Sobota"

MARIA PESZEK, aktorka, autorka tekstów
Nie ma takich okoliczności, w których nie można być szczęśliwym.
„Tygodnik Powszechny"

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ, satyryk
Nie szaleję, gdy przychodzi sukces, nie dramatyzuję, gdy przychodzi nieszczęście.
„Pani"

PROF. MARIA SZYSZKOWSKA, filozof
Ci, którzy w parlamencie tworzą klub i koło lewicowe, z lewicą nie mają nic wspólnego.
„Zdanie"

PROF. ANNA PACZEŚNIAK, politolog, Uniwersytet Wrocławski
Deklaracja: jesteśmy antypisem i przywrócimy normalność, już nie wystarczy, a jeśli, to bardzo niewielkiej części elektoratu.
„Odra"

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (3), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Mateusz Mazzini,Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 875b2a5ed2

Obywatele kosmosu

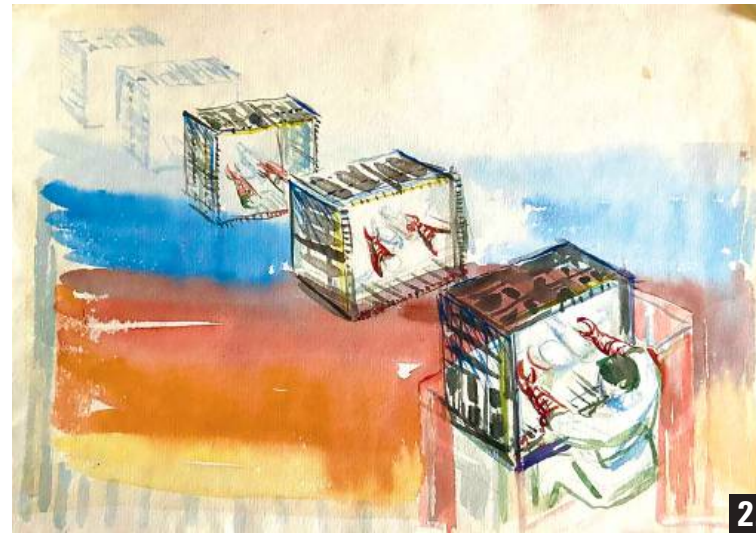

Kosmizm zakłada, że przywracanie zmarłych do życia jest technicznie możliwe. Ten eksperyment myślowy zrodził wizję radykalnej zmiany kulturowej oraz kompletnej reorganizacji warunków życia. Wystawa ukazuje mnogość kosmistycznych idei i estetyk, a zorganizowana została wokół badań Antona Vidokle'a (ur. w 1965 r. w Moskwie), artysty i wydawcy, który przez prawie dekadę zgłębiał filozofię kosmizmu. Oprócz jego filmów oglądać można prace takich artystów jak Wojciech Fangor, Stano Filko, Veronika Hapchenko, Karol Hiller, Roman Opałka, Fedir Tetianycz, Jerzy Tchórzewski czy Andrzej Wróblewski.

ms1 – Muzeum Sztuki w Łodzi
ul. Więckowskiego 36
do 12 marca

1. Anton Vidokle, Nieśmiertelność dla wszystkich. Trylogia filmowa o rosyjskim kosmizmie, 2014-2017
2. Fedir Tetianycz, Biotechnosfery. Miasta przyszłości, przełom lat 70. i 80.
3. Andrzej Wróblewski, Słońce i inne gwiazdy, 1948
4. Jerzy Tchórzewski, Lot, 1954

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 875b2a5ed2

PRAWDZIWY NORWESKI BLACK METAL

REŻYSERIA
MARCIN LIBER

PRAPREMIERA
19.01.23

ZAPRASZAMY W STYCZNIU

20.01	PT G. 19:00
21.01	SB G. 19:00
22.01	ND G. 19:00

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

MIODOWA 22/24
KASA TEATRU CZYNNA
STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. 15:00–19:00
ORAZ W WEEKENDY W GODZ. 15:00–17:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
TELEFONICZNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. 11:00–19:00
ORAZ W WEEKENDY W GODZ. 13:00–17:00
POD NUMEREM TELEFONU 662 155 960
E-MAIL: KASA@E-AT.EDU.PL
TEL. 22 635 99 39 LUB 662 155 960
WWW.TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM
TEATR

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA
KULTURA DOSTĘPNA

Patrons medialni
naszemiasto. chili zet

Partnerzy Teatru
eBilet.pl

eprasa.pl 875b2c5ed

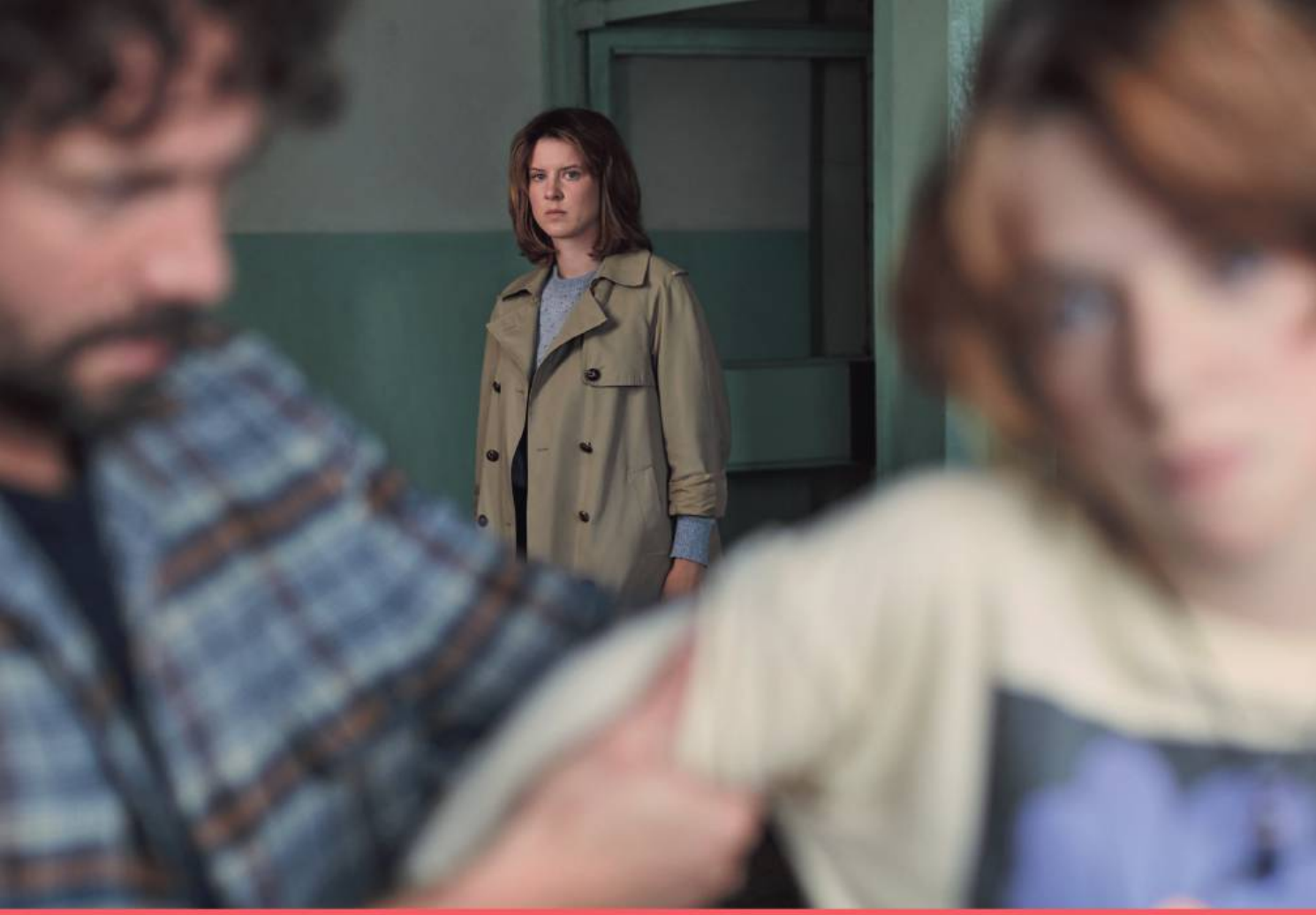

Przemoc niszczy dzieciństwo
i zostawia ślad na całe życie

REAGUJ
na przemoc wobec dzieci

Nie wiesz jak?
REAGUJ.fdds.pl

FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

Partnerzy:

terre des hommes
stops child exploitation

GIRO
555

eprasa.pl 875b2a5ed2